

Martin Booth

ZŁODZIEJ DUSZ

Przełożył
Michał Ignar

Jaguar

ŽĚŔDZIE I

Martin

Booth

Przełóżył

Michał

Ignar

Jaguar

Wprowadzenie

„Łowcy



kląt-
aurum
człowieka),

Jak zapewnia Autor, wszelka magia w dusz"
jest prawdziwa: zaklęcia, zioła, mikstury i aparatura.

Kolofon

pojawiający się w książce to starożytny symbol alchemiczny odnoszący się do *caput mortuum*, głowy śmierci lub czaszki, który symbolizuje rozkład i upadek. Jeszcze dziś jest powszechnie używany jako znak wy we Włoszech i na Bałkanach. Inny kolofon to alchemiczny symbol *potabile* czyli płynnego złota, uznawanego za miksturę lub eliksir życia.

Alchemia, przedziwna mieszanka magii i nauki, była w średniowieczu tym, czym jest obecnie chemia. Ludzie praktykujący alchemię, zwani alchemikami, poświęcali się poszukiwaniom eliksiru życia, stworzeniu h o m u n k u l u s a (sztucznego

a także wynalezieniu sposobu na

zamianę zwykłego (czyli bezwartościowego) metalu, takiego jak żelazo czy ołów w metal szlachetny, jak złoto czy srebro. Nazywano to transmutacją; termin ten wykorzystywany jest także w fizyce jądrowej, na określenie przeobrażenia jednego pierwiastka w drugi, w sposób naturalny lub sztuczny.

F

Rozdział
pierwszy

niewinności

doświadczenia

ila



Oko

i

otworzyła oczy i spojrzała zaspana na budzik.

Cyferki na wyświetlaczu przeskoczyły na 6:57. Powoli usiadła, przeciągnęła się, nie wychodząc z łó

zka rozchyliła zasłony i wyrzała przez okno. Rzadka mgiełka znad rzeki wisiła niczym welon nad polami otaczającymi starą posiadłość ziemską Rawne Barton.

Kontury drzew na tle szarego światła wyglądały jak żyłki na zbutwiałych liściach. Wzgórza w oddali były ledwie widoczne, a kamieniołom wydawał się ciemniejszą plamką na zboczach. Rudzik na chwilę przysiadł na parapecie, napuszył pomarańczową pierś, ćwierknął raz i odfrunął.

Fila uwielbiała te poranne chwile, kiedy była jeszcze zaspana, a świat, podobnie jak ona, nie zdążył się jeszcze w pełni przebudzić.

Jednak gdzieś w głębi brzucha poczuła niepokój, którego początkowo nie potrafiła określić. Stopniowo jednak przypominała sobie jego przyczynę. To pierwszy dzień nowego semestru, nowego semestru w nowej szkole.

Fila sięgnęła do okna, by przekręcić klamkę. Chłodne, wilgotne powietrze wpadło do pokoju. Pachniało pierwszymi opadłymi tej jesieni liśćmi i trawą, skoszoną przez jej tatę poprzedniego dnia. Ogarnął ją chłód, schowała się więc znów pod kołdrę, starając się ocalić resztki ciepła.

usłyszała
szablozębny,
zrobiła

Nagle przez otwarte okno

hałas. Brzmiał przedziwnie, niczym daleki ryk jakiegoś zwierzęcia, po którym nastąpiło coś jakby walenie o siebie ciężkich kijów. Włosy zjeżyły się jej na głowie. Dźwięk był nieziemski, rozchodził się echem we mgle, która go równocześnie tłumiała. Fila nigdy wcześniej nie słyszała czegoś podobnego.

Wyskoczyła z łóżka jak oparzona. Lękliwie podkulając palce stóp, próbowała namacać kapcie. Bała się, ale ciekawość wzięła górę. Odgłosy musiały mieć racjonalne wytłumaczenie, to zapewne jakieś zwierzę, choć nie przychodził jej na myśl żaden dziki zwierz żyjący w Anglii na wolności, który mógłby tak ryczeć.

Kiedy wstała, odgłosy raptem umilkły. Fila zaczęła się zastanawiać, czy to nie było przywidzenie, m o ż e po prostu tuż przed przebudzeniem coś jej się przyśniło. Od kilku tygodni miała niesamowicie sugestywne sny. T r u d n o się dziwić, pomyślała, skoro latem tyle się działo... Po tym wszystkim, co przeszła, wcale by się nie zdziwiła, gdyby na angielskiej wsi grasował tygrys wypuszczony na wolność przez moce zła lub kogoś niespełna roz u m u .

W tym m o m e n c i e rozdzwonił się budzik. Wdusiła przycisk drzemki i stojąc w kapciach,

odwróciła się w stronę krzesła, gdzie poprzedniego wieczora miała przyszykowaną jej nowy szkolny mundur: krawat w żółto-niebieskie paski, białą koszulę, szary sweter i szarą plisowaną spódnicę.

Fila

tylko jeden krok w stronę krzesła, gdy nagle zamarła. Po drugiej stronie sypialni majaczyła w półmroku niewyraźna postać, w połowie schowana za rogiem szafy.

Fila gwałtownie nabrała powietrza. Dostała gęsiej skórki na karku i rękach. Poczula, że dłonie wilgotnieją jej od

**jedynym
Timem,**

potu, a krew odpływa z twarzy. Od rucha wo rozejrzała się za czymś do obrony, niestety, takim przedmiotem

znajdującym się w zasięgu wzroku, była rakietka do badmintona.

— Nie bój się. To ja — odezwała się cicho postać.

— Sebastian! — oburzyła się Fila.

Sebastian wyszedł na środek pokoju. Na ramionach miał ciemną pelerynę w trudnym do określenia kolorze.

— Mało ducha nie wyzionęłam ze strachu — poskarżyła się Fila.

— Kornie cię proszę o wybaczenie — przeprosił ją Sebastian, kłaniając się szybko. — Nie było moim zamiarem przestraszenie twojej osoby.

— A jednak to zrobiłeś! — burknęła Fila.

Zdała sobie sprawę, że widać jej goły brzuch, obciągnęła więc górę od piżamy poniżej talii i rozmasowała gęsią skórę na rękach.

Fila wraz ze swym bratem bliźniakiem, poznali

Sebastiana podczas letnich wakacji. Przez tę znajomość zostali wplątani w niesamowitą, groźną przygodę. Szybko się przekonali, że Sebastian nie jest zwykłym chłopcem.

Po pierwsze, liczył około sześciuset lat, ale większość tego czasu przespał w czymś w rodzaju stanu hibernacji. Ponadto miał umiejętności alchemiczne, które przekazał mu ojciec, słynny alchemik.

Rawne Barton zbudował ojciec Sebastiana na ziemi ofiarowanej mu przez króla. Tak więc zgodnie z prawem dom należał do chłopca. Ale teraz Fila uznała, że wcale go to nie upoważnia do zakradania się do jej sypialni o dowolnej porze.

— Czy w twoich czasach do dobrego tonu należało zakradanie się do sypialni damy w środku nocy? — spytała,

**Tima.
— Jak**

pozwolisz...

zaraz jednak dodała z uśmiechem: — A dlaczego właściwie tak się czaisz?

— Nastął ranek — zauważył Sebastian — minęła noc, ale faktycznie etykieta nie pozwala mi przebywać w twojej komnacie. Jakkolwiek — dodał rzeczowo — moim obowiązkiem jest strzec cię aż do piana koguta. Od czasu do czasu przybywam tu, by się upewnić, że nic ci nie zagraża.

— To znaczy, że stoisz tu jak kołek, kiedy śpię? — odparła Fila, nieco zaskoczona tą deklaracją.

— Nie tylko tu. M a m też pod swą pieczę

— A on o tym wie? — spytała Fila.

— Nic mu o tym nie w i a d o m o — rzekł Sebastian — gdyż przemieszczam się po całym budynku. Wartownik, który nie patroluje całego zamku, źle wypełnia swój obowiązek.

Fila wzięła szczotkę i zaczęła rozczesywać potargane po nocy włosy.

widać, nastał dzień, więc nie potrzebuję już anioła stróża. Muszę wstawać i ubierać się. Jeśli więc Z a o k n e m rozległ się kolejny krótki, chrapliwy ryk. Fila wyrzała przez okno.

— A ten zew, który wytrącił cię z równowagi, to nic niepokojącego — powiedział Sebastian. — To tylko dwa jelenie. Mój ojciec zwykł na nie polować w asyście króla.

Jesień się zbliża i rozpoczęło się rykowisko, samce walczą o samice. Choć Anglia m o c n o się zmieniła od czasów mego ojca, w lasach i dzikich ostępach wciąż żyją te stworzenia. Spójrz.

Sebastian wskazał przez okno. Na tle mgły, ponad rzeką, Fila dostrzegła sylwetki dwóch imponujących jeleni stojących jak na baczność z potężnymi rogami w powietrzu.

Tkwiły naprzeciw siebie na tle światła poranka, zupełnie jakby pozowały do tarczy z herbem. Nagle zwierzęta po-

wspaniałe!

zawołała

Tim?

Hej!

Śniadanie!

chyliły łby, na m o m e n t zderzyły się porożem, rozdzieliły się i spokojnie rozeszły w różne strony, niknąc we mgle.

— To

—

Fila. — Nie miałam pojęcia, że takie cudowne stworzenia żyją w okolicy.

— To dostojne zwierzęta. Przychodzą z wrzosowiska do lasu. Zwykle m o ż n a je spotkać tylko o zmierzchu i o brzasku, bo są niezwykle płochliwe — objaśnił Sebastian.

— Posłuchaj — odezwała się Fila, odwracając się plecami do Sebastiana i szczotkując włosy.

— Nie potrzebujemy ochroniarza. D o m ma system alarmowy, tata zamontował

kamery, komputery i inne gadżety. Gdyby ktoś się tu zakradł, rozblęłyby światła, zaczęła wyc syrena, a firma ochroniarska dostałaby sygnał o włamaniu.

Sebastian zwlekał z odpowiedzią. W korytarzu rozległy się ciche kroki, a po chwili drzwi do sypialni się otworzyły.

— Typowe — powiedziała z rezygnacją Fila, nie zadając sobie nawet trudu, by spojrzeć przez ramię. — Nigdy nie nauczysz się pukać,

— Sorki, siostra — odparł Tim, wchodząc i zamykając za sobą drzwi. Miał już na sobie szkolny m u n d u r e k . — Gotowa?

— A wygląda na to? — zapytała zgryźliwie Fila.

W tym m o m e n c i e Tim zauważył stojącego w pokoju Sebastiana.

—

A co ty tu robisz?

Sebastian nie spieszył się z odpowiedzią. Tim spojrział na siostrę ze zdziwieniem, szybko unosząc i opuszczając brwi. Zerknęła na niego spode łba. Z głębi korytarza dobiegł głos mamy:

—
Za chwilę rozległ się głos taty:

!
kój.
była
ciągnął

— Pospieszcie się! Podwoje gimnazjum Bourne End otwierają się przed wami na oścież. Spektakularny kaganek oświaty oświeca w a m drogę ku światłej przyszłości akademickiej Fila i Tim wymienili spojrzenia. Spektakularny nale

zało do ulubionych słów taty. Sebastian przemierzył po

— Muszę zamienić z wami kilka słów, nim pójdziecie na nauki — zakomunikował, wyjmując z kieszeni peleryny cienki, złoty łańcuszek, z którego zwisał maleńki wisiorek z matowym, białym kamieniem. Wyciągnął klejnot w stronę Fila. — Przyjmij to, proszę, i noś zawsze, zwłaszcza gdy opuszczasz mury Rawne Barton.

— Dzięki — Fila była zaskoczona prezentem. — Bardzo ładny.

Tim mrugnął do Fila i znów uniósł brwi. Posłała mu kolejne mrożące spojrzenie, czuła się jednak mile połączona.

— To nie prezent — sprostował z powagą Sebastian, wieszając i zapinając łańcuszek na szyi Fila — nie jest to zwykła błyskotka, lecz Oko Niewinności i Doświadczenia, niegdyś własność królowej Joanny.

— Królowej Joanny? — powtórzył Tim.

Słyszał o królowej Elżbiecie, królowej Wiktorii i królowej Annie, a nawet królowej Budyce, ale królowa Joanna?

Imię nie brzmiało zbyt królewsko. Mieli z Filą cioteczną babkę o imieniu Joanna, która wredną, starą jędzą.

J o a n n a z Nawarry — wyjaśnił Sebastian — była żoną Henryka IV, króla Anglii. Kiedy król wojował z dala od kraju, we Francji —

Sebastian — wrogowie oskar

żyli ją o czary. Podobno chciała zabić męża, rzucając na niego urok. Aresztowano ją i wtrącono do lochu.

po-
[400.
przeleżała
podchwycił

— I stracono? — zgadywał Tim.

— Nie — odparł Sebastian — uwolniono ją, kiedy król powrócił i udowodnił, że wisiołek go chronił.

— W takim razie król nosił go podczas walk... —

wiedział Tim.

Sebastian przytaknął.

— Super! — zawołał Tim.

— Skąd go masz? — spytała Fila.

— Mój dziad wykonał go dla królowej w roku pańskim Później mu go zwróciła, się bowiem mocy, jaką posiada.

Fila spojrzała na wisiołek, który muskał jej skórę. To niewiarygodne, że ten magiczny klejnot był w XV wieku własnością królowej angielskiej, a król nosił go podczas bitew.

— Co masz na myśli, mówiąc o jego mocy? — spytała Fila i ogarnął ją lęk.

— A więc —

Tim — wszyscy w twojej rodzinie byli alchemikami, nie tylko twój tata?

Sebastian, który nie miał ochoty odpowiadać na ich pytania, uśmiechnął się tylko blado i powiedział:

— Przyjrzyj się dokładnie t e m u kamieniowi. W tej chwili jest matowy, czasami jednak będzie przejrzysty niczym kryształ. Może też drgać. W takich chwilach powinnaś szczególnie uważać.

Dwa miesiące wcześniej, Fila i Tim uznaliby taką uwagę za nedorzecznosc i zastanawialiby się, w jakie gry komputerowe gra Sebastian. Jednak po wszystkim, co razem przeszli, nie byli już zupełnymi niedowiarkami.

— Uważać na co? — spytał Tim.

— T r u d n o powiedzieć — odpowiedział enigmatycznie Sebastian. — Bądź świadoma tego, że będzie cię ostrzegał

Tima.
= To
— Jest

przed bezpośrednim niebezpieczeństwem, ponieważ często był świadkiem zła, dużo się nauczył i pojął wiele.

— Lepiej noś go na lekcjach m a t m y — Tim poradził Fili z uśmiechem. — To twoja pięta achillesowa, siostrzyczko.

Sebastian spojrział groźnie na

— Próżno u niego szukać rozwiązań dla problemów

— zauważył — ale będzie ostrzegał przed niebezpieczeństwami, które wymykają się ludzkim zmysłom.

— Naprawdę jest n a m potrzebny? — spytała wprost Fila, ignorując Tima, który wolał obrócić wszystko w żart.

— Przecież Loudaca już nie ma...

— Wkraczacie w nowy świat — odparł Sebastian.

tylko nowa szkoła — rzekł Tim — a nie inna planeta.

Już widzieliśmy dyra. Nie wygląda na p o m i o t szatana.

— Pozory mylą — rzucił jakby od niechcenia Sebastian.

— Lepiej zawsze być przygotowanym na wszystko.

— Śniadanie czeka! Czemu się tak grzebiecie? — zawołał z dołu tata.

Fila uniosła wisiorek. Ważył pewnie nie więcej niż kilka gramów i zdawał się unosić w powietrzu ponad jej dłoń.

Jeszcze jedno — dodał Sebastian.

przeznaczony wyłącznie dla ciebie i Tima. Nie dawajcie go n i k o m u i n n e m u . I trzymajcie go w ukryciu, pod ubraniem.

— Skąd m a m y wiedzieć, kiedy się zmieni, skoro będzie schowany? — spytał Tim.

— Bez obaw, zorientujecie się — zapewnił Sebastian, i dodał: — Miłego dnia.

Po tych słowach odwrócił się i opuścił pokój. N i m znikł, zobaczyli, jak rąbek peleryny ociera się o drzwi.

— Dwa gołąbeczki tu sobie gruchały, a ja je spłoszyłem?

— ironizował Tim.



odparła

cu

mika.

homunkulu-
sześćsetletni

— Nie —

gwałtownie Fila. — Nic podobnego!

Może wyjdiesz z mojego pokoju, żebyś mogła się w koń-
ubrać.

Wypchnęła brata na korytarz i ostentacyjnie zamknęła za nim drzwi.

Przy śniadaniu Fila i Tim siedzieli w milczeniu. Myśli zaprzętała im nie tyle niezbyt przyjemna perspektywa początku gimnazjum, ale wydarzenia minionego lata.

Niesamowite, że od ukończenia szkoły podstawowej w czerwcu, przeprowadzili się do nowego d o m u , a także poznali i zaprzyjaźnili się z wielusetletnim synem alche

Jeszcze bardziej zdumiewające było to, że Sebastian żył już od wielu wieków, by poskromić zło de Loudaca, wroga swego ojca — w co i oni się zaangażowali. Pomogli powstrzymać de Loudaca przed stworzeniem sa — sztucznego człowieka — co przyprawiło Filę o koszmary senne.

Spojrzała na m a m ę , która stała obok toster. Wyjęła szufladkę z okruchami i strząsnęła nad zlewem. Co by powiedzieli rodzice, zastanawiała się Fila, gdyby odkryli, że kupili dom, którego właścicielem był niegdyś nadworny alchemik angielskiego króla Henryka V, spalony na stosie na polu obok, zaś jego

syn mieszka w laboratorium we wnętrzu ziemi pod budynkiem, z którego wiedzie tajne przejście do sypialni ich córki?

Myśli Fili zakłócił dźwięk silnika samochodu zapalanego przez tatę. Dziś rano wybierał się na służbowe spotkanie w sprawie swego studia telewizyjnego, po drodze miał ich podrzucić do szkoły.

fyszylriego 75

ponaglała po- Timbo? jak wideoklipów

— Ruszajcie się! —

mama, zbierając talerze

po śniadaniu i wkładając je do zmywarki, po blacie kuchennym przesunęła w ich stronę dwa pudełka z drugim śniadaniem.

Podnosząc plecak, Fila pomyślała przelotnie, co by wiedziała mama, gdyby odkryła, że d o m u strzeże nie tylko alarm, którego panel znajduje się między lodówką a drzwiami do ogrodu, ale także Sebastian, nowy przyjaciel jej dzieci, który wędruje nocą po d o m u , jakimś cudem omijając czujki w pokojach na parterze.

— N a d czym teraz pracujesz, tato? — spytał Tim w drodze do szkoły, która mieściła się na przedmieściach pobliskiego miasta targowego Exington.

— Naprawdę cię to interesuje,

— odparł ojciec.

— Tak — potwierdził Tim — ale nie m a m już pięciu lat, więc nie nazywaj m n i e Timbo.

— To brzmi

karma dla psów — dodała Fila.

— Bo jest — odparł tata. — Pojawi się na rynku w przyszłym miesiącu.

— I m a m być ci za to wdzięczny? — spytał Tim, zażenowany tą perspektywą.

Pan Ledger skwitował to uśmiechem.

— Jeśli ktokolwiek się o tym dowie — Tim pogroził Fili

— wszyscy poznają twoje drugie imię.

By rozładować sytuację, tata ciągnął:

— Pracuję teraz nad nową kartą stałego klienta dla pewnego sklepu.

— Jak się nazywa?

— Karta. Po prostu karta.

— Kiepska nazwa — zauważył Tim.

— Nie zamierzasz robić

muzycznych? —

spytała tęsknie Fila.



skrajem

Przed nimi,

drogi szedł uczeń w m u n d u r k u gimnazjum Bourne End. Był przysadzisty i niechlujny, miał pomięte ubranie. W ruchach przypominał nieco małpę.

— Nie wiedziałem, że do waszej szkoły chodzą też uczniowie z małpiarni — zażartował pan

Rozdział
drugi

Ząby

zombie

ślepią

m martwych

krów

lowi,
15.

i

Na początku pierwszego dnia szkoły wszyscy uczniowie zebrali się w auli. Na p o d i u m przed dębowym stołem, zastawionym licznymi pucharami sportowymi i trofeami, stanął dyrektor — doktor Singall.

— Miło mi powitać — odezwał się — wszystkich powracających do gimnazjum Bourne End, a także przekraczających próg naszej szkoły po raz pierwszy. Żywię nadzieję, że przed nami pomyślny i owocny semestr. Wyniki naukowe naszej placówki podczas letnich egzaminów okazały się najlepsze z dotychczasowych, a liczę, że w przyszłości się jeszcze poprawią.

Wskazał dłonią trofea.

— Jak widzicie, są wśród nas także wybitni sportowcy.

Przy okazji chciałbym pogratulować Stephenowi Wroxal-który latem wygrał Ogólnokrajowy Maraton zawodników do lat Przemowę zagłuszyły entuzjastyczne oklaski.

— Niemniej jednak — doktor Singall ciągnął, gdy umilkły brawa — szkoła to coś więcej niż tylko wygrywanie pucharów i zdawanie egzaminów. To kuźnia waszej przyszłości. Kształtuje was na takich ludzi, jakimi okażecie się w dorosłym życiu. Tu uczycie się, jakimi będziecie przyjaciółmi, czy będziecie szanować innych, czy będziecie pra-

graczami. tygodni, 1. znajdowały O

cowici, a także, ośmielę się dodać, czy będziecie twardymi

— Rozejrzał się po auli. Grono pedagogów w towarzystwie dyżurnych stało po bokach pod fotografiami uwieczniającymi szkolne przedstawienia i zwycięskie drużyny sportowe. — Witam was w murach naszej placówki, w imieniu moim, a także całego zespołu pedagogów. Nowicjusze mają prawo czuć się zagubieni przez kilka pierwszych ale cierpliwości. Wkrótce poczujecie, że należycie do wielkiej rodziny, jaką stanowi gimnazjum Bourne End.

Po tych słowach odsunął się na bok, a jego miejsce zajęła wicedyrektorka, by odczytać szereg informacji. Kiedy skończyła, nauczyciele rozeszli się po auli, by zebrać swe klasy. Najpierw ustawiali uczniów, a następnie rozchodzili się po szkole. Fila i Tim znaleźli się w szeregach siódmej klasy i trafili do skrzydła naukowych, gdzie mieściły się pracownie wypełnione sprzętem naukowym, wyposażone głównie w taborety i stoły warsztatowe, zamiast zwykłych krzeseł i ławek. Wkroczyli do pracowni, którą napis na drzwiach określał jako: Laboratorium chemiczne nr Uczniowie weszli po cichu do sali, rozglądając się na wszystkie strony. Niektórzy oniemieli z wrażenia na widok pomocy naukowych. Na szerokich stołach stały rzędy retort, zaś buteleczki z pospolitymi związkami chemicznymi i odczynnikami

się pośrodku w drewnianych i metalowych stojakach. Trójnogi i palniki bunsenowskie stały rzędami obok mosiężnych, lśniących kurków z gazem. Niemal co metr znajdowały się zlewy z białej porcelany, a nad każdym z nich dwa wygięte, mosiężne krany.

ile w wielu klasach podłogi były drewniane, ta wyłożona była twardymi płytkami z laminatu, mocno poplamionymi w miejscach, gdzie od lat skapywały odczynniki. Wzdłuż ścian stały przeszklone szafy pełne słoików i puszek z od-

chemicznej. zamierzam!,

czynnikami, a także sprzętu takiego jak: zlewki, stojaki z probówkami i białe, elektroniczne wagi laboratoryjne.

Uczniowie rozeszli się po sali i usiedli przy stołach. Nauczyciel, który ich tu przyprowadził, stanął za wielkim sto-

łem laboratoryjnym, nieco wyższym niż stoły uczniów. Za jego plecami, przy ogromnej suchościeralnej tablicy osadzony był w ścianie wyciąg laboratoryjny. Miał szklane drzwiczki i boki oraz przewód kominowy ze srebrnej folii prowadzący ze środka okapu do wyciągu w suficie. Przez szklane boki widać było zaplecze służące do szykowania doświadczeń. Podobnie jak klasę, pomieszczenie to wypełniały szafy z odczynnikami i sprzętem. Po lewej stronie, za stołem laboratoryjnym, znajdowały się drzwi na zaplecze, a na nich, na jednej z szyb, napis: Uczniom wstęp

surowo wzbroniony.

— Dzień dobry — rzekł nauczyciel, gdy wszyscy usiedli i zwrócili oczy w jego stronę. — Nazywam się Yoland.

Jestem kierownikiem pracowni

To moja pracownia, ale także wasza klasa, a skoro tak, to musicie...

— omiół wzrokiem twarze uczniów — ...zachowywać się tu nadzwyczaj ostrożnie. Odczynniki są niebezpieczne, wiele z nich to trucizny, nie wolno w a m niczego dotykać bez mojej wyraźnej zgody. Ponadto — dodał szorstko jest tu

wiele kosztownych przyrządów, a ja nie zamierzam, powtarzam, nie tolerować jakichkolwiek zniszczeń.

Fila i Tim przelotnie spojrzeli po sobie. Nie tego się spodziewali. W podstawówce, klasy były przytulne, przyjazne dzieciom, ściany zdobiły rysunki, malunki, fryzy i prace uczniów. Obecna sala okazała się przeciwieństwem wszystkich znanych im klas. Ogarnęły ich złe przeczucia.

M i m o to oboje byli przejęci perspektywą tego, co ich tu czeka. Wychowawca co prawda sprawiał wrażenie bardzo

wymagającego

wę,

wiązywać

ciągnął

Yoland.

po

o

sali

łącznie

że

mojej

chodzenia

50

i srogiego, oboje jednak zdawali sobie sprawę z takiego podejścia. Laboratorium było naprawdę niebezpiecznym miejscem, w związku z czym musiały tu obowiązywać surowe zasady.

— Żadnego ganiań czy wygłupiania się w tej pracowni pan

— Plecaki wolno w a m tu wносить na zątku dnia i wynosić po zakończeniu zajęć. Wewnątrz nie wolno niczego spożywać ani pić, a podczas przerw, ze śniadaniową, nie wolno w a m tu przebywać, chyba w obecności

lub innego nauczyciela. Zrozumiano?

Uczniowie przytaknęli w pełnej powagi ciszy.

— Jeśli podczas przerwy pada deszcz i macie zakaz wyna szkolne boisko, w żadnym wypadku

nie wolno w a m tu wracać, macie się wówczas udać bezpośrednio do stołówki. Jasne?

Uczniowie znów ze zrozumieniem kiwnęli głowami.

— Dalej — pan Yoland wskazał drzwi — wzdłuż korytarza znajdziecie szafki. Są na nich wasze imiona i nazwiska, radzę więc każdemu sprawdzić, gdzie mieści się jego szafka. Schowajcie t a m plecaki i okrycia wierzchnie, a następnie wróćcie do mnie. Zamykacie szafki na kłódki z szyfrem, najlepiej wprowadźcie rok, który ma dla was szczególne znaczenie. Może to być rok waszych narodzin, albo jeszcze lepiej jednego z waszych rodziców czy dziadków, lub jakaś data historyczna, na przykład 1939. Łatwiej zapamiętacie szyfr. Jakies pytania? — Ponieważ nikt się nie odezwał, nauczyciel ciągnął: — Jeśli szyfr wypadnie w a m z głowy i woźny będzie musiał rozciąć kłódkę, zapłacicie za tę przyjemność 2 funty i

pensów. Kłódki są do nabycia w szkolnym sekretariacie. Inny typ kłódek nie będzie honorowany. I żadnych dyskusji na ten temat. A teraz ruszajcie do szafek.

Timem.
powiedział
poczuła
Yoland
jej.

Wszyscy wyszli z klasy, Fila za

— Ciekawa jestem, co by

Sebastian na naszą

pracownię — szepnęła Fila. Ledwie się odezwała, że ktoś ją obserwuje. Obejrzała się za siebie, spodziewając się, że

jej się przygląda, ale on został w laboratorium. Miała za sobą tylko innych uczniów.

Gdy Tim i Fila znaleźli się przy rzędzie szafek, podszedł

do nich inny pierwszoklasista. Był niski i krępy, miał gruby kark i dłonie nieproporcjonalnie wielkie w stosunku do długości rąk. Małe uszka wydawały się wyrastać z boków szyi, włosy w kolorze soli z pieprzem były krótko przystrzyżone. Fila pomyślała, że to jeden z najmniej apetycznie wyglądających chłopaków, jakich widziała. Tim rozpoznał w nim chłopca, który szedł rano skrajem drogi.

— Ty, mały — chłopak bezceremonialnie zwrócił się do Tima. — Do jakiej budy chodziłeś?

— Dopiero co się tu przeprowadziliśmy — odparł Tim.

— Nie znasz

— A ty! — chłopak zwrócił się obcesowo do Fili. —

Gdzie chodziłaś?

— To moja siostra — wyjaśnił Tim.

Niezrażony chłopak ciągnął:

— Gdzie mieszkacie?

— Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć — Fila wtrąciła się do rozmowy, bo coraz bardziej irytowało ją c h a m s t w o chłopaka — wprowadziliśmy się do Rawne Barton.

Chłopak myślał chwilę, jakby chciał przetrwać tę informację, a p o t e m obrócił się na pięcie i gwałtownie odszedł.

— To ten neandertalczyk, którego mijaliśmy w drodze do budy — zauważył Tim.

— Nazywa się Scrotton — odezwał się chłopiec stojący obok — Guy Scrotton. Chodził ze mną do podstawówki.

jej Malodorem, „nieprzyjemnym zapachem” — Jeśli

Lepiej na niego uważajcie. To wredny typ. Lubi dokuczać Nlabszym — ciągnął chłopiec. — Podlizuje się nauczycielom. Skarży na innych. Wyjątkowo wredna kanalia.

Fila i Tim znaleźli swoje szafki, a następnie wrócili do laboratorium, gdzie pan Yoland wciąż stał za wielkim stołem.

— W porządku — odezwał się, gdy wszyscy uczniowie znaleźli się znów w sali. — Siadajcie. — Otworzył dziennik i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął pióro ze złotą skuwką. — Gdy wyczytam wasze nazwisko, podejdźcie, proszę, do biurka, podajcie wasz adres zamieszkania, domowy numer telefonu, adres pracy rodziców oraz telefony do nich, jeśli je znacie.

Fila czekała, aż zostanie wywołana, poczuła, że w powietrzu unosi się nikły lecz przykry zapach, który drażnił nozdrza.

Pocierając nos szepnęła do Tima.

— Czujesz to?

Myśląc o de Loudacu zwanym także czyli

— zerknęła ukradkiem na wisiołek. Był matowy, jakby zawierał szary dym. Barwa kamienia ją uspokoiła.

— Śmierdzi zgniłymi jajami — szepnął Tim.

Dziewczynka siedząca na sąsiednim stołku powiedziała szeptem:

— W dniu zapisów pod koniec zeszłego semestru mieliśmy tu lekcję chemii. Tak pachnie gaz o nazwie siarkowodór.

— Proszę, proszę — odparł Tim półgłosem uśmiechając się do niej — niezła jesteś z chemii. — Zwróciwszy się do Fili dodał:

w jakichś pomieszczeniach będzie cuchnęło, to albo w tej sali, albo w szatni chłopaków. Jak w podstawówce, przepocone skarpety, brudne slipy i mokre swetry, które zalatują zmokłym na deszczu psem.

uśmiechnął muzycznej.

O

— Wiesz co, Tim — szepnęła Fila — czasem bywasz ordynarny.

W odpowiedzi Tim cichutko zanucił tytułową melodię z „Simpsonów” i

się. Uśmiech szybko mu jednak zrzędł, gdy uniósł głowę i ujrzał, że pan Yoland bacznie mu się przygląda z jedną brwią krytycznie uniesioną, mrużąc oczy z dezaprobatą.

— Jeśli chce ci się śpiewać — rzekł zwięźle — możesz się udać do pracowni

— Tak jest — odrzekł zawstydzony Tim.

Pan Yoland przez chwilę wpatrywał się jeszcze w Tima, ale zaraz wrócił do listy uczniów.

Wreszcie wyczytał Filę, która stanęła przed wychowawcą.

— Filipa Ledger? — spytał.

— Zgadza się — potwierdziła Fila.

— Adres?

— Rawne Barton, proszę pana — odparła Fila.

Na te słowa pan Yoland uniósł na m o m e n t wzrok znad dziennika. Światło słońca, wpadające przez okno do laboratorium, jakby błysnęło w jego oku. Fila wydawało się, że w głębi jego oka widzi jeszcze inne odbicie, smukłego, drgającego płomienia z zimnym, stożkowatym środkiem tańczącym na lekkim wietrze. Odwróciła się, by sprawdzić, czy na którejś ławce nie pali się palnik bunsenowski, ale wszystkie były zgaszone. Żaden nie był podłączony do kurka z gazem, większość sprzętu była zresztą porządnie schowana od wakacji.

— Naprawdę? — powiedział pan Yoland. — To wspaniały, stary d o m . Chyba z XV wieku, ma frapującą historię.

Wiele klas było t a m na udanych szkolnych wycieczkach.

ile dobrze pamiętam, na terenie posiadłości znajdują się

naj-
iekawsze
Fili-
do,
zerknął
się
na
ła
krótkich
Atrament
Yolanda

mopów,

rzymskie ruiny w okolicy. Powiedz mi, czym się zajmuje twój ojciec?

Robi reklamy telewizyjne — odparła Fila. — Pracuje W domu.

Fascynujące! Wprost niewiarygodne! — Pan Yoland na listę uczniów i spojrzał na Tima. — A to, jak domyślam, twój muzyczny brat, Timothy?

- Tak — potwierdziła Fila.

Gdy nauczyciel mówił, Fila poczuła delikatne drżenie piersi, jakby telefon komórkowy wibrował jej przy **Nkórze**. Dotknęła wisiora przez materiał koszuli. Poczudrgania.

Pan Yoland wpisał do dziennika dane Tima i za pomocą staromodnej linijki z mosiądzu i drewna nakreślił kilka kresek, a obok nich znaki powtórzenia. Fila zwróciła uwagę na to, jak precyzyjne i schludne ma pismo.

w jego piórze miał kolor sepia — jak stare dokumenty i wyblakłe fotografie.

Kiedy Fila odwróciła się, by pójść na miejsce, poczuła że drgania słabną, jednak płomień gorejący w spojrzeniu pana

pozostawił w jej własnym wzroku przesuwający się obraz, który widocznie wżarł się w jej siatkówkę. Jednocześnie nikły zapach perfum unosił się wokół

nauczyciela, jakby skropił się silnym płynem po goleniu o zapachu tymianku i cytryny.

Po wpisaniu wszystkich uczniów, nauczyciel rozdał plan lekcji i m a p k ę budynku szkoły. Uczniowie mogli opuścić klasę, by odnaleźć sale, w których będą się uczyć.

Gmaszysko było olbrzymie, ale łatwo się było połapać, gdzie co jest. Wszystkie pracownie oznakowano tabliczkami, nawet pakamera woźnego pełna odkurzaczy przemysłowych, wiader i puszek z pastą do podłóg miała

części.

krykieta,

Yolandzie?

jak

Myślę

tabliczkę z napisem: Dozorca. Niektóre klasy były naprawdę duże: w pracowni geograficznej zwisał z sufitu okazały globus, zaś w historycznej stały gabloty pełne kamiennych narzędzi i starych butelek z obrazkami, a na ścianach wisiały plany pamiętnych bitew. W pracowni informatycznej stały szeregi k o m p u t e r ó w i drukarek. Pracownia do zajęć praktyczno-technicznych kryła maszyny do strugania, piłę tarczową i taśmową, tokarki do drewna i metalu, kowadło i kowadełka — a także stary samochód mini m e t r o roz

łożony na

W plastycznej — stały rzędy sztalug, koła garncarskie i piec ceramiczny do wypalania gliny. Wzdłuż ścian pracowni biologicznej ciągnęły się regały z zakonserwowanymi w słojach okazami — żaby i traszki, spreparowany kurczak, krowi łeb przepołowiony wzdłuż, by było widać wnętrze. Z jednego z naczyń oczy krowy spoglądały niepokojąco z mętnej cieczy.

O g r o m n e wrażenie robiła sala gimnastyczna: było w niej wiele rozmaitych sprzętów od

niebieskich materacy po siatki do salowego drabinki i liny, poręczce, ławy, trampolina i kilka kozłów.

Na przerwie Fila i Tim podążyli z innymi uczniami na szkolne boisko. Większość siódmoklasistów rozmawiała z kolegami z podstawówki, a ponieważ Fila i Tim byli tu obcy, trzymali się razem. Zauważyli, że Scrotton też do nikogo nie podchodzi.

— I jak ci się tu podoba? — Fila spytała brata.

— Robi wrażenie — odparł Tim.

— A co sądzisz o

— Założę się, że kiedy

został nauczycielem, stosowano jeszcze karę chłosty i musiał nosić czarną togę, w której wyglądał, Batman, który zszedł na psy.

—

— dodał Tim — że lepiej z nim nie zadzierać.

tego

ton

nie zwracać

Tuż przed dzwonkiem na lekcję znów podszedł do nich Scrotton z wkurzającym uśmiechem na twarzy.

— Dobry jesteś z chemii? — spytał wprost Tima.

Raczej nie — wyznał Tim. — Wcześniej nie miałem przedmiotu, moja siostra zresztą też. W podstawówce nie mieliśmy nauki ścisłych.

— Phi! A ja jestem orłem z chemii — powiedział Scrotton lekceważąco. Odwracając się, pchnął jakiegoś chłopaka, który akurat znalazł się na jego drodze.

Kiedy już odszedł, Fila powiedziała ściszym głosem:

— Trochę jedzie od niego.

— Ale tylko trochę — potwierdził Tim. — Czas najwyższy, by zaprzyjaźnił się z wodą i mydłem.

— Powinien też nawiązać znajomość z pastą do zębów — dodała Fila — ale ten zapach to nie tylko niemyte ciało i nieświeży oddech. On pachnie... — szukała odpowiedniego słowa — ...jak ziemia.

— I co z tego? — powiedział Tim. — Będziemy się trzymać z dala od niego. Z czasem przestanie się nami interesować, a my będziemy go ignorować. To duża szkoła samych pierwszoklasistów jest ze dwustu. Jeśli się postaramy, możemy go omijać.

Kiedy wrócili do pracowni chemicznej, czekało ich jeszcze trochę formalności. Scrotton wszedł do sali i usiadł na rogu ławki, niedaleko Tima. Wpatrywał się w niego, jakby chciał mu się dokładnie przyjrzeć albo nawiązać z nim kontakt wzrokowy i zacząć rozmowę. Od czasu do czasu spoglądał w stronę pana Yolanda. Nauczyciel, który tylko raz dostrzegł spojrzenie Scrottona, zignorował go. Tim również starał się na niego uwagi.

Kiedy rozległ się dzwonek na długą przerwę, Fila i Tim wzięli z szafek drugie śniadanie i udali się z innymi ucznia-

„Stołówka”.

Pośrodku

usiadły

późno

Pech!

swoją

dodał: — Moja

h!

zawołał

piasku.

widoczn

ttona i dodał:

Moja jest

pastą

jarzynową i

sałatą

!

odczędł

miedzv

sto

Ledger

oderwał

szurilo

coś

nych

W

W

łuje

Metr

Yolandem

grzebie

nie

— Jak

|

iedy

pomocy

— Jasne

z

kolej-

l

z

Tim

na

ów usiadła

chylito

na

dnia

Fila

l

l im

ów wicuzau

ćwiczeń.

wuefi

ściany

i

nieśmiało
wyczuła

zapukała kilka
w
a!

ci
razy
panowała cisza,

Sebastiana przez
potem

na
przechodzą-
30

mi do dużej sali z napisem

Po jednej stronie

Przechodząc obok nauczyciela, Fila poczuła przez chwilę pomieszczenia stała lada, gdzie można było kupić kartodziwnego. Chociaż stał co najmniej dwa metry od niej, niki z sokiem lub mlekiem, napoje, herbatniki, słodycze, I rękoma założonymi na piersi, spoglądając w stronę inowoce, porcjowane sałatki i pakowane kanapki.

uczniów odchodzących korytarzem, poczuła że w pe-znajdowały się plastikowe krzesła i stoliki. Dzieci len sposób do niej dociera. Jakby przechodziła przez pole przy jednym i otworzyły swoje pudełka z drugim śniadamagnetyczne, które przyciąga każdą komórkę jej ciała, wy-niem. Kiedy zaczęły jeść, podszedł do nich Scotton mrowienie w każdym mięśniu i szarpie każdy nerw.

i usiadł po przeciwnej stronie stołu. Wyglądało na to, że za p a n e m

stał Scotton, który udawał, że
nie ma nic do jedzenia.

w brudnej torbie sportowej, ale tak naprawdę baczprzyglądał się Fili.

— Co t a m macie? — spytał.

— Kanapki

odparła Fila.

w a m minął dzień, dzieciaki? — spytał pan Ledger,

— Z czym? — dopytywał Scotton.

wsiedli do samochodu.

T i m kopnął pod stołem Filę w kostkę, ale było za

— To o g r o m n a szkoła — oznajmił Tim. — M n ó s t w o

— Z serem i p o m i d o r e m — odpowiedziała.

naukowych. W niczym nie przypomina podstawówki.

— Dajcie mi jedną. Nie wziąłem z d o m u — zażąda

— podchwycił p a n Ledger. — To dopiero szkoła Scotton.

prawdziwego zdarzenia. Kolejny etap edukacji. Esencja

— Nic nie dostaniesz — powiedział stanowczo T i m nauki! Koniec z igraszkami w piaskownicy, zabawą Jeśli jesteś głodny, to sobie coś kup.

I

tuleniem chomika Jerzyka i serwowaniem ciasteczek

— Z a p o m n i a ł e m pieniędzy — odparł Scotton.

T i m i na przekór natrętowi wgryzł si< I piasku.

—

— zawołał T i m i na przekór natrętowi wgryzł

kanapkę, trzymając ją tak, by była dobrze

-

— Tato,

Tato cz

,

y

cz t

y y mas

y

z jakiegokolwiek pojęcie o

o tym, co row

z

biliśmy w podstawówce? — obruszyła się Fila dla Scottona i

jest z pas

Pan

r_

Pan Ledger oderwał na chwilę wzrok od drogi, odwrócił się Scotton uśmiechnął się szyderczo i odszedł między sto tami.

i puszczając do nich oko powiedział z szerokim uśmiechem:

— Nie m a m zielonego pojęcia.

— Milusiński! — zawołała Fila.

W każdej szkole znajdzie się taki - zauważył

Tuż po herbacie Fila i Tim poszli do swoich pokoi, ustadnia Fila i T i m odwiedzali pozostałych wili nowe książki na półkach i przebrali się. P o t e m Fila Przez resztę na łóżku, a Tim przysiadł obok. Dziewczynka uczyli. W każdej klasie dostali komplety podręcznikó\

i

Zanieśli wszystkie książki do szafek. N a chyliła się w stronę przydzielono ich do dwóch różnych grup.

drewniane deski. Przez chwilę panowała N a koniec zajęć wrócili do pracowni chemicznej, a s t a n usłyszeli zza ściany odległe kroki tąd wyprawili ich do d o m u pan Yoland, stojący obok drzwi :ego tajnym przejściem.

31

Loudakiem,

ale

zasunął

turec-

szkoła?

usły

naszej

Jes

żi

Przez kilka tygodni, od czasu walki z de rzadko spotykali Sebastiana. Parę razy widzieli go z daleka, nad rzeką, zwykle wieczorem: s a m o t n a postać snująca się wzdłuż brzegu, pogrążona w myślach, z rękoma splecionymi z tyłu. D w u k r o t n i e podszedł do d o m u , tylko na

chwilę. Był wówczas m a ł o m ó w n y . Kiedy Fila spytała go, o czym rozmyśla, rzekł tylko, że choć de Loudaca już nie ma, on, Sebastian, wciąż jest niespokojny i nawet po aqua soporiferum, miksturze nasennej, nie m o ż e zapaść w głęboki sen. A to znak, ciągnął, że coś wciąż jest nie w porządku, ale nie wie co. Kiedy Tim spytał go, czy martwi się tym, że Małodor może wrócić, nie odpowiedział

wprost, zauważył tylko ogólnikowo, że na świecie pozostało jeszcze wiele zła.

Sebastian wygramolił się zza deski w ścianie i ją za sobą.

— Mieliście udany dzień? — spytał, usiadłszy po ku na podłodze przed rodzeństwem. — Jak nowa

— Ogromniasta — odpowiedział Tim. — Pewnie ma co najmniej tysiąc uczniów i ponad pięćdziesięciu nauczycieli

— Naszym wychowawcą jest facet od chemii — dodał Fila.

— Dziwny jegomość — ciągnął Tim. — Ma słuch czuł jak nietoperz. Nucilem sobie coś pod nosem, a on to szał z pięciu metrów. Trochę srogi, ale pracownią klasy jest laboratorium chemiczne, więc pewnie m u s i by taki.

— Ale to jeszcze nie wszystko — dodała Fila. — przerażający. Kiedy patrzy na ciebie, ma się wrażenie, przesywa cię wzrokiem.

Brązowe

Krusty

O Krustym.

A z mu i

— Naprawdę? — zdumiał się Sebastian i dodał: — Opiszcie mi go.

Tim przywołał w myśli wygląd nauczyciela.

— Wysoki — zaczął — chudy, długie, kościste palce.

siwiejące włosy. Dziwaczna fryzura. Łysina na czubku głowy. Trochę jak u klauna z Simpsonów, tyle że nie jest zielony.

Sebastian spojrzał skonsternowany.

— Nieważne — powiedziała Fila — pewnie nie słyszałeś

— Szpiczasty nos — ciągnął Tim.

— nosa sterczą mu włosy — wtrąciła się Fila.

— W uszach też rosną gęste kępkki.

— Ile dalibyście mu lat? — spytał Sebastian.

— Musi być po pięćdziesiątce — zgadywał Tim. — Ma bladą skórę i wielkie uszy.

— A oczy? — dopytywał Sebastian.

Fili ciarki przebiegły po plecach. Domyśliła się, ku czezmierza ta rozmowa.

— Ciemne — odparła. — I głębokie. Odbijało się w nich światło wpadające przez o k n o — zawiesiła głos — zupełnie, jakby wewnątrz jego głowy palił się płomień. Do tego

— dodała — używa płynu po goleniu o silnym zapachu.

— Ziół i owoców cytrusowych? — spytał Sebastian.

Fili znów dreszcze przeszły po grzbiecie.

— Zgadza się — kiwnęła głową — głównie tymianku cytryny.

— To wcale nie płyn po goleniu — wyjaśnił Sebastian.

— Tylko w oń balsaminki.

— Czego? — zdziwił się Tim.

— Za czasów ojca mego — wytłumaczył Sebastian —
wierżono, że przykre zapachy są źródłem chorób, którym

Yolanda,
wychowawca...?

za

— Jestem

wychowaw-

można jednak zapobiec, przeciwdziałając przyjemnymi woniami. Z tej też przyczyny ludzie nosili przy sobie cytryny i inne cytrusy, często naszpikowane goździkami, by wydzielały mocny, zbawienny zapach. Oczywiście tylko bogacze mogli sobie na to pozwolić, gdyż takie owoce były rzadkie i kosztowne.

— Coś jak aromaterapia — zauważyła Fila. — I co, działało?

— Nie — odparł Sebastian. — Nie da się powstrzymać chorób za pomocą li tylko samych wonności.

— Pod koniec dnia — ciągnęła Fila — kiedy szliśmy do domu, miałam przedziwne uczucie.

Kiedy przechodziłam obok

miałam wrażenie, że w jakiś sposób mnie przyciąga. Spoglądał w inną stronę, nie był też wcale blisko, a jednak...

— A wisiołek? — spytał Sebastian.

— Nie mogłam na niego spojrzeć, nie budząc podejrzeń

— przyznała Fila — ale wibrował, kiedy nauczyciel wpisywał moje dane do dziennika.

Tim zaczął uświadamiać sobie prawdę.

— Chcesz przez to powiedzieć — spytał Sebastiana — że nasz

— Chciałbym też wiedzieć — ciągnął Sebastian ignorując pytanie — czy jest w waszej klasie drobny młodzian, który budzi wstręt?

Tym razem przytaknął Tim.

— Niech zgadnę — powiedział Sebastian — nazywa się Guy Scratton.

— Scrotton — poprawił go Tim. — Guy Scrotton.

— Czas słowa zmienia — rzekł Sebastian i dodał w d u m i e :

bardziej niż pewien, że wasz

ca zwię się Yolanda.

potwierdził

miż

strach

tem

homunkulusa,

Tim aurum

— To

— Tak —

Tim głosem niewiele głośniejszym drżący szept.

- Więc ty ich znasz? — zdumiała się Fila. Czuła, jak paraliżuje jej całe ciało.

— Poniekąd — odparł Sebastian. — Powiedzmy, że znaich dawno, dawno t e m u .

— Zaraz, zaraz! — zawołał Tim. — Chcesz przez to powiedzieć, że Scrotton i Yoland mają, jak ty, po sześćset lat?

— I potrafią, jak ty, zapadać w stan hibernacji? — spytała Fila.

— Nie — odparł Sebastian. — Żaden z nich nie zna aqua soporiferum, który pozwala mi, jak to ujęliście, zapadać w stan hibernacji. Tylko ja posiadam tę wiedzę, którą przekazał mi ojciec.

Pamiętacie o trzech celach alchemii — ciągnął — o których w a m mówiłem?

— Stworzenie

przetwarzanie pospolitych

metali w złoto i osiągnięcie nieśmiertelności — wyrecytował

— To ostatnie — dodał Sebastian — m o ż n a osiągnąć dzięki wynalezieniu elixir vitae, czyli eliksiru życia, znanego także pod nazwą potabile, a więc płynnego złota.

Yolandowi najwyraźniej udało się pozyskać eliksir, jednak nie najlepszej jakości, gdyż się starzeje, aczkolwiek powoli.

— Więc i Scrotton czasem łyknie tego eliksiru? — zgadywał Tim.

— Otóż nie — odparł Sebastian. — Scrotton obchodzi się bez eliksiru. Po prostu nie umiera.

Akurat! — obruszył się Tim.

niemożliwe. Każda

żywa istota, wcześniej czy później umiera.

— Wręcz przeciwnie — zaoponował Sebastian — Scrotton już umarł, d a w n o t e m u i teraz... jakby to ująć...

się!

pro-

rodził!

spytał

6000-letniego

— Zmartwychwstał? — podsunęła z d u m i o n a Fila.

— Niezupełnie — odparł Sebastian. — Raczej zakonserwował się.

— Zakonserwował

zawołała Fila.

— Jak marynowane ogórki? — dodał Tim. Spojrzał na Filę. — To by tłumaczyło ten odór.

— Słyszeliście o balsamowaniu zwłok? — spytał Sebastian.

— Starożytni Egipcjanie tak obchodzili się ze zmarłymi faraonami — odpowiedział Tim. — Widziałem o tym gram dokumentalny w telewizji.

— Czyniono to — tłumaczył Sebastian — by mogli się odrodzić w ludzkiej postaci w zaświatach.

— Więc Scrotton to starożytny Egipcjanin, który się od

— wypaliła Fila.

— Ucieleśniona klątwa faraonów? — dodał Tim unosząc dłonie, wyginając palce jak szpony i wymachując rękoma.

— Powrót m u m i i !

— Nie — uciał Sebastian. — Umiejętność balsamowania przywieźli do naszego kraju feniccy żeglarze na długo przed Chrystusem. Starożytni Brytyjczycy nauczyli się tej sztuki od nich. Jestem pewien, że Scrotton nigdy nie opuszczał naszej wyspy.

— To ile on ma lat? —

Tim.

— Niech no pomyślę... Jakieś sześć tysięcy...

Fila i Tim nie potrafili wykrztusić ani słowa.

— To się nie mieści w głowie — powiedział Tim po dłuższej chwili.

— Chcesz n a m wmówić — odezwała się Fila — że m a m y w klasie kolegę ze starożytnej Brytanii?

— Pewnie jego tatuś machał kielnią, gdy b u d o w a n o Sto-nehenge — rzucił bez zajknięcia Tim.

„Kielnią”
rodziciel
me-
ku
ze
mika,
bywali
Yolanda.

- Nie m a m pojęcia, co masz na myśli, mówiąc „machał

— rzekł Sebastian — aczkolwiek nie m o ż n a wykluczyć, że jego brał udział w budowie owej li tycznej budowli.

- Warto, siostruniu — zapalił się Tim — ściągać od niego na klasówkach z histy.

— To wyborny pomysł — przytaknął Sebastian — bo Scrotton wcale nie jest takim półgłówkiem, za jakiego m o uchodzić. Jest bądź co bądź zausznikiem.

Jakim znowu nausznikiem? — spytał Tim.

Sebastian uśmiechnął się z lekkim pobłażaniem.

— Zausznik to osoba zaufana, pomocnik, czasem alcheczasem kogoś innego praktykującego czary.

— Tak jak czarownice zawsze miały czarnego kota, ropuchę albo coś takiego? — zgadywał Tim.

— Poniekąd — potwierdził Sebastian — choć takie opowieści należy raczej włożyć między

bajki. Prawdziwy zausznik był najczęściej osobistym służącym — ciągnął

który troszczył się o potrzeby swego pana czy pani i asystował im przy pracy. Z czasem najbardziej doświadczeni asystenci stawali się niemal tak światli, jak ich pracodawcy, ponieważ z biegiem lat nabierali doświadczenia i zdrowie.

Wtedy rodzeństwo przypomniało sobie słowa chłopca, który stał obok nich przy szafkach: podlizuje się nauczycielom. Stwierdzenie to nabrało teraz zupełnie nowego znaczenia — Scotton może być asystentem Fila,

chyba po raz pierwszy w życiu, odnalazła dłoń brata na kołdrze i mocno ją ścisnęła.

— W takim razie — odezwała się drżącym głosem, bo wcale niespieszno jej było poznać odpowiedź — kim lub czym jest Yolanda?

opo

po

Zo

szlachecki

Yolanda

korzy-

studentem

Oksfordzkim.

się

bo-

wtedy...

chybio-

wycią-

— Zapewne pamiętacie — zaczął Sebastian — jak wiadałem w a m o m o i m ojcu, który był nadwornym alchemikiem u króla Henryka V. Przypominacie sobie, że śmierci króla rozgorzała walka o wpływy i Humfrey, książę Gloucester, odebrał królewski tron małoletniemu królowi Henrykowi VI?

Fila i Tim kiwnęli głowami.

— Kiedy plan Gloucestera dotyczący przejęcia władzy królewskiej został udaremniony — mówił dalej Sebastian

— i jego brata, księcia Bedford obwołano regentem, Gloucester postanowił, że za wszelką cenę zdobędzie władzę.

stał Protektorem i Obrońcą Królestwa oraz Kościoła, dostał

tytuł

hrabiego Pembroke. Mocno uwikłany w politykę chciał wiedzieć, co knują jego oponenti. Ktoś

musiał

mu pomóc, dlatego też zgłosił się do i zaczął stać z jego usług. Poznali się, gdy Yoland był teologii w Kolegium Balliol na Uniwersytecie

— A więc Yoland był nadwornym alchemikiem Glouceстера, jak twój ojciec? — podsunęła Fila.

— Tak! — zawołał Tim, wszystkie wydarzenia ułożyły mu się w logiczny ciąg. — Gdyby

Gloucesterowi udało sztuka przemiany żelaza w złoto, stałby się obłędnie gaty i mógłby stworzyć potężną armię, a Sebastian uniósł dłoń.

— Śmiała hipoteza — powiedział — aczkolwiek na, albowiem Yoland nie był doświadczonym alchemikiem. Przemiana metali czy też powołanie do życia ho-m u n k u l u s a wykraczały poza jego umiejętności. Choć w czasie studiów liźnął wiedzy alchemicznej, był bardziej magiem, którego dziś określilibyśmy m i a n e m magika.

— Magika? — zdumiał się Tim. — To znaczy, że gał z cylindra króliki i monety z uszu?

myślność kimś, wykonywane O mężów ich je Wykradać...? Glou- cester

— Nie — odparł Sebastian, irytując się lekko na bez

Tima. — Był magiem, człowiekiem światłym, kto posiadał dużą wiedzę. Przytoczyłeś tu sztuczki, przez nadwornych kuglarzy i błaznów.

—
jakiej wiedzy mówisz? — spytała Fila.

Sebastian zamyślił się na chwilę.

- Yolanda fascynowała alchemia, jak wielu uczonych w owych czasach, jednak to, co interesowało go najbardziej, to... — zawiesił głos i spojrzał przez okno w stronę rzeki — zrozumienie pierwotnych instynktów człowieka.

Można by go nazwać kimś w rodzaju... — Sebastian znów zawiesił głos — ...złego psychiatry, człowieka który pragnął...

— ...wniknąć do ludzkich umysłów — podrzucił Tim.

— Poniekąd — odparł Sebastian. — Chciał poznać m o tywy kierujące ludźmi, zaglądając w głąb ich dusz. Znając pragnienia, mógł sterować ich duszami. I ostatecznie wykradać.

— powtórzyła Fila.

— Nie w takim sensie, jak kradnie się m o n e t y czy kosztowności — wyjaśnił Sebastian. — Chodziło tu raczej o rząd dusz. Wystarczy poznać p e w n e myśli kryjące się w umyśle drugiego człowieka, by osiąść jego najskrytsze sekrety. A im głębiej uda się wdrzeć, tym większą m o ż n a sprawować kontrolę.

— Chcesz przez to powiedzieć — p o d s u m o w a ł Tim

— że Yoland miał wkradać się do umysłów wrogów i poznawać ich marzenia, by księżę wiedział, jak ich przekupywać.

— Otóż to! — zawołał Sebastian. — I to właśnie miało miejsce. Jednak Gloucester nie wyszedł na tym dobrze.

Z czasem rosło grono jego wrogów, jego żonę oskarżono o czary i uwięziono w Pałacu Leeds w hrabstwie Kent.

nastawanie
spiskow

— Nie — odparł
Sebastian — król
folka,

O
zniewala
mu

Część jego popleczników, których — jak to ująłeś — przekupił, oskarżono o na życie króla, którego

miejsce na tronie miałby zająć ich mistrz. W ś r ó d ców był syn Glouceстера, Artur.

— A kiedy już odkryto spisek — wnioskowała Fila — to pewnie wszyscy zostali straceni? im wybaczył. Warto w a m

wiedzieć, że jego wysokość wiedział o mocy Yolanda. Był przekonany, że ludzie Glouceстера i jego syn zostali zakłęci.

— Co się stało z Gloucesterem? — spytała Fila.

— Zmarł w Roku Pańskim 1447 — odparł Sebastian.

— Niektórzy sądzą, że otruli go zwolennicy hrabiego Suf-jego wroga. Inni uważali, że przyczyną śmierci była apopleksja. Słyszałem jednak rozmowę, na której podstawie skłonny jestem sądzić, że to Yoland go zabił, by nikt nie odkrył tego, że maczał palce w obaleniu króla.

— W jaki sposób go zabił? — dociekał Tim.

— ile mi dobrze w i a d o m o — odparł Sebastian — podał mu quiche z m i o d e m i szafranem, nadziewany lulkiem czarnym.

— Co za historia — zadumał się Tim. — Nasz wychowawca jest mordercą i zdrajcą, który umysły. Co

gorszego m o ż n a sobie wyobrazić... — a po chwili dokończył — prócz księcia Glouceстера.

— Nie oceniaj Glouceстера zbyt surowo — zaprotestował Sebastian. — Wiele osób nazywało go Dobrym Księciem Humfreyem. Był niezwykle czytany i wielce wykształconym człowiekiem, kolekcjonował książki.

Przekazał swój księgozbiór Uniwersytetowi Oxfordzkie-i wszystkie woluminy zgromadzone są w potężnym gmazysku, zwanym Biblioteką Księcia Humfrya.

— Można je wypożyczać? — spytał zdumiony Tim.

uśmiechnął

można

land

itu

tiana.

rozdawające

Sebastian

się.

— Nie wolno ich stamtąd wynosić, bo to białe kruki, ale je przeglądać na miejscu.

Super! — ucieszył się Tim.

Chciałabym coś ustalić — odezwała się Fila. — Yo-potrafi czytać w umysłach innych ludzi, poznawać ich **myśli** i przekabacać na swoją stronę.

— Tak — stanowczo potwierdził Sebastian.

— Więc Yoland potrafi czytać w myślach, jak w otwartej księdze! — zawołał Tim. — I taki człowiek jest naszym wychowawcą. Ale odlot! — dodał z ironią. — Nie będzie można wciskać kitu typu: „Nie m a m dziś pracy d o m o wej, bo zjadł ją kot. Przejrzy każde twoje kłamstwo. Ale nie wydaje mi się wcale taki groźny. Nie będzie nas przecież zamieniał w trytony ani ślimaki, nie chce stworzyć kolejnego h o m u n k u l u s a , nie m a m więc pojęcia, czemu chce wnikać w nasze umysły. Jesteśmy tylko uczniami. Co mu przyjdzie z manipulowania nami?

Fila w milczeniu wysłuchiwała brata.

— Nie byłabym tego taka pewna. — Spojrzała na Sebas-

— Bo po co by tak na m n i e oddziaływał?

— Chciał wniknąć w twą duszę — wyjaśnił Sebastian sprawdzając, jak łatwo może zawładnąć twym umysłem.

Fili aż ciarki przeszły po plecach.

— Czemu ja? — wyszeptwała. — Co takiego kryje mój umysł, że chce w nim czytać? Chce poznać najlepszy szampon na się końcówki włosów? Albo dowiedzieć się, jak szukać w Internecie plotek o gwiazdach?

— To się jeszcze okaże — odparł Sebastian, co bynajmniej nie uspokoiło Fili.

W tym m o m e n c i e pan Ledger zawołał ich z parteru na kolację.

dziś

stronę.

złowroźbnie

jak

brawu

Paryż-Dakar.

dotarł

po

uśmie

chem.

— Czas na m n i e — oświadczył Sebastian. — Muszę przemyśleć dalszy rozwój wypadków. Do zobaczenia wieczorem.

Odchylił panel w ścianie i przeszedł na drugą. Deska opadła. Słyszeli, jak schodzi ukrytym w murze przejściem. Robił mniej szmeru niż chrobocząca mysz.

— Domyślam się, że nic w a m nie zadali? — spytała]

mama, gdy usiedli do kolacji.

— Na razie nie — powiedział Tim. — Lekcje się właściwie nie zaczęły.

— Jeszcze w a m dadzą popalić — oznajmił

tata. — Macie to jak w banku. Niebawem zapomnicie, korzystać z pilota telewizyjnego.

©

Po kolacji Sebastian zajrzał do Tima, który akurat siedział

przy k o m p u t e r z e i grał w rajd samochodowy. Przez kilka minut obserwował przez ramię, jak chłopiec prowadzi rowo srebrzystą wirtualną toyotę Land Cruiser krętą drogą wśród wydm na trasie

Dopiero gdy Tim

do kolejnego p u n k t u kontrolnego, Sebastian się odezwał:

— Wszystko przemyślałem — obwieścił. — Musimy gadać.

Wstąpili po Filę do jej pokoju, zeszli na parter i wyszli na zewnątrz przez kuchnię. Kiedy przechodzili, pani Ledger powiedziała z sympatią:

— Witaj, Sebastianie!

— Dobry wieczór, pani Ledger — odezwał się Sebastian

— M a m nadzieję, że dobrze się pani miewa.

— Dziękuję, m a m się całkiem nieźle — odparła z

W

podążając

II

NÓW

łych usiłował myki, tygodni

Przechodząc obok otwartego okna do kuchni rodzeń-
usłyszało, jak m a m a zwraca się do taty:

— Jaki ułożony jest ten Sebastian. Zupełnie nie pasuje do dzisiejszych czasów!

Fila i Tim uśmiechnęli się do siebie i poszli dalej.

Zapadał zmierzch, gdy szli wśród pól ku rzece, foieżką wykoszoną na łące przez pana Ledgera.

Kiedy dotar do kępy wierzb chylących się nad wodą, skręcili i ruszyli wzdłuż brzegu rzeki w stronę zagajnika zwanego, od czaojca Sebastiana, Edenem. N u r t niósł m n ó s t w o opadliści i gałęzi. W o d a była czarna i płynęła wartko. Tim wypatrzeć pstrągi, t a m gdzie d n o pokrywały kaale przy takim świetle nie był w stanie niczego dojrzeć w wodnej toni.

Gdy znaleźli się na skraju zagajnika, Sebastian wszedł

między drzewa, kierując się ku polanie. Grządki alchemicznych ziół, które Fila porządkowała raptem parę temu, bujnie porosły, wiele roślin wydało już nasiona, a niektóre obumarły. Byliny uginały się pod ciężarem owoców lub przejrzałych jagód i sprawiały dość ponure wrażenie. Pośrodku polany stała n o w a ławka, którą ustawiła pani Ledger. Polubiła ten niewielki zagajnik, często tu przychodziła popołudniami w letnie weekendy, by poczytać lub tylko posiedzieć z m ę ż e m przy tacce chipsów, butelce schłodzonego wina czy dzbanie margarity z lodem — ich ulubionego letniego koktajlu.

Nieraz zachwycała się, że polana jest tak zaciszna, że świat dookoła zdaje się nie istnieć, gdy zaszywa się t a m z dobrą książką.

— To iście magiczne miejsce — powtarzała.

Na te słowa jej dzieci zawsze uśmiechały się z pobłażaniem, ale nic nie mówiły.

aurum

W ciągu kilku m i n u t Sebastian obszedł polanę, zrywając torebki nasienne oraz zeschnięte liście i umieszczając je w niewielkim skórzanym woreczku wiszącym u paska. Gdy skończył, wskazał ławkę i zaproponował:

— Może spoczniemy.

Na drugim brzegu rzeki samiec bażanta zaczął głośno gdakać w wysokiej trawie, samica podchwyciła jego zew i odezwała się od strony kamieniołomu. Dźwięki te przstraszyły Filę. Małe ptaszki śmigały bezszelestnie wśród gałęzi, szykując się do snu. Lekki wietrzyk pieścił szumiące liście.

— No i? — spytał wreszcie Tim, przerywając milczenie.

— Co się tu dzieje, Sebastianie? W co pogrywa Yolanda?

Sebastian odpowiedział dopiero po chwili:

— Jego zamiarów na p e w n o nie m o ż n a nazwać grą. Od Malodora różni go to, że nie chce stworzyć h o m u n k u l u s a , gdyż brak mu odpowiednich umiejętności. Możliwe, że pragnie udoskonalić

potabile, ale w jego przypadku

raczej bym się tego nie spodziewał. Nie potrzebuje go pilnie, gdyż starzeje się bardzo powoli. Może się jednakowoż skupić na przemianie pospolitych metali w złoto. Ale i o to go nie podejrzewam.

— A czy udało się to k o m u ś kiedykolwiek? — spytała dość sceptycznie Fila.

Sebastian uśmiechnął się blado i przyznał:

— Za czasów mego ojca było wielu szarlatanów, którzy twierdzili, że im się powiodło, by zyskać względy wpływowych ludzi, jednak nigdy nie widziałem tego osiągnięcia 1 na własne oczy. Aliści — ciągnął — to możliwe, przy dzisiejszych osiągnięciach naukowych. Można przetworzyć jeden pierwiastek w inny w odpowiednich warunkach, przy wysokiej temperaturze i ciśnieniu. Mój ojciec opra-

ował
w odpowiednich
próbówce
i
potwierdził
jego.
Cóżka
mikró-
wemii
Bank
ku
płacił?
złota

teorię, jednak w jego czasach nie udało się osiągnąć warunków. Dziś jest to możliwe.

Jasne — potwierdził T i m — ale nie w szkolnym laboratorium.

— W istocie —

Sebastian. — Aczkolwiek,

dysponując odpowiednim sprzętem Yoland m o ż e dopiąć

— No tak! — zawołał Tim. — Odpowiedni sprzęt! Planaukowa wielkości miasteczka, z tysiącami pracow-i wielomiliardowym b u d ż e t e m . Skromny nauczyciel na państwowej posiadce może o tym najwyżej pomarzyć. Poza tym — ciągnął — na co on liczy? Rząd czy Angielski albo p o d o b n a instytucja mogłaby wykorzystać to bogactwo, ale zwykły śmiertelnik niewiele może zrobić ze złotem.

Sebastian spojrział ze zdumieniem.

— Nie r o z u m i e m — powiedział. — Złoto jest najkosztowniejszym kruszczem.

— Czas na trzydziestą drugą lekcję ze studiów XXI wie
— obwieścił Tim. — Za twoich czasów, gdy ktoś chciał
kupić chleb, przynosił do piekarza m o n e t ę z brązu i dostawał za nią bochenek — zaczął.
— Raczej kilka b o c h n ó w — sprostował Sebastian a m o n e t a była srebrna.
— Wszystko jedno — powiedział Tim, szukając innego przykładu. — No, dobra, ile twój ojciec
by zapłacił za porządnego konia?
— Nie rozeznaję się w tym — odparł Sebastian.
— R o z u m i e m — powiedział Tim — ale jak za niego
— Monetami, zwykle ze szczerego złota lub uncjami
— wyjaśnił Sebastian. — Tak dobijało się targu.

automa
Yolan
wyjął
bacznie

— No właśnie — podchwycił Tim. — Dziś jest inaczej.
Jeśli chcesz coś kupić, możesz oczywiście zapłacić monetą.

— Wyjął z kieszeni m o n e t ę funtową, podrzucił ją do góry, złapał i znów schował. — Wygląda
na złotą, ale wcale nie jest. Ma niewielką wartość. Wystarczy co najwyżej na porcję frytek. Nie
wolno n a m jednak lokować ani wyciągać złota z banku. Spróbuj zapłacić złotem w kasie i pasztet
gotowy! Alarm zaczyna wyc, kraty zamykają się tycnie, zamykają się drzwi i zaraz otaczają cię
smerfy.

— Co za smerfy? — spytał Sebastian.

Tak pieszczotliwie nazywamy policję — wyjaśniła Fila.

— Chodzi o to — ciągnął Tim — że nawet gdyby miał odpowiednie środki, produkcja złota
byłaby stratą czasu, bo nie mógłby nim płacić ani spieniężyć go, nie wzbudzając podejrzeń. Nie m o ż
n a sprzedać złota, jeśli nie zostało w coś przetworzone, powiedzmy w biżuterię, ni da się też kupić
złota, prócz biżuterii, no chyba że jeste licencjonowanym kupcem tego kruszcu. Wszystkie nasz
pieniądze są w zasadzie wirtualne. Lepiej by zrobił, gdyb podrabiał karty kredytowe lub debetowe.

— Karty debetowe? — powtórzył Sebastian.

Tim

skórzany portfel z kieszeni na biodrze, a z nie go z kolei kartę.

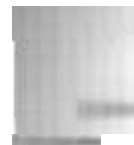
— O t o — podał ją Sebastianowi — zakodowany prze k o m p u t e r kawałek plastiku, który
wystarczy w sklepi przeciągnąć przez czytnik, by natychmiast odpowiedni kwota została zdjeta z
twojego rachunku bankowego. Mo gę coś kupić, a żywa gotówka nie przechodzi z rąk do rąk.

Sebastian wziął kartę, odwrócił ją i przyjrzał jej się

— To w rzeczy samej frapujący pomysł — powiedział.

Z krańca Edenu rozległo się ciche pohukiwanie puszczyka.

Sebastian omiół wzrokiem drzewa w poszukiwaniu ptaka



sowa...?

zaczęła
zwykła

drzew

W

piruetach

czemnikiem

starania

twego

stronę

dwudziestu

Geoff,

Czy ta

—

Fila.

— Tak, to tylko

sowa. Nie ma się czym trwożyć

uspokoił ją Sebastian. — Tu jesteśmy bezpieczni.

Puszczyk wzbił się do lotu i powoli przeleciał wśród w ich stronę. Przysiadł na gałęzi klonu, strącając deszcz nasion ze skrzydełkami, które sfrunęły na ziemię niczym miniaturowe helikoptery.

- Jak m n i e m a m — odezwał się w końcu Sebastian masz rację, Tim. Nie próbuje przemieniać metali, bo nie posiada takiej mocy. Niegdyś chciał, by mój ojciec mu w tym pomógł, on jednak wiedział, że Yoland jest niki odmówił współpracy, w związku z czym jego spełży na niczym.

— Więc i Yoland, podobnie jak Malodor, był wrogiem ojca — powiedziała Fila.

— Yoland — rzekł cicho Sebastian — był jednym z tych, którzy zdradzili ojca mego. Był jednym z tych — dodał

którzy podłożyli ogień pod jego stosem.

Tim w geście współczucia położył dłoń na ramieniu Sebastiana.

Puszczyk znów wzbił się do lotu, przeleciał na drugą rzeki i rozpląnął się w gęstniejącym mroku. Fila obserwowała jego niezborny lot, póki nie znikł w ciemności.

— Zapada noc, czas wracać — oznajmił Sebastian.

W mrocznych godzinach wszelkie zło ma używanie.

Wstali i ruszyli polem w stronę d o m u . W oddali stadko owiec zbiło się pod rozłożystym dębem. Ich właścicielem był

miejscowy farmer, k t ó r e m u pan Ledger zezwolił na wypas na swych gruntach. W nikałym świetle dnia wyglądały niczym gęste obłoki mgły wtulone w ziemię. Gdy cała trójka zbliżyła się do zwierząt, kilka z nich podniosło się na nogi. Najpierw niezgrabnie unosiły

zabłysły
Młod
uwiel
organi
mniejszych
słoni
mi
File
sześcienneg
Kied
pann
s
kt
rymi
więc

tył, a dopiero p o t e m przód. Tim, który niósł h a l o g e n o w a latarkę, poświecił w pyski owiec. Oczy zwierząt srebrzyście.

— Spójrzcie! — zażartował. — Włączyły przednie świat ła.

©

Nazajutrz rano na pierwszej lekcji była biologia.

nauczycielka, do której zwracano się „Panno Bates”, biała swój przedmiot i pragnęła swą pasją zarazić uczniów,

— Biologia — powiedziała — to nauka o życiu, mach niż łąpek od szpilki i większych od Na potwierdzenie swych słów przygotowała rząd roskopów i preparatów przy jednej ze ścian pracown Uczniowie oglądali je kolejno.

zauroczyły m a l e ń k i stworzonka brykające w połowie centymetra wody na płaskiej płytce Petriego. Jak głośił napis obok, były to Daphnia pulex, czyli pospolite rozwielitki.

Tim spytał, czy kąsają, jak pchły kocie czy psie, Bates uśmiechnęła się i zapewniła go, że nie. Kolejny preparatem było szkiełko ze skrzydłem motyla pokryte; łuskami mieniącymi się w świetle. Obok znajdował

przekrój łodygi roślinnej, gdzie widać było naczynia, płyną soki.

Kiedy uczniowie oglądali kolejno eksponaty, Tim spo strzegł Scrottona. Chłopak trzymał się z dala od reszty, z to chodził krok w krok za nauczycielką, zadając jej szcze gółowe pytania na temat

wystawionych preparatów. Oc powiadała, ale jak zauważył Tim, Scrotton ją irytował, w końcu kazała mu siadać na miejsce. Usłuchał, ale wykrzywił się za jej plecami, co nie uszło uwagi Tima.

naryso-

Kiedy oglądanie dobiegło końca, p a n n a Bates kazała każdemu podejść do wybranego przez siebie okazu i go na pierwszej stronie zeszytu do biologii. Tim wybrał krowi ząb przecięty pionowo na pół, dzięki czemu widać było korzeń, kanał nerwu, kolejne warstwy szkliwa i zębiny. Fila usiłowała narysować rozwiłtkę, ale ponieważ jej nie wychodziło, zdecydowała się na skrzydło m o tyła, starała się jak najdokładniej odzwierciedlić wszystkie żyłki i puszek na jego brzegu.

Pod koniec lekcji przerwała na chwilę i wyprostowała się, żeby rozluźnić mięśnie. Od siedzenia na stołku przy stole laboratoryjnym, nachylania się nad m i k r o s k o p e m i rysunkiem rozbolały ją plecy. Kiedy się przeciągała, przypadkowo spojrzała na rzędy eksponatów w formalinie przy jednej ze ścian pracowni. W pewnym szczelnie zamkniętym słoju spreparowana żaba rozpięta była na pleksiglasie.

Trzymała się na nitkach przywiązanych do koniuszków kończyn. U s u n i ę t o jej jelita, by dobrze było widać układ krwionośny, żyły i tętnice zabarwione na różne kolory. Od każdego organu cienka, biała niteczka wiodła ku plastikowej etykietce z objaśnieniem.

— Pieczara grozy — zauważył po cichu Tim. — Biologia może i jest nauką o życiu, ale oprócz tego kaktusa w doniczce — spojrział w stronę okna pracowni — dafni, panny Bates i nas, wszystkie stworzenia w tej sali d a w n o odwalily kitę.

Ledwie wypowiedział te słowa, a Fila wzdrygnęła się.

— Co jest, siostruniu? — zdziwił się Tim.

Wskazując głową gablotę z preparatami w formalinie, wymamrotała:

— Ta żaba...

— Co z nią?

Ona...

prychnął

biło

cho-

ekspo-

pleksiglasu.

O,

— zaczęła Fila.

— Co takiego?

— ...żyje.

— Zgłupiałaś! —

Tim. — Żaba zombie.

Fila była pewna, że żaba wraca do życia. Jej serce słabo, kończyny, przymocowane do przezroczystej płytki, poruszały się, jakby płaz starał się oswobodzić. Głowa dziła na boki.

— Żyje! — upierała się Fila.

— Wykluczone! — odparł Tim, przypatrując się natowi w słoju. — Ten gad już dawno wydał ostatnie tchnienie. Zaraz mi powiesz, że m r u g n ę ł o do ciebie jedno z tych oczu w formalinie.

— Przyjrzyj się! — nalegała Fila.

By nie robić siostrze przykrości, T i m spojrzał. Żaba, której ciało zdążyło przez lata wyblaknąć w formalinie, była na stałe przymocowana do

—
teraz! — Fila wymamrotała pospiesznie. Była pewna, że tylna kończyna wierzgnęła pociągając za nitkę.

— Widziałeś?

— Nie — odparł Tim. — Ani drgnęła. Wierz mi, siostro, ona już dawno wykitowała.

Nie zauważyli, że Scrotton przygląda im się z z a p o d r ę c z n i k a z u ś m i e c h e m na twarzy.

© \

Kiedy Fila siedziała wieczorem na swoim łóżku i oglądała telewizję, deska w ścianie odchyliła się i ukazał się Sebastian.

— Ty też mógłbyś się nauczyć pukać — powitała go chłodno.

h
iałem
tych
rezydentem.
ojca
chrapkę.
impre?

— Racz mi wybaczyć — odezwał się Sebastian. — Nie cię zaskoczyć. Nie zdążyłem się jeszcze przyzwycząić do tego, że d o m jest zamieszkały, choć jesteście tu już od paru miesięcy. Rzadko kto tu mieszkał na przestrzeni lat, przywykłem więc do tego, że jestem jedynym Usiadł twarzą do niej na stołeczku przed toaletką.

— A ten starszy pan, który tu mieszkał? Tak zwany wujek?

— Nie zabawił długo — odparł Sebastian wymijająco.

— Dlaczego po śmierci twego

— ciągnęła Fila — domu nie przejęli jego wrogowie? Na p e w n o mieli na niego

— Zaiste — potwierdził Sebastian — ale się nie ośmielili.

— Czemu?

— Bo się lękali — powiedział otwarcie Sebastian.

— Czego? — dociekała Fila.

— Mnie — rzekł.

Fila wlepiła w niego oczy.

— Ciebie?

— Mejsi mocy — dodał Sebastian.

Tim, słysząc ich głosy, przyszedł ze swego pokoju i usadowił się na brzegu łóżka Fili.

— Przyjdzie ktoś jeszcze na tę

— Uśmiechnął

się do Fili i puścił oko. — A m o ż e powinienem się tu czuć jak piąte koło u wozu?

Fila spojrzała na brata, mając nadzieję, że jej spojrzenie uciszy go do końca wieczoru. A może na jeszcze dłużej.

Tim udał gestem, że zamyka sobie usta na suwak.

— Rozmyślałem dziś wiele o Yolandzie — oświadczył

Sebastian.

doszedłeś

By

letni

wpusz-

Fila.

pójść

dodał

— I do jakich

wniosków? Co on knuje? — spytał Tim.

— Wyrazić tego nie zdołam — przyznał Sebastian. —

poznać prawdę, jak m n i e m a m , m u s z ę wniść do szkoły waszej, by poddać go obserwacji.

— Świetna myśl! — zawołał Tim, wspominając spacer z Sebastianem na smyczy, pod postacią

brązowo-

-białego teriera. — Czym będziesz tym razem? Nie czą cię do szkoły jako psa. A już na p e w n o nie do klasy.

— Mógłby zamienić się w myszkę — podsunęła

— Chodzę na gimnastykę z dziewczyną, której pupilkiem jest szczurek. Trzyma go w kieszeni, a podczas WF-u chowa go w pudełku do swojej szafki.

— A może kot? — zaproponował Tim. — Widziałem, że jeden kręci się po szkole.

— Muszę mieć większe pole m a n e w r u niż zwierzę

— wyjaśnił Sebastian. — Nie podejrzewam, by Yoland wpuścił kota do swego laboratorium. N a d t o chcę go poobserwować nie tylko wówczas, gdy m n i e m i j a . Pragnę dokładnie przyjrzeć się

jego osobie. W niniejszym celu

— oświadczył — m u s z ę przystąpić do waszej klasy.

Tim i Fila spojrzeli po sobie.

— To nie takie proste. Nie m o ż n a o t , tak sobie do

szkoły. Trzeba się najpierw zapisać, musisz się znaleźć w rejestrze — wyjaśniła Fila.

— To jeszcze nic —

Tim. — Musisz mieć szkolne

ubranie. I nie wystarczy, że będziesz wyglądał jak my. Musisz się też zachowywać podobnie.

Trzeba z ciebie zrobić współczesnego chłopaka.

Sebastian spojrział nieco urażony i powiedział:

— Nie odnoszę wrażenia, bym był od was odmienny.

— Żarty sobie stroisz! — parsknął śmiechem Tim.

szkolna
marynara

ramiona
mary-

l
iarki
krawca — uczyńcie

ciągnął

„Siem-
leci?”.

O

— Ależ ja nie dworuję sobie — obruszył się Sebastian.

- On nie dworuje! — powtórzył Tim i spojrział na Filę.

Czeka nas tu niezła metamorfoza i nie wystarczy do niej i para tenisówek.

Sebastian przyjrzał się sobie od stóp do głów i rzekł

niedco ironicznie:

— Nie widzę, by współcześni młodzieńcy mieli po trzy czy pięć nóg. Od czasu moich narodzin

ludzka anatomia prawie się nie zmieniła.

— Faktycznie — przytaknął Tim — za to zmieniła się cała reszta.

— Wybornie — powiedział Sebastian, stając sztywno pośrodku pokoju, jakby w oczekiwaniu na przymiarke u

ze mnie człowieka współczesnego.

Fila i Tim przyjrżeli się Sebastianowi.

— Dobra — odezwała się końcu Fila wyłączając telewizor — bierzmy się do roboty.

— Po pierwsze — zaczął Tim — musisz się wyluzować.

— Wyluzować? — Sebastian spojrział niepewnie.

— Być na luzie — wyjaśnił Tim. — Niech wszystko ci zwisa.

— Co takiego ma mi zwisać? — spytał Sebastian.

— Tak się mówi — powiedziała Fila.

— Nie bądź taki sztywniak —

Tim. — Kontakty

międzyludzkie są dziś mniej oficjalne. Na przykład język nie jest taki akuratywny. Zamiast „Dzień dobry” m ó w ka”, a zamiast „Jak się miewasz” — „Jak Nie m ó w

„Nie podoba mi się t o ” tylko „To kwasi”. A jeśli coś ci się podoba, mówisz „Ale odlot”.

—

ile dobrze rozumiem, termin określający ptasie migracje stał się teraz superlatywą — zauważył sarkastycznie Sebastian.

młodzie-

„wy-
maśłem”
mię-

czy

nia.

przekąska:

bułka z

słów

byli

sło
wem
now

Przez pół godziny rodzeństwo uczyło go gwary żowej. Sebastian zupełnie nie mógł pojąć, dlaczego pasiony" oznacza „pierwszej klasy”, a „bułka z — „prosty”. Nie potrafił znaleźć związku, jak to ujął, dzy dobrze odżywionym zwierzęciem gospodarskim pieczywem a pochwałą jakości czy przystępnością działa- [Nie mieściło mu się też w głowie, dlaczego parówką zwie się „hot dogiem”. Rozumiał „zarznięty”, bo w XV wieku przecież rzeźnicy, ale dla czego wyraz z jatki stał się czasownikiem „wyczerpany”, takich zmian językowych nie potrafił pojąć. A już ze

„hicior” Sebastian zupełnie nie potrafił sobie pora dzić.

— Posłuchaj — wyjaśnił Tim — nie staraj się dociec skąd pochodzą te słowa. Po prostu zaakceptuj ich znaczenie.

— I jeszcze j e d n o — dodała Fila, — m a m y takie powiedzenie „czarna magia”.

— A, jeśli o to chodzi — ucieszył się Sebastian — to jestem z tym pojęciem bardziej niż dobrze obeznany.

Oznacza, że czegoś zupełnie nie kapujesz wyjaśniła

Fila.

— Na przykład — dodał Tim — dostajesz z m a t m y jakieś okropnie skomplikowane zadanie...

— ... i mówisz — dokończyła Fila: — to dla mnie czarna magia.

Sebastian wlepił w nich wzrok.

— Mój rozum tego nie obejmuje ... — zaczął.
— Nawet nie staraj się tego zrozumieć — uciął Tim.
— Po prostu przyjmij do wiadomości.
— A kiedy będziemy w szkole — poradziła mu Fila
— i będziesz miał z czymś problem, to trzymaj buzię na

klódkę,
o
trybisz.
urwałeś
pojawiają
porządniccy.
więc...

słuchaj i się ucz. Bądź miły dla nauczycieli, ale wól, że to my będziemy mówili. Szybko zajarzysz.

— Zajarzę? — powtórzył Sebastian.

Tim uniósł wzrok i powiedział:

— Tak, popłyniesz z prądem, będziesz czaić bazę, za-Cokolwiek zrobisz, nie mów tylko: „Jak mam nie mam”, pogoda będzie nam dziś litościwa”, gdy chcesz powiedzieć, **te** nie będzie padało.

Wszyscy pomyślą, że się choinki.

— Ależ człowiek nie może się urwać z choinki — obruszył się Sebastian. — Siła ciężenia...

— Dość! — krzyknął Tim, unosząc dłoń.

— To, żebyś gadał jak należy, to jedno — powiedziała Fila — ale... Przyjrzyjmy się twojej postawie.

— Nie dostrzegam nic niewłaściwego w postawie mojej

- bronił się Sebastian.

— Wyglądasz jak na defiladzie — powiedział Tim.

- Nikt dziś nie stoi tak, jakby połknął kij. Wszyscy się garbią.

— Faktycznie — rzekł Sebastian z lekką naganą w głosie nie uszło to mojej uwagi.

— I nie ubieramy się tak porządnie. Nawet nam do twarzy w szkolnych mundurkach — powiedziała Fila — ale wcale byśmy ich nie nosili, gdybyśmy nie musieli. A więc sam rozumiesz, czasem koszula wystaje nam odrobinę albo krawat jest założony trochę za luźno. Trzeba to zwykle poprawić, kiedy

się nauczyciele, ale poza tym nie musimy być tacy

Tak

— Niech wszystko mi zwisa? — podsunął Sebastian.

Tim się roześmiał.

— Niezupełnie. To, że komuś coś zwisa, określa jego nastawienie. A ciuchy bywają

rozchełstane.

przypominało jedno załatwi

— Widzę, że ludzie w tym stuleciu — zauważył Sebastian — folgują sobie znacznie bardziej niż za czasów ojca mego, ale warto w a m wiedzieć, że obracałem się w kręgach królewskich, w których ludzie odziani byli strojnje, a ich uprzejmość i dworskie maniery były znaczące. Tu m u s z ę nadmienić, że nie wszyscy Anglicy byli tacy. Chłopstwo nosiło bardzo prostackie i m a r n e odzienie, nie przyswajało dworskiej etykiety i w dużym stopniu współczesnych ludzi.

— Sugerujesz — powiedział Tim udając złość — że należymy wszyscy do pospólstwa?

Sebastian spojrział na Tima i odpowiedział wymijająco:

— Jesteście tym, za kogo się uważacie.

W czasie tej rozmowy, Fila bacznie przyglądała się Sebastianowi.

— Jest jeszcze coś — odezwała się, podeszła do Sebastiana i stanęła obok niego. — Wybacz mi, ale...

Uniosła dłonie i zmierzwiła mu włosy. Gdy tylko zabrała dłonie, włosy opadły i wróciły do poprzedniego kształtu.

Fryzura Sebastiana była zdecydowanie staromodna.

Włosy miał za długie, a do tego końce się lekko podwijały.

Uczesanie przypominało jej paziów z ksiązek do historii.

— Trzeba coś z tym zrobić — uznała Fila. — Tylko rozwiązanie przychodzi mi do głowy.

Pogrzebała w szufladzie swej toaletki i wyjęła nożyczki.

Cztery minuty później Sebastian miał już nową fryzurę, jego włosy były krótkie za uszami i nieco dłuższe na karku.

W kilku miejscach sterczały dłuższe kosmyki.

— Odrobina żelu to

— powiedziała Fila i uniosła

lusterko przed Sebastianem. — Gotowe. Witaj w XXI wieku!

Sebastian przyjrzał się s w e m u odbiciu.



jestem

O jedno, informatycznej. biblioteczne,

— Jak ci się podoba? — spytał Tim.

— Jeśli m a m być szczery — odparł Sebastian — nie nadmiernie zachwycony.

— ile dobrze r o z u m i e m — Tim zwrócił się do siostry to znaczy, że mu się nie podoba.

Nazajutrz przy śniadaniu Tim się zadumał. Zwykle buzia mu się nie zamykała, a dziś pogrążony był w myślach.

Fila domyślała się, co mu chodzi po głowie, bo też się martwiła. Ostrzyc Sebastiana i nauczyć go trzymać język za zębami lub mówić bardziej współczesnym językiem to a zupełnie co innego zdobyć dla niego m u n d u r e k i wprowadzić jego dane do szkolnego komputera.

Przez prawie cały ranek Tim zastanawiał się, jak tego dokonać. Jedyne komputery jakie widział, znajdowały się w sekretariacie i pracowni

Jeszcze przed

południem poszedł w czasie przerwy na spotkanie organizacyjne kółka komputerowego, miał nadzieję, że ułatwi mu to dostęp do k o m p u t e r ó w w pracowni. Faktycznie, mógł z nich korzystać, ale okazało się, że nie są podłączone do szkolnego intranetu.

— Mamy pecha — powiedział do Fili, kiedy rozległ się dzwonek. Jednak na kolejnych zajęciach pojawiła się szansa.

Dyżurny z biblioteki przyszedł po wszystkich nowych uczniów, by zapoznali się z zasadami korzystania z księgozbioru.

Tuż za głównymi drzwiami do biblioteki stało wielkie drewniane biurko, a za nim siedziała bibliotekarka.

Uczniowie weszli do środka i ustawili się przed nią w kolejce po karty ona wprowadzała ich dane do

wedł
Anne
zwa
odczekał,
szepną
wyjaśnić,
jakie
mieliśmy
pod.
bibliote-
po.
lepiej,
wklepał:

wpisał la-

komputera. Tim podejrzwał, jak bibliotekarka się loguje wpisała nazwę użytkownika i hasło.

Łatwizna —

plakietki na swetrze nazywała się Patterson. Jej na
użytkownika to pata, zaś hasło — T i m widział, jak j wklepuje — książki.

Tim

aż wszyscy dostaną karty, a wtedy do Fili:

— Zajmij ją czymś. Odciągnij ją od biurka.

Fila kiwnęła głową.

Po chwili podeszła do biurka:

— Przepraszam. Czy mogłaby mi pani na
działy podzielony jest księgozbiór? Nie w
stawówce takiej wypasionej czytelnicy.

— Ależ oczywiście, kochanie — podchwyciła karka, mile zaskoczona, że oto jakaś uczennica
woli, by oprowadzić ją po bibliotece niż przestawiać książki na półkach. — Chodź ze mną, moje
dziecko, pokażę ci, jak ruszać się po księgozbiórze.

Bibliotekarka wstała zza biurka. Tim odczekał, aż znikną za pierwszym rzędem półek, upewnił
się, że nikt go nie obserwuje, usiadł za biurkiem i szybko się załogował, używając danych dostępu
kobiety. Szkolny serwer stanął

przed n i m otworem.

Pośpiesznie dodał nowego ucznia do rejestru. Jako imię wpisał Sebastian, uznając że im mniej
będzie kombinował, tym

zaś w polu nazwisko

Gillette, nazwę

maszynki do golenia, której używa tata. Gdy system zapytał o adres poprzedniej szkoły, T i m
wymyślił naprędce fikcyjną szkołę w Manchesterze, bo takie najdalsze miasto przyszło mu akurat do
głowy. Jako adres Sebastiana Chata, Rawne Barton, uśmiechając się przy tym pod nosem. W końcu
Sebastian ma dostęp do podziemnego



atorium
mierzał
bibliotekarka
sprawdzić,

zasunęła

I
i budynku dawnej powozowni, który jego tata f
przerobić na biuro, z własną skrzynką pocztową.

f Jako rodziców Sebastiana wpisał Dawida i A n n ę Gillette.

Ledwie nacisnął klawisz „wyjdź” i wylogował się, gdy wróciła z Filą, która zerknęła na brata, by
czy skończył. Ukradkiem kiwnął głową i odszedł.

Kiedy siedzieli razem w stołówce na długiej przerwie, pałaszując kanapki, Tim szepnął:
— Nazywa się Gillette, Sebastian, chodzi do naszej klasy.

Pod koniec dnia, tuż przed opuszczeniem szkoły, Fila powiedziała:

— Została jeszcze jedna sprawa. Gillette S. potrzebuje mundurka.

— Się robi! — oświadczył Tim. — Stań tylko przed tymi drzwiami z otwartą torbą.

Fila zrobiła, co jej kazał. Tim otworzył drzwi wahadłowe i znikł w szatni dla chłopców. W sali
gimnastycznej obok rozgrzewały się dwie drużyny piłkarskie. Tim siedł szybko obok rzędu
wieszaków, szukał marynarki i spodni, które pasowałyby na Sebastiana. Nie było to trudne, bo Tim i
Sebastian nosili podobny rozmiar. Szybko znalazł to, czego potrzebował, nie minęło pół minuty, a
niósł pod pachą zrolowane ubranie. Starał się iść nonszalancko w stronę drzwi, wyszedł z szatni,
upewnił się, że korytarz jest pusty i wrzucił zdobycz do torby Fili, a ona szybko suwak.

— M a m wyrzuty sumienia — wyznała Fila.

Tim uśmiechnął się.

— Przecież robimy to dla dobra sprawy.

Ruszyli korytarzem, a wtedy Tim uświadomił sobie, że o czymś zapomniał.

— Czekaj — powiedział. — Muszę t a m wrócić.

linij

kie

Wyglą

Piętnasto

— Jest

chłopca,

miejsce

Z n ó w zakradł się do szatni, a po chwili pojawił się A
szkolnym krawatem w dłoni.

— Betka! — powiedział do Fili, gdy opuszczali budynek szkoły.

Wieczorem w pokoju Tima Sebastian założył m u n d u r e k , trampki Tima i jedną ze swoich
koszul. Kiedy się ubierał, Tim zebrał trochę długopisów, ołówków, g u m k ę oraz kę, a także stary
kalkulator, włożył je do sfatygowanego piórnika, którego używał w podstawówce i umieścił w torbie
lotniczej, którą miał z wakacji sprzed dwóch lat.

— Francja elegancja — powiedziała ironicznie Fila, dy przebrany Sebastian się im zaprezentował. —

dasz, jak jeden z nas.

— Powaga? — obruszył się Tim.

— No, powiedzmy, prawie — przyznała Fila.

— Jest nadal tym, kim był — rzekł Tim. —

wieczną podróbą dzieciaka z XXI wieku.

— Rzecz jasna z tak umodelowanymi włosami — zauważył żałośnie Sebastian. — Zrobię co w mej mocy, by dostosować się do współczesnych standardów.

Tim wzruszył ramionami.

jeszcze coś — powiedziała Fila. — Lepiej u s u n ę m y imię i nazwisko

któremu zwinąłeś marynarkę

i spodnie.

Wzięła ubranie i u s u n ę ł a metki z nazwiskiem właściciela za pomocą nożyczek do paznokci, a na ich wszy

ła naszywki z danymi Tima.

— Nie tylko szkoła się na to nabierze — powiedziała Fila — ale także m a m a . A to znaczy, że m o ż e m y wrzucać brudy panicza Gillette'a do prania razem z naszymi.

— Gnębi mnie jeszcze jedna rozterka — zauważył Sebastian. — Jak się dostanę do szkoły? Wszak to szmat drogi.

ale
nałem
Młodzian,
tem.

A nie możesz się tam przenieść za pomocą czarów?

podsunął Tim. — Zamień się w ptaka, a następnie w człowieka w kabinie chłopięcej szatni lub w komórce na rowery.

— Niby tak — potwierdził Sebastian — to oczywiście możliwe, nie byłoby nazbyt rozsądne. Kiedy przybędę do szkoły, m u s i się wszystkim wydawać, że drogę pokojak moi rówieśnicy. Yoland i Scrotton są czujni.

który nagle pojawia się zza budynku, za który wcześniej nie wchodził, m o ż e wzbudzić podejrzenia.

— A więc będziemy musieli go podwieźć — oznajmiła Pila.

— M a m a się zatrzyma, jeśli go zobaczy — powiedział

Tim. — O n a uważa cię za ósmy cud świata. Radzę ci, Sebastianie, stań na pierwszym zakręcie przy drodze wiodącej z Rawne Barton. M a m a musi zwolnić przed zakrę

Bądź dobrze widoczny i idź powoli, jakbyś zmierzał do szkoły.

— Wybornie — powiedział Sebastian — ale co masz na myśli mówiąc o tym cudzie?

— Daj spokój — odparł Tim z u ś m i e c h e m . — Tak się mówi. Uznaj to za k o m p l e m e n t

Sebastian wzruszył ramionami, pokręcił głową i rzekł:

— A teraz pozwolicie, że was pożegnaj i do zobaczenia po jutrzence w wyżej wymienionym

miejscu.

— Spróbuj jeszcze raz — polecił mu Tim.

Sebastian pomyślał chwilę:

— Dobrej nocy. Do zobaczenia rankiem w ustalonym miejscu.

— Lepiej — ocenił Tim. — Daleko ci do ideału, ale znacznie lepiej.

Po tych słowach Sebastian przeszedł przez dziurę w ścianie i znikł.



spytała

Wciąg

zakrętem,

To

drzwi.

— Myślisz, że się uda? —

Fila, gdy na schoda

umilkły ciche kroki Sebastiana.

— A ty? — odparł pytaniem Tim.

— To prawie niemożliwe — odpowiedziała. —

nięcie go do rejestru i sprawienie, by wyglądał jak przecięt ny uczeń z siódmej klasy to nic w porównaniu z tym, c nas jeszcze czeka.

— N o , niestety. — powiedział Tim. — Jak wyskoczy jutro z jakąś „rozterką” czy „jutrzenką”, to koniec.

Nazajutrz, gdy pani Ledger zwolniła przed spotkali Sebastiana, idącego poboczem.

— Czy to nie Sebastian? — zauważyła m a m a .

— Tak, to on! — zawołał Tim, udając zaskoczenie. —

Możemy go podwieźć?

— Ależ oczywiście — powiedziała pani Ledger. —

prawie dziesięć kilometrów!

— Może łapie a u t o b u s przy skrzyżowaniu — dodał Tim.

— Albo jeździ rowerem — p o d s u n ę ł a Fila.

— Ale nie dzisiaj — zauważyła m a m a .

Zjechała na bok i nachyliła się przez fotel dla pasażera, by otworzyć

— Dzień dobry, pani Ledger — przywitał się uprzejmie Sebastian.

— Dzień dobry, Sebastianie — powitała go. — Może cię podrzucić?

— Dziękuję uprzejmie — powiedział.

Sebastian zajął przednie siedzenie.

— Pas — rzuciła pani Ledger, ruszając z miejsca.

Nieco



tytu
m
ów,
szkolnym
usiadł
stołu.
Timowi
O,

zdezorientowany Sebastian spojrzał na siedzącą Filę. Chwyliła swój pas i udała, że go zapina. Sebaszrozumiał i przypiął się.

— Wpadka n u m e r jeden... — Tim szepnął do siostry.

Pani Ledger skupiła się na prowadzeniu. Prawie nikt nic nie mówił podczas drogi do szkoły. Zajechali pod bramę I dołączyli do t ł u m u uczniów przywożonych przez rodziprzyjeżdżających rowerami, szkolnym a u t o b u s e m I przybywających na piechotę. Kilkoro nauczycieli stało na boisku, obserwując nadchodzących, dyżurni kierowali nowych uczniów z rowerami w stronę stojaka na jednoślady. Fila i Tim poszli w stronę swojej klasy, a za nimi udał się Sebastian. Zauważyli, że wciąż się rozgląda.

Nie brało się to z ciekawości, analizował tylko twarze uczniów i nauczycieli.

Kiedy znaleźli się w korytarzu obok pracowni chemicznej, Tim otworzył swą szafkę i podał Sebastianowi swój szyfr. Następnie cała trójka weszła do klasy.

Yoland stał przed stołem laboratoryjnym, pochłonięty ustawianiem przyrządów do doświadczenia dla starszej klasy. Kiedy weszli, tylko na chwilę uniósł wzrok. Sebastian obszedł pracownię, przyglądając się szafkom, buteleczkom z odczynnikami i kwasami, słojami i puszkami związków chemicznych za przeszklonymi drzwiczkami. Potem podszedł do rodzeństwa i obok nich na krańcu

— Zauważyłeś coś? — szepnął Tim.

— Wiele rzeczy — odparł tajemniczo Sebastian.

— chodzi o to — wtrąciła się Fila — czy zauważyłeś coś ciekawego?

— tak — odparł obojętnie, a jego głos zagłuszały hałasy i śmiechy dochodzące z korytarza. — Każdego dnia widzę w waszych czasach wiele ciekawych rzeczy.

do
wyłączyło

głos
pracow-
być
wkładajci
któ
rymi
że
cie
Zama-
go
szacunek
stojącym
mog
Timow

Stopniowo klasa wypełniła się uczniami, którzy siadali na stołkach przy stołach, przygotowywali podręczniki porannych lekcji, wyjmowali długopisy, kilkoro telefony komórkowe. Jako ostatni zjawił się Scrotton.

— Dzień dobry — powiedział głośno Yoland, jego uciszył rozmowy. — Mówiłem w a m już o kilku p o d s t a w a wych zasadach, których należy przestrzegać w tej ni. Nie będę się nad tym dłużej rozwodził. Ale musicie ostrożni. Nie kładźcie na stołach jedzenia. Nie do ust ołówków ani długopisów. Wiele substancji, z m a m y tu do czynienia to trucizny, a zdarza się, któraś wyleje się na blat. Myjcie dokładnie ręce. Poruszaj się po tym pomieszczeniu powoli i ostrożnie.

szysty ruch połą marynarki czy łokciem i nieszczęście towe. Milkniecie, gdy tylko pojawię się w klasie. Nie chodzi tu tylko o dobre maniery i należy mi ale przede wszystkim o to, byście dokładnie słyszeli moje instrukcje.

Yoland mówił, a Sebastian nadal przyglądał się w szafach akcesoriom i zastanawiał się, do czego służyć. Było tu wiele nieznanych rzeczy.

R a p t e m Yoland przerwał i wskazał palcem Sebastiana.

— Hej, ty! — powiedział.

Sebastian uniósł wzrok i powiedział:

— Słucham pana?

— Czym ty się teraz zajmujesz, mój chłopcze? Masz mnie słuchać.

— Tak jest — odparł Sebastian.

Yoland przez chwilę bacznie mu się przyglądał.

serce podeszło do gardła. Fila poczuła, jak skóra jej cierz nie ze strachu. Nagle pomyśleli:

Czyżby Yoland rozpozna Sebastiana?

lette'a.

liby

powiedział:

— Pierwszy raz cię widzę — zauważył nauczyciel.

— Faktycznie — potwierdził Sebastian — spóźniłem się.

— W rzeczy samej — powiedział Yoland. — Spóźniał-Nkich nie lubię na równi z

nieuważającymi. — Otworzył

dziennik. — Jak się nazywasz?

— Sebastian Gillette, proszę pana.

Nauczyciel zwrócił się do Scottona.

— Idź do sekretariatu i poproś o wydruk z danymi Gil

Scotton opuścił klasę, by pojawić się po paru m i n u t a c h z wydrukiem. Yoland przestudiował świstek papieru i wpisał dane do dziennika, mówiąc przy tym:

— Nie m i a ł e m pojęcia, że na terenie Rawne Barton jest chata.

— To dawna powozownia — odezwał się Tim, by ratować Sebastiana z opałów. — Przerabiamy ją teraz, proszę pana, na biuro dla mojego taty i domek letniskowy. Na z i m ę wynajęliśmy ją rodzinie Gillette'ów. Mieszkają tam, a tymczasem rozglądają się za jakimś d o m e m , który mogkupić.

— Doprawdy? — odparł Yoland udając kompletny brak zainteresowania.

Wziął dziennik i wówczas rozległ się dzwonek na pierwszą lekcję.

Kiedy szli w stronę pracowni matematycznej, Tim odetchnął z ulgą i

— Jeden dla bohaterów pozytywnych, zero dla Yolanda.

— Przez chwilę myślałam, że cię rozpoznał — rzekła Fila.

— Nie ma obawy — odparł Sebastian. — Nigdy nie poznaliśmy się oficjalnie za czasów ojca mego. Byłem wszak tylko chłopcem. Jak Scotton. Niegdyś widziałem go z oddali, ale on m n i e nie zna. Póki co — dodał Sebas tian. — Ale m u s i m y mieć się na baczności, bo niechybnie mają ze sobą konszachty, a wspólnie mogą dysponować potężną siłą.

Rozdział

trzeci

Wpływ

chimery

wybrał
tylko

W ramach pierwszej pracy domowej z biologii uczniowie mieli rozpoznać i narysować dowolne znalezione stworzenie. T i m

stonogę, nie

dlatego, że pełno ich wokół stosu drewna na opał za powozownią, ale także dlatego, że narysowanie tego owada to łatwizna. Sebastian i Fila postawili sobie bardziej ambitne zadania. Sebastian skupił się na dżdżownicy, zaś Fila oczarowana dafniami, postanowiła poszukać innych maleńkich wodnych żyjątek.

— Musisz szukać w wodzie stojącej — podpowiedział

jej Tim. — Może w rzymskim stawie? W o d a stoi w nim od dwóch tysięcy lat.

Fila wróciła myślami do lata, gdy Sebastian brodził

w ciemnej wodzie wśród rzęsy wodnej, starając się palcami stóp wymacać w m u l e srebrną rzymską m o n e t ę , złożoną tam bogom w ofierze w trzecim wieku.

Fila założyła kalosze, wzięła czerwone, plastikowe wiadro i udała się w stronę źródła przez Rawne G r o u n d — największe z tutejszych pól. Nadciągała jesień, krótką trawę rosnącą kępkami skubały owce, które zbiły się w gromadę przy żywopłocie. Obserwowały ją, gdy zbliżała się do stawu. Śliska, czarna ziemia na jego brzegu była stratowana przez kopyta zwierząt i przypominała trzęsawisko.

zanurzyła

wypeł

Fila
męt-
nym,

inte-
kamienia-
murarskiej.

coś

Fila
wiadro w wodzie i pozwoliła, by
niło się w jednej czwartej.

Owce ruszyły w jej stronę z przeciwnej strony pola.

nie zwracała na nie uwagi. Zawsze, gdy pojawiała się w pobliżu, podchodziły i spoglądały na nią nieobecny, tępy wzrokiem typowym dla owiec. Nawet stary tryk, k t ó r e m u został tylko kikut jednego rogu, nie resował się nią.

Brzeg stawu, gdzie pęcherzyki z bijącego źródła wypływały na powierzchnię, okalały z trzech stron niskie ociosane kamienie, woda wypływała przez wyłożony mi kanałek po drugiej stronie. Latem kamienie kryły się w gąszczu wysokiej trawy, teraz jednak widać było je jak na dłoni, pasowały do siebie jak ulał, choć nie użyto ni grama zaprawy

To niesamowite, pomyślała Fila, że na tych samych kamieniach stawali rzymscy żołnierze. Sięgnęła do wody i wyrwała z m u ł u kępkę turzycy, dorzuciła ją do wiaderka, miała bowiem nadzieję, że w jej korzeniach tętni życie w miniaturze. Zdawała sobie sprawę, że większość zebranych organizmów, podobnie jak rozwielitki, będzie za ma

ła, by cokolwiek narysować bez pomocy mikroskopu. Miała jednak porządne szkło powiększające i liczyła na to, że taka p o m o c wystarczy do odwzorowania organizmów wodnych widocznych gołym okiem.

W miejscu, gdzie wyrwała korzenie, ujrzała w m u l e ziemisto-czerwone. Schyliła się, by wyjąć znalezisko.

Oplukała je w wodzie. Był to fragment naczynia ceramicznego z zarysem jakiegoś zwierzęcia. Gdy bacznie mu się przyjrzała, uznała, że to jakiś baśniowy stwór, przedstawiony w biegu, z paszczą pełną zębów, zaokrąglonymi uszami szczura i kocim ogonem. Przed nim, t a m gdzie

pękło,
stawu.
powierz
stóp
pełgał

aczynie

znajdowała się widocznie tylna część ciała zmychającego zwierzęcia z wyprostowanymi tylnymi kończynami.

Włożyła odłamek do kieszeni i zaczęła gramolić się ze Duży bąbel cuchnącego gazu wypłynął na

linię, w miejscu gdzie m u ł wciągał jej but.

— Diabeł puszcza bąki! — zawołał z u ś m i e c h e m Tim.

Fila podskoczyła, nieomal straciła równowagę, spod chlapała jej woda.

— Nie pukasz do drzwi, zakradasz się niepostrzeżenie.

To wcale nie jest śmieszne po tym wszystkim, co nas spotkało latem. Co tu właściwie robisz? — dodała.

— Stonogi są n u d n e — przyznał Tim. — Chcę sprawdzić, czy w stawie są traszki. Teraz, kiedy zmąciłaś wodę swoimi bucioremami, moje szanse na złapanie trytona spadły poniżej zera. Wracajmy do d o m u i miejmy już te bazgroły z głowy. — Wskazał głową wiadro. — Na p e w n o w tej brei znajdzie się coś i dla mnie.

Kiedy odchodzili od stawu, kolejny, jeszcze większy bąbel gazu pojawił się w miejscu, gdzie biło źródło. Leniwie wypłynął na powierzchnię, unosił się chwilę i pękł. Gaz, którym był wypełniony, zapalił się n a m o m e n t . Zielony płomień na wodzie, by po chwili zgasnąć.

Fila odskoczyła, wiadro m a ł o nie wypadło jej z ręki.

— Co to było? — spytała głosem piskliwym ze strachu.

— Bagienny gaz — odparł Tim nonszalancko. — Powstający z gnijących roślin. Czasem potrafi się sam zapalać. Nazywają to błędnymi ognikami. Wyluzuj. Nie ma się czego bać.

Jego słowa nie przekonały Fili.

— Myślałam, że bagienny gaz to m e t a n — powiedziała.

— Faktycznie — potwierdził Tim.

niebieskim

Ale

ni-

popę

icl

nieśpiesznie

stworzone

ale

mopy

Fila

— A przecież — rzekła — m e t a n pali się płomieniem. Każdy, kto ma kuchenkę na gaz ziemny, to wie.

— Wzrok n a m czasem płata figle — odparł Tim. —

jeśli masz stracha, to spójrz na wisiołek.

Fila zajrzała pod koszulkę. Kryształ był przejrzysty czym okruch szkła. Dotknęła go. Drżał gwałtownie.

— Uciekajmy! — wrzasnęła, upuszczając wiadro i działa w stronę d o m u . Tim ruszył za nią.

Owce widząc ucieczkę,
puściły się w pogoń.

W połowie drogi do furtki, zdyszany T i m zawołał:

— Zaczekaj chwilę, siostro! Moje nogi nie są do biegania w kaloszach. Przed czym uciekamy?

Zerknął przez ramię. Owce wciąż podążały za nimi, zostały jakieś pięćdziesiąt m e t r ó w w tyle, dreptały niespiesznie, jak zwykle bez ładu i składu, niczym wielkie na nogach.

— Nie m a m pojęcia — odparła Fila. — Wisiołek b przezroczystry.

— Ale przy stawie — zauważył Tim. — Jaki jest teraz? |

zerknęła szybko.

— Robi się matowy.

— A wibruje? — dopytywał Tim.

— Nie — odparła Fila.

Więc jesteśmy bezpieczni — uznał Tim i zwolnił kroku.

Fila ciężko dyszała, aż czuła ucisk w piersi. Też zwolniła i z niepokojem zerknęła za siebie.

Owce sunęły miarowym krokiem, stado prowadził tryk. Kiedy spojrzała na niego, zabeczał głośno. W jego rozdziawionym pysku dostrzegła ostre jak igły kły drapieżnika. Z jednego kła zwisały strzępki krwawej miazgi. W e ł n a po jednej stronie głowy barana, a także jego pysk były utyłane krzepnącą krwią, jakby dopiero co zagłębił szczęki w świeżej zdobyczy.



przyspieszyła
lydek
poszybował
roślinożerców.
licząc

Fila

kroku, Tim nie zostawał w tyle. Po-ykała się o kępy traw i ślizgała w miejscach objedzonych do gołej ziemi przez owce. Nogi ją bolały od niewygodnych buciorów. Przy każdym kroku guma przylepiała się jej do i ocierała skórę.

Fila dotarła do furtki i pokonała ją, wspinając się po pięciu żerdziach z szybkością, o jaką siebie nie podejrzewała. Tim przesadził furtkę jednym susem, przy czym jego lewy but w powietrze. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie ogrodzenia, stanęli obok siebie, zasapani.

Fila czuła, że nogi ma jak z waty. Owce przydreptały do furki i zbiły się w nieładzie.

— To tylko owce — zauważył ze wstydem w głosie Tim, przyglądając się stadu. — Przed czym tak uciekaliśmy?

— Przyjrzyj się ich zębom — powiedziała Fila. Ledwie wypowiedziała te słowa, a tryk zabeczał, na co odpowiedziała mu jedna z owiec. Ich zęby wyglądały zupełnie normalnie: płaskie siekacze i starte trzonowce, jak u wszystkich Łby miały czyste, nie

kilku

gałązek jeżyn, które zaplątały się w wełnę.

— Wychodzi na to, że też musisz narysować stonogę

— zauważył Tim i dodał — albo ślimaka. — Włożył kalosz, który mu spadł. — Widziałem jednego na słupku przy bramie.

— A kto wróci po wiadro mamy? — zastanowiła się na głos Fila, spoglądając z nadzieją na brata.

— Dobra, pójdę po nie — odparł bez przekonania.

— Nie boję się paru chodzących kotletów jagnięcych.

— Machnął ręką w stronę owiec. — Z miętowym sosem!

— dodał drwiąco, gdy oddalały się polem.

po-

jawił — Jak wytyczone Timowi ra moni. Jakkolwiek Malacostraca,

Tego samego wieczora, tuż przed szóstą, Sebastian się w pokoju Tima. Wciąż miał na sobie szkolny mundur.

widzę, odrabiasz pozalekcyjne zadania przez pannę Bates — zauważył, zerkając przez mnie, gdy ten rysował w elektronicznym szkicowniku kontury stonogi; rysunek pojawiał się równocześnie na torze komputera.

— Chciałeś powiedzieć — zganił go Tim — że odrabiam pracę domową? Naprawdę, Sebastianie, musisz popracować nad tym, jak mówisz.

— Twój komputer — ciągnął Sebastian niezrażony uwagą Tima — to zaiste nadzwyczajny przykład ludzkiej inwencji i pomysłowości.

— Jest odłotowy — wypalił Tim, spoglądając znacząco na Sebastiana.

Sebastian uśmiechnął się:

— Pod presją okoliczności, będę używał współczesnego żargonu.

korzystanie z tak niefrasobliwego słownictwa przez cały czas postrzegam jako obce i niezręczne.

— Powiedział, co wiedział — obruszył się Tim.

Pod rysunkiem napisał: Stonoga, lądowy skorupiak, rząd: równonogi, klasa:

zapisał swe dzieło

na twardym dysku i wydrukował je.

— Za czasów ojca mego — powiedział Sebastian, kiedy drukarka wypuła kartkę — stonogi nazywało się krocionogami lub pigułami. Proszek pozyskany z suszonych krocionóg zmieszany z ciepłym mlekiem użynało za zbawienny w przypadkach bólu żołądka i zaparc.

— Chyba żartujesz! — zdumiał się Tim. — Jedliście takie paskudztwo?

jakie Ignis Podsunał

Jako lekarstwo i owszem — odparł Sebastian. — Robiono z nich także balsam lub maść, nie pamięta jednak, miały właściwości lecznicze.

— Dajcie spokój z tą lekcją średniowiecznej medycyny wtrąciła Fila, która właśnie weszła do pokoju z rysunkiem dużego ślimaka, który umieściła w skanerze Tima.

Mówiłeś już Sebastianowi, co nas spotkało po południu?

— Stado owiec pasące się na polu napędziło Fila strachu

— wyjaśnił Tim.

— Wcale, że nie — obruszyła się Fila. — Nie tak było.

Poszliśmy nad rzymski staw łapać żyjątko wodne.

— Z d n a wyskoczył pęcherz gazu — dodał T i m — i zapalił się.

—

fatuus — powiedział Sebastian. — Błędny ogień. Zwodził wielu nieroztropnych wędrowców na grzędzawiska i bagna. Podążali za jego niebieskim płomieniem ufając, że widzą światło dalekich domostw.

— Pokaż m u , co znalazłaś — powiedział Tim.

Fila wyjęła z kieszeni odłamek naczynia i podała Sebastianowi.

— Ale ten gaz palił się na zielono — wtrąciła Fila.

— Pochodzi z czasów rzymskich — zawyrokował Sebastian — to fragment ceramiki samijskiej.

Wyrabiano ją w Galii, znanej dziś jako Francja.

odłamek pod lampkę Tima do czytania.

— Gaz błotny palił się na zielono — powtórzyła Fila z rosnącą irytacją.

— Co to takiego? — spytał Tim.

— O t o wizerunek chimery — wyjaśnił Sebastian — potwora z mitologii greckiej o głowie lwa i ciele kozy, który potrafił zionąć ogniem.

po-

wiona
na

kom-

— Jak

Led-

jak...

bojaźliwie.

wilkami
wyjaśnił.

— Czy m o ż e m y skończyć ten wykład o archeologii i rozmawiać o terażniejszości? — odezwała się zniecierpli-Fila. — Rzecz w tym, że przy stawie wisiorek zrobił

się przejrzysty jak szyba w oknie. Gaz błotny palił się zielono, choć uszło to uwagi mojego brata maniaka puterowego, owce miały zębiska niczym tygrysy i...

Zamilkła, bo uświadomiła sobie, o czym mówi.

— Widziałam chimere... — wyszeptała.

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi i do środka zajrzała pani Ledger.

— Kolacja — obwieściła, a widząc Sebastiana, dodała: |

— Zjesz z nami, Sebastianie?

— Będę rad — odparł Sebastian, uśmiechając się uprzejmie.

widzę, masz nową fryzurę — zauważyła pani ger. — Bardzo cię zmieniła, o ile mi wolno zauważyć.

Gdy tylko znikła za drzwiami, uśmiech znikł z ust Sebastiana.

— Więc twierdzisz, że gaz bagienny palił się na zielono?

— Tak — potwierdziła Fila. — Był zielony I wtedy przypomniała sobie starożytną lampę Malodora, która płonęła lekko szmaragdowym płomieniem.

— Czy ten gryzący gaz wdarł ci się do nosa?

Fila przytaknęła

— W takim razie — ciągnął Sebastian — to wyjaśnia twoje omamy z owcami. One nie były, jak ci się wydawało, |

w owczej skórze, ani drapieżnikami, ucieleśniały tylko twe lęki —

— Dostrzegłaś to, czego w danej chwili najbardziej się lękałaś, aczkolwiek nie zdawałaś sobie z tego sprawy.

— Uważasz, że były jedynie wytworem mojej wyobraźni? — spytała Fila.

półpiętrze,

ścianę,

Zmanipulowanej!

robić?—

I

— Niezupełnie — odparł Sebastian. — Raczej wytworem twojej zmanipulowanej wyobraźni.

Fila zatrzymała się na

gdzie oparła głowę

by nie stracić równowagi.

—

— zawołała. — Co to znaczy?

— Uległaś wpływowi — odparł rzeczowo Sebastian.

— Jak? — spytała Fila drżącym głosem.

— To być może ten bagienny gaz.

— Być może! — powtórzyła Fila. — Więc nie wiesz?

Sebastian nie odpowiedział.

— Ale Malodor nie wrócił? — wyszeptała Fila.

Sebastian wciąż nie odpowiadał, ale kiedy schodzili po schodach, poradził:

— Nie zbliżajcie się do stawu, chyba że w moim towarzystwie.

— Nikt nas t a m nie zaciągnie wołami! — zapewnił Tim.

— Ale któż chciałby to
zdziwił się Sebastian.

Kiedy siadali do kolacji, na stole w kuchni stały już trzy talerze z jajkami sadzonymi, zapiekaną fasolką, frytkami chrupiącymi plasterkami bekonu. Sebastian spojrział na fasolkę i trącił ją bez przekonania widelcem. Nie uszło to uwagi pani Ledger.

— Nie lubisz zapiekanej fasolki, Sebastianie? — spytała.

— Faktycznie — odparł Sebastian, ale w tym m o m e n c i e Tim kopnął go w kostkę pod stołem.

— W m o i m mniemaniu jest niezwykle... — T i m kopnął go jeszcze mocniej.

— Jest całkiem smakowita.

Pani Ledger usiadła naprzeciwko nich z filiżanką herbaty.

— Powiedz mi, Sebastianie — rzekła — jak masz na nazwisko?

— Gillette — odparł Tim.

— Jestem

za-
miesz-

tym

Pleasance

jes

Sebastian

nie

miejsce

tata...?

przekonana, że Sebastian potrafi mówić —

uważyła cierpko pani Ledger. — Powiedz mi, gdzie kasz, moje dziecko? Wiem, że kiedyś
mieszkałeś w d o m u .

— Na Farmie

— odpowiedział Sebastian — po

drugiej stronie Wzgórza Foxhanger. — Mieszkam tam z kuzynką mojej matki.

Tim i Fila spojrzeli po sobie. Co prawda podejrzewali, że m a m a ma jakiś ukryty cel w
zaproszeniu Sebastiana na kolację, nie przypuszczali jednak, że będzie go tak maglować

— Czy twoja kuzynka jest właścicielką farmy?

— Nie, pani Ledger — ciągnął Sebastian — farma własnością męża kuzynki mojej mamy.

— Twoja rodzina m u s i mieć w tej okolicy mocną pozycję

— zauważyła pani Ledger.

— Można tak poniekąd powiedzieć — odparł

Fila i Tim spojrzeli po sobie: sześćsetletnie dzieje wątpliwie dają rodzinie Sebastiana ważne w
lokal

nej społeczności.

— Masz rodzeństwo?

— Nie, jestem jedynakiem — wyjaśnił Sebastian.

Obserwował, jak Fila odkroiła kawałek chrupkiego bekonu, nadziała na widelec i umoczyła w żółtku jajka.

W tym momencie Tim zdał sobie sprawę, że Sebastian nie za bardzo wie, jak posługiwać się nożem i widelcem.

— A twój

— dopytywała się pani Ledger.

— M a m o ! — syknęła Fila, starając się przerwać to przesłuchanie.

— Odszedł — wyjaśnił zwięźle Sebastian.

— Bardzo mi przykro, Sebastianie — odezwała się pani Ledger. — Nie chciałam cię urazić. Co za nietakt z mojej strony — i po tych słowach zmieniła temat.



dach

nie

— Już

tam

wypełni!

ukulele...

— Mało brakowało — zauważył Tim, kiedy szli po schodo jego pokoju.

— Wasza m a m a to niezwykle dociekliwa niewiasta powiedział Sebastian — ale takie już są mamy. Muszą być pewne przyjaciół swych latorośli.

— Myślę, że na tym zakończy swe dociekania — powiedziała Fila.

Przez całą noc padał rześisty deszcz, silny wiatr wiał od strony rzecznej doliny i smagał deszczem w okna pokoju Fili, nie pozwalając jej zasnąć. Około północy dziewczynka usłyszała pukanie. W drzwiach pojawił się Tim, który też mógł spać.

— Jeśli ta nawałnica się nie skończy przed rankiem

- obwieścił — rzeka wystąpi z brzegów. A ten rów wokół domu...

— Masz na myśli dawną fosę — uściśliła Fila.

— ...jak zwał tak zwał — ciągnął Tim.

nabiera się

woda. Do rana zbiornik się

Fila wyrzała przez okno. Przez zasłonę z deszczu widziała światła w pokoju na parterze odbijające się w podnoszącej się wodzie.

— Zupełnie, jakbyśmy byli w zamku — zauważył Tim

— zwłaszcza z tymi kolumnkami w oknach. Brakuje tylko arrasów na ścianach, kołczug w

szafie, nadwornego błazna z czymś takim jak

— Mandoliną — poprawiła Fila. — Czasem, Tim, zachowujesz się jak półgłówek.

— ...nie mówiąc już o paru pieśniach — ciągnął niezrażony Tim. — Kilka sfatygowanych niedźwiedzich skór

do-

uzu-

uśmiechem

podłódze,

niepokój.

deskę

wchodząc

na podłódze, kusza, a jeszcze lepiej dwie, stojące w rogu obok kołczana pełnego strzał.

— A m o ż e na dokładkę jakaś d a m a w opałach? —

rzuciła złośliwie Fila.

— Doskonale spełniasz tę rolę — wypalił Tim.

— Albo jeszcze paskudny smok zionący ogniem? —

pełniła Fila.

— Albo smoczyca, taka jak ty — dodał z Tim.

Na myśl o zwierzęcych skórkach leżących na Fila przypomniała sobie o komnacie Sebastiana ukrytej głęboko w ziemi pod d o m e m . Nagle ogarnął ją

— Jeśli w o d a podejdzie m o c n o do góry — powiedziała pełna obaw — co się stanie z tajemną komnatą Sebastiana?

I samym Sebastianem? Pewnie nie zdaje sobie biedak sprawy, że woda w rzece się podnosi. Może utopić się, jak szczur zamknięty w pudle.

Zaczęła delikatnie lecz uporczywie stukać w w ścianie. Prawie natychmiast zachrzęścił mechanizm po drugiej stronie ściany i deska otworzyła się bezszelestnie, bowiem zawiasy były dobrze naoliwione.

— Co cię trapi? — spytał spokojnie Sebastian do pokoju Fili. — Wzywałaś m n i e dość uporczywie.

— Urwanie chmury — oznajmił Tim.

— C z e m u urwanie? — zdziwił się Sebastian. — Ni przywykłem do waszego języka.

— Deszcz leje od wielu godzin — wyjaśnił Tim. — Rzeka wystąpi z brzegów, a ty mieszkasz pod ziemią.

— Cenię sobie waszą troskę, ale jestem świadom, że poziom wody wzrasta — powiedział Sebastian.

— Skąd to wiesz? — zdziwiła się Fila. — Przecież nie masz t a m nawet porządnego okna.

nym,
mną.
nim.
Namacali
pominając
sem
tu
broszy
stęchlizny.

— Brakuje mi rzecz jasna tradycyjnych otworów okien-ale istnieją przecież i inne sposoby. Chodźcie ze Sebastian wszedł w otwór w ścianie. Fila i Tim ruszyli za stopami pierwsze stopnie schodów, przysobie, jak poprzednio Sebastian ich ostrzegął, te stopnie nierówne, bo wytarły się pośrodku przez setki lat chodzenia. Ostrożnie podążali za s t ł u m i o n y m odgło-kroków Sebastiana przez korytarz prowadzący do cię

żkich dębowych drzwi, za którymi mieściła się jego komnata. Tim usłyszał dźwięk otwieranej klamki i do korytarza wniknęło słabe, żółtawe światło, nie musieli więc pokonywać ostatnich pięciu m e t r ó w w całkowitej ciemności.

Gdy znaleźli się w środku, odnieśli wrażenie, że nic się nie zmieniło od ich ostatniej wizyty. Cztery świece umieszczone w mosiężnych świecznikach mocowanych na ścianie oświetlały migotliwymi płomieniami sklepienie i szereg łańcuchów oraz bloków zwisających z kamiennej pod sufitem. Światło padało na stojące na dębowym stole cynowe czarki i przeświecało przez alabastrowy tłuczek oraz moździerz. Połyskiwały buteleczki i retorty, a rzędy książek oprawnych w skórę wyglądały niczym wypolerowane; tłoczone złotem napisy błyszczały jak nowe.

W alkowie, gdzie spał Sebastian, Fila zauważyła pomięte płyty grubego baraniego runa. Widać było, że chłopak też się przewracał z boku na bok. Przywarła do ściany, by sprawdzić, czy jest mokra. Kamienie, choć chłodne, były suche. Na płytach na podłodze nie było śladu wody. W powietrzu nie czuć było

— Witajcie ponownie w moich skromnych progach

— powiedział Sebastian wskazawszy na ścianę. — Zobaczcie moje o k n o na rzece.

szklana
której
— Jest
wyjaś
nił

Woda
powietrza

obaw.
rejony
wyżej.

bezpiecz-

to-

Ze ściany wystawała pozioma

rurka, w

znajdowała się czerwona kulka.

połączona miedzianą rurą z brzegiem rzeki —

Sebastian. — Na drugim końcu znajduje się zawór.

podnosząca się w rzece napiera na zawór i ciśnienie w rurce wzrasta, wówczas czerwona kulka

idzie w górę. Znaki nakreślone na szkle informują mnie, kiedy okolicy grozi zalanie. Jak widzicie, w tej chwili nie ma p o w o d u do

— Sprytne! — pochwalił Tim. — Kiedy to założyłeś? 1

— Nie ja — odparł Sebastian — tylko mój ojciec, byśmy wiedzieli, kiedy należy przeprowadzić zwierzęta w położone

— A co z d o m e m ? — dociekała Fila.

— Nie ma się czym martwić. D o m zawsze jest ny — powiedział z przekonaniem Sebastian. —

Jest zbudowany znacznie powyżej obszaru zalewowego. Studiowa

łem p e w n e teksty napisane przez m e g o ojca — ciągnął.

— A skoro tu jesteście, pozwólcie, że podzielę się z wami konkluzjami.

Otworzył leżące na stole, opasłe, oprawne w skórę miszce. Był to m a n u s k r y p t zapisany schludną kursywą na sztywnym k r e m o w y m pergaminie. W niektórych miejscach a t r a m e n t wyblakł, zaś wielkie litery na początku każdego akapitu tonęły w misternych zawijasach lub były wpisane w pieczołowicie pokolorowaną ilustrację, jak w średniowiecznym manuskrypcie. Kolory były tak świeże i jaskrawe, jakby m a l u n e k powstał zaledwie przed chwilą.

Listki złota zdobiące gdzieniegdzie p i s m o lśniły jakby były wykonane z dopiero co wytopionego kruszcu.

— M a m a ilustrowała ten tekst dla mojego taty — wyjaśnił Sebastian.

— Jak miała na imię? — spytała Fila.

Timie
nie
nikt,

alchemicznej.

którzy
zademon-
struję.
tylko

Lady Tabitha Rawne — odpowiedział cicho Sebas-przesuwając delikatnie palcem po inicjale. Tim starał się cokolwiek zrozumieć z manuskryptu.

- Próżny trud,

— powiedział Sebastian. — Jest

tylko napisany łaciną, jaką posługiwano się za czasów Ojca mego, ale dodatkowo szyfrem,

którego nie zrozumie kto nie posiada wiedzy

Ale co tu jest napisane? — dociekała Fila.

Sebastian milczał przez chwilę.

— To traktat mego ojca — rzekł po chwili — o tych, kradną cudze dusze. Pozwólcie, że w a m

Tim, spójrz mi w oczy.

Tim niechętnie wykonał polecenie. W nikłym blasku świec źrenice Sebastiana były ciemne. Gdy jednak Tim w nie zajrzał, dostrzegł jasny zygzak światła poruszający się wewnątrz. Jakby patrzyło się na żarnik staroświeckiej żarówki bujającej się na boki na kablu.

— A teraz — polecił Sebastian — połóż dłoń na stole i rozchyl palce.

Tim spełnił jego prośbę. Sebastian wyjął z kandelabru jedną świecę, przechylił ją na bok i pozwolił, by ciekły wosk skapywał między palce Tima. Choć na twarzy Tima pojawił się lęk, chłopiec ani drgnął. Nie był w stanie poruszyć dłonią. Była sparaliżowana.

— Naturalną reakcją byłoby zabranie ręki, by uniknąć oparzenia — powiedział Sebastian. — Byłeś przerażony, a m i m o to nie poruszyłeś dłonią, gdyż znajdowała się pod moim wpływem. A teraz pójdźmy o krok dalej...

Sebastian wlepił wzrok w Tima. Jego oczy były szeroko otwarte, a spojrzenie intensywne.

Tim czuł się dziwnie. Miał wrażenie, jakby ciało poruszało mu się pod skórą, jakby skóra była niedopaso-

wanym

jego

ni-

wy-

we-

pstryka-

Pstry-

— Jeśli

plaszczem o kilka numerów za dużym. W

wnętrzu poruszało się jeszcze coś, krętymi ruchami, czym wąż poszukujący nory, w której mógłby się skryć.

— Co się dzieje? — zapytał, jednak z jego ust nie dobył się żaden dźwięk. Słowa rozeszły się echem wewnątrz niego, jakby krzyczał w kościele.

Sebastian wyjął z kieszeni niewielką, metalową wkę, jaką można znaleźć w jaskach z niespodzianką.

knął raz. Tym poczuł, jak słaby prąd przepływa przez niego i ze stołu uniosła się jego ręka, jakby z własnej woli.

— Twoja dusza jest teraz przede mną zamknięta — wyjął Sebastian.

— A czego się dowiedziałeś?

— Poznałem większość twoich największych pragnień i śmiertelnych obaw — odparł Sebastian.

— Na przykład, chciałbyś, by ojciec dał ci pieniądze, które odziedziczyłeś po ojcu twojej matki, zamiast czekać z tym do twojej pełnoletniości.

Tim był zdumiony. Nikomu nigdy o tym nie mówił, ani tacie, ani mamie — a już na pewno nie Sebastianowi.

— A widzisz? — odezwał się Sebastian.

potrafię

poznać twoje najskrytsze tajemnice, mogę skraść ci duszę.

Kiedy Sebastian mówił, Fila zauważyła na ścianie coś, co wyglądało jak kwadratowy, szklany ekran wielkości du

żej książki. Widać było na nim niewyraźny ruchomy obraz w stonowanych kolorach.

— Co to? — spytała.

— Camera obscura — wyjaśnił Sebastian.

— Co takiego?

— To przyrząd optyczny.

— Wymyślił go twój ojciec?

M'o

rodzeniem

Basry

Jednak

Naturalis”

wor

świa- tła,

Otóż nie — przyznał Sebastian. — Chiński filozof Ch'i wiedział o jego istnieniu pięć wieków przed Na-Pańskim. Znał go też Arystoteles, a także arab-ftki uczony Alhazen z X wieku. Ojciec mój go udoskonalił, ja także wprowadziłem kilka poprawek na podstawie zapisków Giovanniego Battisty Della Porty w jego dziele „Magiae z 1558 roku.

- Jak to działa? — zainteresowała się Fila.

- Chwyta obrazy — wyjaśnił Sebastian — za pomocą wypukłej soczewki i rzuca je na płaską powierzchnię. Wykorzystuje zasadę, wedle której światło wędruje po linii prostej, gdy jednak promienie wpadają przez niewielki otwór płaskim materiale, nie mogą się rozproszyć, przechodzą za to na drugą stronę i tworzą odwrócony obraz.

— A gdzie jest ta dziura, przez którą wpada światło z zewnątrz?

— Na strychu — wyjaśnił Sebastian. — Promienie kierowane pryzmatami, wędrują kanałem w dół poprzez ściany d o m u .

— Co tu widać? — spytała Fila.

— Pola przed d o m e m — odparł Sebastian.

— Ale jak mogą być widoczne — zdumiał się Tim. — Po pierwsze, jest noc, a po drugie, leje jak z cebra.

— To było dla m n i e największe wyzwanie — przyznał Sebastian. — Musiałem wzmocnić dostępne światło, by powstał obraz. Jak widzicie, udało mi się tylko po części, gdyż obraz ma wyblakłe kolory i brak mu ostrości.

— Jak dla m n i e b o m b a — wyraził swój entuzjazm Tim.

— Jest tak s a m o dobry, jak z kamery, którymi posługują się przyrodnicy kręcący nocą filmy d o k u m e n t a l n e .

— A to co? — zauważyła Fila przyglądając się bacznie ekranowi. — Coś rusza się na polu.

O, — To nie

Zmru- żółto-zielone Filu, pstrykawką, Timowi.

— Owce — zasugerował Tim.

— W taki deszcz? — zdziwiła się Fila. — Raczej schwały się pod żywoplotem.

Tim przyjrzał się ekranowi i powiedział:

— Nic nie widzę.

—

tutaj — Fila pokazała palcem dolny prawy róg

— Zmierza w stronę domu.

nie ma znaczenia — odparł Sebastian lekceważąco

— Przecież widzę! — upierała się Fila. — I to wcale owca. Owce nie podkradają się na czworakach. —

żyła oczy, by widzieć lepiej. — To pies.

— Spójrz jeszcze raz — nakazał jej Sebastian, przelotnie, ale wnikliwie przyglądając się jej obliczu.

Fila zbliżyła twarz do ekranu. Przez trawnik skradał się dwumetrowy krokodyl z rozdziawioną paszczą pełną ostrych zębów, łuski na jego ciele lśniły w deszczu. Obserwowała, jak dochodzi do rowu wokół domu, ześlizguje się z brzegu i znika pod powierzchnią, wzburzając wodę.

— Czy spotkałaś kiedykolwiek takiego gada na angielskiej wsi? — spytał Sebastian.

— Nie! — zaprzeczyła dobitnie Fila. — Jasne, że nie.

Przecież żyją w Afryce.

— No, właśnie — potwierdził Sebastian. — To, co ujrza

łaś,

to twoja chimera, potwór złożony z obaw i kosmarów sennych, którego wywołałem z najdalszych zakamarków twojej duszy.

Ponownie pstryknął

po czym wręczył p

jednej Fili i

— Noście je przy sobie. Gdy poczujecie, że ktoś zakrada się do waszej duszy, wystarczy pstryknąć raz. To was wyzwoli z niepożądanego wpływu. Nie nadużywajcie jednak

dzie

eze

Yolanda

tona.

domicyl.

wkładając

pstrykawkę

— Jeśli

le,

ternetu,

otworzył

teleadresowych” – Jest

go sposobu. Im częściej będziecie pstrykać, tym mniejsza moc rozproszona. A teraz — ciągnął — ma m y jeszparę innych spraw do omówienia. Czas najwyższy rozpocząć śledztwo w sprawie i jego asystenta Scrot-Po pierwsze m u s i m y ustalić ich

— Czy chodzi o to, gdzie mieszkają? — zapytał Tim, do kieszeni.

tak, to proszę

m ó w jak człowiek.

Opuścili podziemną kryjówkę Sebastiana i udali się do pokoju Tima. T i m usiadł przy komputerze, wszedł do Inksiążkę telefoniczną. Kliknął „wyszukiwanie danych i po dwudziestu sekundach

adres Yolanda wyskoczył na ekranie: Ulica Keatsa 47. Wyszukiwanie Scrottona nie przyniosło żadnego rezultatu.

— Przecież musi gdzieś mieszkać — powiedziała Fila.

— Może mieszka razem z Yolandem — podsunął Tim.

w końcu jego asystentem.

— To mogłoby się niektórym wydać dziwne — zauważyła Fila.

— Zapewne — przyznał Sebastian. — A żaden z nich nie chce zwracać na siebie uwagi. Jeśli jednak Scrotton jest tym, za kogo go uważam, wcale nie m u s i mieszkać w domu.

Rodzeństwo spojrzęło po sobie.

Rozdział czwarty

Fila Le-

Nazajutrz rano i Tim nie spotkali Sebastiana w drodze do szkoły.

— Gdzie się dziś podział Sebastian? — spytał

pani Ledger.

— Może zaszedł dalej niż wczoraj — podsunął Tim.

— Wyjechaliśmy z d o m u parę m i n u t później niż zwykle.

— To wspaniały młodzieniec — zauważyła pani dger. — Dobrze wychowany i bystry. A do tego przystojny, zwłaszcza z tą nową fryzurą. Gdzie go poznaliście?

Tim usiłował sobie przypomnieć, czy już wcześniej nie padło to pytanie, a jeśli tak, to jak na nie odpowiedział, rzekł więc:

— Na rybach.

— Doprawdy? — zdziwiła się pani Ledger.

Tim uznał, że dał błędną odpowiedź, więc dodał:

— Tak sędzę.

- Jak mogło ci to wypaść z głowy? — drażyla m a m a .
- Odkąd się tu przeprowadziliśmy, poznaliście r a p t e m garstkę osób.
- To było długie lato — dodała Fila, broniąc brata.
- Wiele się działo — uzupełnił wymijająco Tim.
- Bardzo bym chciała poznać jego opiekunów — ciągnęła pani Ledger. — A wy ich znacie?

ale
męża
Exington,
ulicę
asfalcie,

— Nie — przyznała Fila —
widzieliśmy z daleka
jego kuzynki ze stadem bydła.

Na ulicy zrobiło się tłoczno, a gdy dotarli do przedmieść pani Ledger zrobiła się bardziej nerwowa za kierownicą. Ale dopiero dwie przecznice przed szkołą wydarzyło się coś, co naprawdę wytrąciło ją z równowagi.

Przy ulicy stały domki mieszkalne otoczone równiutko przystrzyżonymi żywopłotami, zadbanymi trawnikami i schludnymi podjazdami. Ciemnozielone pojemniki na śmieci czekały przy krawężniku na śmieciarzy.

Nagle zza jednego z tych pojemników wyskoczył na piękny, pręgowany kot. Pani Ledger wdepnęła hamulec.

Samochód gwałtownie stanął, dziećmi szarpnęło. Z tyłu usłyszeli pisk opon innego pojazdu, który raptownie zahamował, by uniknąć zderzenia. Kot zatrzymał się na odgłos opon na przyjrzał się pojazdowi, a następnie czmychnął na podjazd. Pani Ledger zjechała do krawężnika.

— Ludzie, którzy mieszkają w mieście, naprawdę nie powinni mieć kotów — oświadczyła. Trzęsły jej się ręce, gdy grzebała w torebce. — Powodują wypadki, zresztą co to za życie dla zwierzęcia? O n e lubią pola i lasy, gdzie mogą polować. Poza tym wpadają pod koła.

Sprawdziła makijaż w lusterku wstecznym, pośliniła palec wskazujący i m u s n ę ł a n i m kącik oka.

— Wiesz co, m a m o — powiedziała Fila — sama przypominasz kotkę.

— To ciekawe! — fuknęła m a m a .

— Zawsze, gdy jesteś zmieszana, sprawdzasz makijaż.

Zupełnie jak kot. Gdy go coś speszzy, zaczyna myć pyszczek łapkami.

Gdy dotarli do szkoły, zauważyli Sebastiana, który akurat wchodził przez główną bramę, parę kroków za Scrottonem.



pytanie
zmieniał...

po
ni
co...?

Ni
Sebas
Timowi

Dogoniwszy chłopca, Fila zapytała:

— Jak ci się udało dotrzeć tu przed nami?

— Biorąc jednak pod uwagę zdolność hamowania pojazdu twojej mamy... — zaczął Sebastian,

ignorując Fila, jednak nie dokończył.

Fila i Tim spojrzeli po sobie.

— Mówiłeś nam, że nie będziesz się w nic

— powiedział Tim.

— Stwierdziłem jedynie, że nie mogę poruszać się szkole pod postacią zwierzęcia — uściślił Sebastian.

— Uważam jednak, że zjawienie się w pobliżu szkoły przed przybyciem uczniów i pedagogów, nie naraziło m n i e niebezpieczeństwo.

— Ale po

— zaczęła Fila.

— M a m swe powody — przerwał jej Sebastian. —

bądź taka dociekliwa.

— Czego szukałeś? — spytała m i m o wszystko Fila.

— Chciałem sprawdzić, czy nie czai się tu zło —

tian zamilkł i szedł dalej przed siebie, nie zwalniając kroku.

— No i? — nie wytrzymał Tim.

— Niestety nie znalazłem nic, co by miało szczególne znaczenie.

Po tych słowach Sebastian oddalił się, nie chcąc już nic więcej mówić. Stał się niedostępny, jakby kocie cechy jeszcze w n i m do końca nie wygasły.

Podczas przedpołudniowej przerwy w bibliotece było tłoczno. M i m o to

udało się na m o m e n t skorzystać z k o m p u t e r a bibliotekarki. Zalogował się do ogólnej bazy

11
Peelings

11,
Brampton

ojcu.

klasy

po-

odezwała,

danych i wpisał dane Scrottona. Wskoczyło, że ma lat,
pokazał się także adres

Lane

oraz

dane jego matki: Pani Mary Scrotton. Brak było informacji o

— Ma tylko m a t k ę — zakomunikował Tim, gdy szli na kolejną lekcję.

— Albo w ogóle nie ma rodziców — zauważył Sebastian.

— Co masz na myśli? — spytała Fila. — Przecież każdy ich ma. Tak to urządziła natura.

— Niekoniecznie — rzekł tajemniczo Sebastian.

— W niektórych przypadkach, takich jak...

— Że co? — wtrącił się Tim.

W tym m o m e n c i e pojawił się Scrotton. Szedł w ich stronę. Sebastian nie odezwał się.

Fila spostrzegła dziewczynkę z pierwszej klasy, stojącą przy rzędzie szafek na korytarzu. Lewą

dłoń skryła głęboko w kieszeni spódniczki.

Kiedy przechodzili obok, uczennica z trzeciej wiedziała zjadliwie:

— Lepiej się strzeżcie Julii. To czarownica.

Po tych słowach tak mocno pchnęła dziewczynkę, że ta uderzyła o ścianę. Rozpłakała się.

— Naprawdę? — szepnęła Fila do Sebastiana.

Chłopak wciągnął powietrze nosem i pokręcił głową.

Fila, Tim i Sebastian podeszli do poszkodowanej.

— Czemu tamta dziewczucha tak mówi? — spytała cicho Fila.

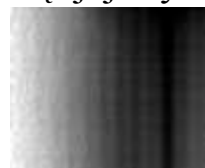
Julia się nie

ale wysunęła nieco dłoni z kieszeni. Pokrywały ją pokaźne brodawki.

— Lekarz mówi, że jest ich za dużo — wyjaśniła przybita

— żeby usunąć wszystkie za jednym zamachem.

Sebastian oparł się o ścianę obok dziewczynki, odczekał, aż Scrotton się oddali, i delikatnie dotknął jej szyi. Dziew-



klasy.

niepokój.

Dziew-

dziew-

przebr-

niewiel-

czynka drgnęła, jakby poraził ją prąd i odbiła się od ściany. Sebastian odsunął się i poszedł do

— Nic ci nie jest? — spytał Tim, udając czynka pobladała, drżały jej dłonie. Upuściła książki na

ziemię.

— Chyba nic — odparła. — Poczułam się jakoś dziwnie,

— Idź do toalety — poradziła jej Fila. — Napij się wody. Tim pozbierał jej książki.

— Zajmiemy ci miejsce w klasie — obiecał.

Kilka minut później, gdy zaczynała się lekcja, dziewczynka wpadła do sali i usiadła obok Fili. Na jej twarzy widniał szeroki uśmiech.

— Już dobrze? — szepnęła Fila.

— Niesamowite — odparła dziewczynka. — Nie mogę w to uwierzyć. — Uniosła lewą dłoń.

Skóra nie miała żadnej skazy, nawet czerwonych śladów w miejscach, gdzie były brodawki. — Znikły!

— Dziwna rzecz, te brodawki — rzucił Tim.

Sebastian spojrział na Filę i puścił do niej oko.

Zaraz po powrocie do domu, Tim pospiesznie się ze szkolnego m u n d u r k a , wyjął z garażu swój rowe górski i popedałował ile sił w nogach w stronę Brampton.

Postawił rower pod latarnią przed zakładem fryzjerskim, przypiął r a m ę do latarni blokadą.

Na poczcie spytał o drogę, a następnie udał się główną ulicą. Między p u b e m Pod Białym Jeleniem a piekarnią ze staromodnym, pomalowanym na złoto szyldem firmy Ho-vis nad drzwiami znalazł wąski zaułek wybrukowany kocimi łbami. Pokonał pięćdziesiąt m e t r ó w i tuż za

nito.
stanowiły
mchu.
zawilgłym

m zakładem naprawy kosiarek, przycinarek do żywopło-w oraz pił łańcuchowych, znalazł Peelings Lane.

Była to stara uliczka, gdzie od stu lat niewiele się zmie

Środkiem płynęła b r u d n a woda, Tim domyślił się, że to dawny rynsztok. Po obu stronach mieściły się wiekowe robotnicze d o m y z cegły. Kilka odnowiono, ale większość istne rudery; farba łuszczyła się na drzwiach, cegły były wyszczerbione, a kanały ściekowe popękane.

W miejscach, gdzie latem spływał deszcz, wisiały kosmyki oślizłych glonów. Parapety porastały gdzieś gdzieś kępi Dom pod n u m e r e m czernastym wyglądał na kompletną ruinę. Szyby w większości okien były potłuczone i brudne, a dostępu do zbutwiałych drzwi bronił przedpotopowy, zardzewiały zamek. Tim zajrzał przez okna. W pokojach nie dostrzegł żadnych mebli, deski podłogowe wypaczyły się, wilgoć i pleśń trawiły ściany. Boczna furka wisząca na jednym zawiasie, na której przybito plastikowy n u m e r 14, prowadziła do miniaturowego ogródka, w rogu którego stał od dawna nie używany ustęp pozbawiony dachu.

Ogród pełen był śmieci i obumierających chwastów.

Tim, uważając, żeby nie zahaczyć dzinsami o gwóźdź

wystający z gołej ramy okiennej, wdrapał się do d o m u .

Wewnątrz pachniało kocim moczem, grzybem i tynkiem. Ostrożnie wspiął się na schody, sprawdzając kolejno każdy stopień, nim przeniósł na niego ciężar całego ciała. Dwa pokoje na górze były puste, podobnie jak te na dole, nie licząc zwałów zeschniętych liści, które przywiał

wiatr. W jednym rogu poniżej pokaźnej dziury w dachu piętrzyły się odchody ptaków i nietoperzy.

Tim chciał już schodzić na dół, kiedy wpadło mu w oko coś na podłodze. W pierwszej chwili myślał, że to kawałek

lił
pro
Tim, —
myślał.
numer...

folii aluminiowej, która przyfrunęła tu wraz z liśćmi. Sch się i znalazł na podłodze srebrny,

prostokątny kawał

zabrudzonego metalu długości około dwóch centymetró i szerokości jednego. Przypominał mu aluminiowy zn czek, jaki przyczepia się do obroży psom, był jednak gru szy i cięższy. Kiedy wytarł go do czysta, okazało się, *i*

jest na n i m wytłoczony symbol EE3

Schował znalezisko do kieszeni i opuścił d o m .

Kiedy wyszedł przez furtkę na Peelings Lane, spotk staruszka, który niepewnym krokiem zmierzał w jego stro nę. Miał na głowie spłaszczoną tweedową czapeczkę i wadził na smyczy skundlonego teriera szorstkowłoseg W wolnej ręce taszczył torbę z zakupami, z której stercz marchewkowa nać.

— Przepraszam pana — zagadnął

Mógłby mi pan j

powiedzieć, kto tu mieszka?

— Lepiej pilnuj swego nosa, chłopcze! — zawołał ostro mężczyzna. — Nikt tu nie mieszka.

Prócz tych parszywych kotów. D o m świeci pustkami od co najmniej piętnastu lat.

— A kto mieszkał tu wcześniej? — spytał uprzejmie Tim.

— Nic ci do tego — odparł podejrzliwie staruszek. — P

co ci to wiedzieć?

Tim

— M a m takie zadanie d o m o w e ze szkoły. Ustalamy, kto wcześniej mieszkał w tutejszych domach, by dowiedzieć się, ile dawnych rodzin wciąż żyje w naszym miasteczku.

— Ach tak! W takim razie — powiedział udobruchany mężczyzna — dobrze trafiłeś. Wszystkich pamiętam. Ten dom... Jaki to

numer... — Spojrzał na koniec uliczki, by odliczyć budynki, ignorując n u m e r na furtce. — Po n u m e r e m czternastym mieszkali... — zawiesił głos.

mie-

zkał.

adnych

demdziesiąt

stoi

Tim,

schylając

zjedna

tym

stką

Bramp-

Szczerze mówiąc, nie pamiętam, by ktokolwiek tu Jak się nad tym zastanowie, sądzę, że nie było tu lokatorów przez całe moje życie. A m a m już sietrzy lata i mieszkam tu od urodzenia. Pewnie pusty i tyle.

— Ale przecież musi mieć właściciela — powiedział się, by pogłaskać kundla, wiedział, że sobie staruszka. — Każdy d o m ma jakiegoś właściciela. Kundelek wcisnął łeppek w dłoń Tima. Sierść miał szori tłustą.

— Lubisz psy? — zapytał staruszek.

— Tak — odparł Tim, by podtrzymać rozmowę. — Jak się wabi?

— Towser — odparł właściciel, a wracając do tematu, dodał: — Różnie bywa. Kiedy ktoś umrze, a nikt nie wie, kto jest właścicielem domu, i nie ma żadnej rodziny albo nie wiadomo, gdzie jej szukać, to p o t e m taki d o m stoi i popada w ruinę. Jeszcze jedna taka rudera stoi w ton od lat. Kiedyś był t a m sklepik. Starsza pani, jego właścicielka, wyniosła się. Do Australii! Tak przynajmniej gadają. I od tamtej pory wszelki ślad po niej zaginął. Pewnie podobnie było i w tym przypadku. Może kiedyś rada miejska każe go zburzyć.

Tim ciągle głaskał Towsera, coraz bardziej brudząc sobie dłonie. T e m u psisku, pomyślał, przydałaby się kąpiel. Jednak Tim wiedział, że tak długo, jak będzie interesował się psem, jego właściciel będzie mu przychylny.

— A teraz mieszkają t a m tylko te przekłete kociska

— ciągnął staruszek. — Brudasy jedne! Nie żeby jakieś wyrosnięte. Wyglądzone, żylaste żebraki. Chytre jak lisy.

I zaciekle. Złośliwe jak diabli! Agresywne. Jak cię taki ga-

**kotam
chylając
usłyszał
niemowlakie
opie|
mur
staruszel
pozwalal
szczególn
zbliz
Peelings
Brampton.**

gatek ugryzie, to zrozumiesz, o czym mówię. A Tows

— ożywił się na ten t e m a t — to szczurołap pierws klasa. Po mistrzowsku łapie szczury. Żaden

mu się ni wymknie. Jest odważny jak dziesięć innych terieró razem wziętych. Ale woli nie zadzierać z tymi Nie m a m mu tego za złe. Jak to mawiają, odwaga winn iść w parze z rozważą. Tyczy się to nie tylko psów, alf także ludzi. Wierz mi — dodał na zakończenie, n się w stronę Tima, jakby nie chcąc, by go koty — gdybym był młodą m a m ą z w wózku, nie zostawiłbym swojej pociechy bez w ogrodzie w tej okolicy. Koty dopadłyby malucha, t p e w n e jak a m e n w pacierzu.

Tim ujrzał kątem oka jakiś ruch w oddali przy ogrodzie. W tym samym m o m e n c i e Towser zaczął węszyć

— Pojawił się jeden gagatek! — zauważył

— Chodź, Towser! Wracamy.

Bez pożegnania staruszek pociągnął psa na smyczy i obaj oddalili się uliczką na tyle szybko, na ile wiek mężczyźnie.

Kot był niewielki, nie wyróżniał się niczym prócz tego, że lewą przednią łapę miał białą. Nie się do Tima, stał tylko, przyglądając się chłopcu, niby be zainteresowania, jak to koty potrafią. Tim poczuł się jakoś nieswojo. Rozejrzał się po

Lane i przekonał się,

że w zasięgu wzroku nie ma żadnej innej żywej istoty Znalazł się tu sam na sam, pomyślał, z jednym z zabój czych kotów z

Po chwili kot przysiadł, podwinął ogon i zamknął ślepia.

Tim ruszył uliczką. Przy niewielkim warsztacie, z zaplecza którego dobiegały odgłosy zapalania kosiarki do trawy, obejrzał się za siebie. Kot szedł za nim. T i m miał nadzieję,

wir.

lym

fox

po-

Rawne

Barowiczów

elings

ujawnia

(On

male-

— Jaskinie,

zwierzę chce tylko sprawdzić, czy intruz opuści jego Dopiero, kiedy chłopiec minął drzwi p u b u Pod Bia

Jeleniem, zadowolony kot zadarł wysoko ogon i za-ił w stronę Peelings Lane.

©

— Jeśli Scrotton wybierze się kiedyś na wagary —

wiedział Tim, kiedy szli później z Filą i Sebastianem przez G r o u n d n ku Edenowi —

nauczyciel ścigający wabędzie miał niezłe zdziwko, gdy trafi na Pe-Lane, a Scrotton dostanie porządne cięgi od dyra.

— Nikt się nie dowie, jeśli pójdzie na wagary — zauwa

żyła Fila — bo to Yoland sprawdza obecność i tylko on wagarowiczów. Wystarczy, że wpisze Scrottonowi obecność i wszystko zostanie w tajemnicy.

— A jeśli chodzi o ten d o m — ciągnął Tim — to nie zdziwiłbym się, gdyby Scrotton naprawdę t a m mieszkał.

jest taki brudny, jak wewnątrz tej rudery. Wszędzie śmierdzi kotami, piętrzą się stosy kup nietoperzy i stare liście...

— Nie mieszka t a m — uciął kategorycznie Sebastian. —

Przypuszczam, że budynek jest sanktuarium.

— Sanktuarium? — powtórzyła Fila. — Myślałam, że to określenie kościoła albo czegoś takiego.

— W całej Anglii — wyjaśnił Sebastian — znajdują się miejsca, gdzie zło znajduje swoje schronienie. Najczęściej są to jaskinie lub dziuple w drzewach, ale zdarzają się i budynki. Za czasów ojca m e g o zwano je t e m p l u m ficarum — nietykalne chudoby zła.

to r o z u m i e m — zauważył Tim. — Są trwałe, ale domy? Mogą się zawalić lub zostać odremontowane...

leficarum

śli

budynk

kolej

poczuł,

po

schodach

Oni

ciekawscy

za

skórk

Minęli

jakaś
ję

— Scrotton podał ten adres, bo wie, że to t e m p l u m i nikt go nie tknie — powiedział Sebastian.

wrócicie t a m za dwadzieścia lat, zastaniecie dokładnie w takim stanie jak dziś, będzie go chronić ny zły duch, który t a m zamieszka.

Tim
jak cierpnie mu skóra. Mógł przecież, myślał, wpaść na takiego ducha, kiedy szedł po Wolał porzucić tę myśl.

— A jeśli chodzi o koty — dodał Sebastian — są strażnikami sanktuarium. Pilnują, by wszyscy trzymali się z dala. Masz wiele szczęścia, że nie starłeś się z żadnym z nich. Są wyjątkowo nikczemne.

— Ale widziałem jednego — wyznał Tim. — Szedł mną, kiedy stamtąd odchodziłem.

— Czy jego lewa przednia łapa była biała?

— Tak — potwierdził Tim i poczuł na rękach gęsią

— To musiał być strażnik — potwierdził Sebastian.

Ale nie obawiaj się, na pewno nie tropił cię poza s l terytorium.

dębową ławkę, a kiedy doszli do rzeki, ruszyli wąską ścieżką wzdłuż jej brzegu.

— A teraz — powiedział Sebastian — pokaż mi ten i przedmiot, który t a m znalazłeś.

Tim wyjął metalowy prostokącik.

— To pewnie nic takiego. Najwyżej plomba z gazomierza czy licznika elektrycznego. Nic więcej.

— Podał
znalezisko Sebastianowi.

Sebastian wziął przedmiot do ręki i przystanął. Przyjrzał

mu się bacznie, a następnie za pomocą żółtawej szmatki wyjętej z kieszeni zaczął go m o c n o pocierać między palcem wskazującym a kciukiem. Po chwili metal błyszczał

nowy.

znalazłeś
spytał.

Im.
bikację
trawą

klucz.

czarodziejski

I— Czy

coś jeszcze? —

Tylko odchody nietoperzy i suche liście... — odparł

— Oczywiście żadnego śladu, który wskazywałby na o, że ktoś t a m mieszka. T a m nie ma nawet łazienki. A za służy wałaca się kamienna buda w ogrodzie.

Wskazał na znaną blaszkę. — Co to takiego?

Słońce zbliżało się do horyzontu, cienie się wydłużały.

Na polach, po drugiej stronie rzeki, kilka centymetrów nad unosiła się lekka mgiełka.

— Stop platyny, srebra i złota — oświadczył Sebastian.

Metal taki określa się m i a n e m białe złoto.

— Ale co to? — dociekała Fila.

— To magiczny

Kiedy rzuca się czary, do każdej części zaklęcia potrzebny jest klucz, który pełni funkcję katalizatora, koniecznego do rozpoczęcia reakcji.

Co oznacza ten znak na nim? — spytała Fila.

— To alchemiczny symbol określający piec do topienia.

— Ale skąd się wziął

klucz w tej rudrze

w Brampton?

— Jak przypuszczam — powiedział Sebastian — zgubił go Scrotton, który t a m był.

— Skoro tak — podsunął Tim — to po niego wróci, a my możemy go śledzić...

— Przybędzie t a m nocą — przerwał mu Sebastian — nie damy rady czekać na niego, leżąc w zasadzce przez wiele godzin.

— Nie m a m y co prawda jego, ale m a m y klucz — podsumowała Fila.

— Bez trudu zrobi sobie nowy — odezwał się lekcewa

żąc Sebastian, zamachnął się i wrzucił blaszkę w sam środek rzeki. Odbiła się od powierzchni trzy razy niczym płaski kamień i poszła na dno.

— Co ty robisz! — zawołał Tim. — Przecież musi to być wiele warte...!

— Jest skażone złem — odparł Sebastian, wzruszając ramionami — ma wartość niematerialną i wcale nie chcę go posiadać.



Rozdział
Wodwo

dmuchnął gimnastycznej.

piąty

Tim wciągnął spodenki i sprawdził, czy sznurówki b u t ó w sportowych są porządnie zawiązane.

Wokół

niego trzydziestu chłopców z siódmej klasy kłębiło się w szatni, przebierając się w stroje gimnastyczne. Żartowali przy tym i prowadzili hałaśliwe rozmowy. Była to ich pierwsza lekcja WF-u, oczekiwali jej więc z niecierpliwością.

Nie bacząc na harmider, Tim skupił całą uwagę na Scrottonie, który zaszył się w kącie pomieszczenia, by się przebrać. Do połowy zasłaniała go szafka na sprzęt gimnastyczny. M i m o to Tim zauważył, że ma zszargane, m o c n o zabrudzone ubranie.

— C z e m u Scrotton się chowa? — szepnął do Sebastiana, który miał na sobie jego zapasowy strój.

— Gdy lekcja się skończy — powiedział Sebastian

— stań tak, by dobrze go widzieć. Sam zrozumiesz.

Jeden z nauczycieli WF-u

w gwizdek.

— W szeregu zbiórka! — zawołał ostro niczym sierżant.

Zapadła cisza, wszyscy się ustawili, by następnie udać się za n i m do sali

A t a m czekał już na nich

tor przeszkód złożony z drabinek, lin, kozła, równoważni i materacy obok długich ław.

Nauczyciel zademonstrował

uczniom, w jaki sposób mają pokonać tor. Biorąc kolejne przeszkody, krzyczał, jakie ćwiczenia wykonuje. Inny na-

szym

sali!

ustawił

Timem,

nie

gimnastycznej.

r

uczyciel stał przy kozle, by pomagać go przeskoczyć ślą uczniom.

Rozległ się kolejny gwizdek.

— Ustawić się w szeregu na końcu

— nakazał wojskowy głos. — Biegiem!

Nie trzeba było dwa razy powtarzać. Scrotton się przed

a Sebastian za nim.

— Dobry jesteś — burknął Scrotton, odwróciwszy się, nim zaczęli ćwiczyć.

— Nie wiem — odparł Tim. — W podstawówce mieliśmy sali

— A ja jestem mistrzem — rzekł arogancko Scotton.

— Nie wątpię — odparł sarkastycznie Tim.

Z n ó w rozległ się gwizdek i uczniowie ruszali w odstępach co pięć sekund. Kiedy nadeszła kolej Scottona, nauczyciel stojący na czele szeregu zawołał:

— Ruszaj, chłopcze! Start!

Ale Scotton ani drgnął. Przyglądał się wnikliwie przyrządom, jakby planował, jak je pokonać.

— Do dzieła! — zniecierpliwił się nauczyciel. — Nie ma się czego bać. Pokazywałem, co macie robić.

Wówczas Scotton powiedział potulnie:

— Tak jest, proszę pana. Muszę się tylko zastanowić.

Po tych słowach zrobił rozbieg z nieprawdopodobną prędkością. Okazał się zdumiewająco zwinny. Jedna z drabinek stała pod kątem prostym do ściany. Inni chłopcy musieli wspinać się na jej szósty lub siódmy szczebel, wyciągali ręce, przyciągali linę, oplatali o nią nogi, zjeżdżali w dół na rękach, a następnie biegli po ławie. Większość chłopców pędziła do drabinki, ostrożnie pokonując kilka szczebli i niepewnie wyciągając rękę po linę.

a nieśpiesznie.

Scotton podszedł do ćwiczenia zupełnie inaczej. Podbiegł do drabinki, wskoczył z podłogi na siódmy szczebel, następnie dał susa na linę i zsunął się po niej zaskakująco szybko. Gdy znalazł się na ławie stojącej poniżej, ruszył

po niej niemal sprintem. Gdy dotarł do końca ławy, bez chwili przerwy biegł dalej, wkrótce natknął się na swego poprzednika i musiał zaczekać chwilę, nim pokonał kolejną przeszkodę.

Nauczyciel przy koźle nie musiał mu pomagać, na materacach wykonał trzy czy cztery wzorcowe fikołki, a kiedy dotarł do równoważni, wskoczył i przebiegł

po niej, jakby znajdowała się tuż nad ziemią. Wkrótce znalazł się na końcu szeregu.

Tim, który ruszył za nim, nie potrafił dotrzymać mu kroku, choć bardzo się starał. Sebastian pokonał tor przeszkód

— Niezłe t e m p o — Tim niechętnie pochwalił Scottona, kiedy dobiegł na koniec szeregu.

Jasne — chełpił się Scotton. — Mówiłem ci, że jestem dobry w te klocki.

Zajęcia trwały dalej. Przy każdym ćwiczeniu jeden nauczyciel stawał przy urządzeniu, by asekurować niedoświadczonych i chronić ich przed kontuzją. Scotton obywatel się bez pomocy i asekuracji. Był zwinny, szybki i diabelnie zręczny. Tim widział, jak nauczyciele spoglądali na siebie ze zdumieniem.

WF dobiegł końca, Tim postarał się dotrzeć do szatni jako pierwszy. Ustawił się tak, by widzieć szafki od tyłu.

Sebastian schował się za nim. Pojawił się Scotton, a ponieważ myślał, że nikt go nie obserwuje, pośpiesznie zdjął

podkoszulek i jak najszybciej się ubrał. Jednak Tim zauwa

żył wąski pasek m o c n o skudlonych włosów biegnący wzdłuż jego kręgosłupa. Ramiona były równie kosmate.

najmłod-

gryzmolił, legwana.

Ręce również miał ciemne od włosów, były one jed znacznie krótsze, jakby je przystrzyżono.

— Małpolud! — szepnął ktoś za plecami Tima.

Kiedy odwrócił się, stał za n i m chłopiec, który pie szego dnia szkoły ostrzegał go przed Scrottonem.

— Szkoda, że nie widziałeś go w podstawówce — ciągnął. — Wszedł się na każde napotkane drzewo i bujał na j jego gałęziach niczym obleśny, mały Tarzan. Od szych lat nauczyciele zganiali go z drzew.

— Wiesz, gdzie on mieszka? — spytał Tim.

— Nie. Nigdy nie widziałem jego rodziców, nie pojawili się na żadnej wywiadówce, ani niczym takim. Śmiały się, że nie urodził się, tylko powstał z proszku. — Chłopiec uśmiechnął się. — Wystarczyło dodać wody, zamieszać i gotowe.

Przez resztę poranka Tim i Sebastian postanowili nie obserwować Scrottona, żeby nie wzbudzić jego podejrzeń.

Scrotton był niezdamny. Nie umiał spokojnie usiedzieć na miejscu, stukał palcami w blat ławki, kiwał stopą. Nie potrafił się na niczym skupić dłużej niż przez m i n u t ę .

Kiedy zapisywał coś w zeszycie, trzymał swój tandetny, plastikowy długopis między drugim a trzecim palcem, zamiast między wskazującym a kciukiem, przy czym rękę miał tak wygiętą, że końcówka długopisu była skierowana w jego stronę. Okropnie a kiedy zadawano

mu t r u d n e pytanie, wystawiał język, zwilżał wargi i marszczył brwi, w czym przypominał Fili Zauważy

ła też, że często wkłada dłoń pod koszulę, by podrapać się po brzuchu.

Z bliska jego skóra była ziemista, kark pokrywały krosty z czarnymi wągrami. Brudne paznokcie były długie, zro-

rowaciałe

uszami

pełniona

garka.

sparciałą

klejącą.

torium,

spokojnie

i popękane i przypominały szpony. Skóra za chłopaka była szara i łuszczyła się. Ubranie miał niechlujne, buty zszargane, a szpara przy podeszwie wybyła wyschniętym błotem.

Fila zauważyła, że Scrotton nie ma wielu rzeczy, które posiadają inni uczniowie, choćby komórki ani nawet ze

Za piórnik służyło mu stare p u d e ł k o po cygarach zamykane gumką, na wieczku którego widniał

napis Cuba Corona. Miał stary kalkulator Casio na baterie **Nloneczne**, w obudowie zlepionej taśmą. Podczas gdy Fila prowadziła śledztwo w sprawie Scrottona, Sebastian postanowił sprawdzić, co się da zrobić w kwestii Yolanda. Ponieważ kierownik działu chemików miał podwójną lekcję chemii z najstarszą klasą w laboratorium miała potrwać do przerwy śniadaniowej, Sebastian uznał, że nie opuści on raczej swej pracowni. Odczekał więc, aż na dobre zacznie się lekcja, zwolnił się na chwilę i udał do pokoju nauczycielskiego.

Zastukał delikatnie w drzwi i nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. Wewnątrz paru nauczycieli siedzia

ło przy okrągłym stole i sprawdzało prace uczniów. Ktoś czytał gazetę rozłożony w sfatygowanym fotelu, na oparciu którego stał kubek z herbatą.

Przy długiej ścianie znajdowały się duże drewniane przegródki opatrzone nazwiskami nauczycieli na karteczkach w zaśnieżonych, mosiężnych ramkach. Sebastian podszedł do nich i szybko odnalazł przegródkę Yolanda. Właśnie miał zacząć w niej myszkować, gdy nauczyciel w fotelu opuścił gazetę.

— A ty co tu robisz, chłopcze? — zapytał.

Sebastian musiał coś wymyślić na poczekaniu, a ponieważ wpadła mu w oko przegródka obok Yolanda, powiedział:

że-
ós-
kanap-

ale

książkę.

— Jej przegródka jest tu — wskazał nauczyciel. — A n przyszłość nie wchodzi tu, jak do obory.

Zaczekaj zA

drzwiami, aż cię ktoś zawoła.

Po tych słowach wrócił do lektury.

— Dziękuję, proszę pana — odparł Sebastian i bez nady dalej grzebał w przegródce Yolanda.

Nie znalazł tam nic ciekawego: jakieś sprawdziany mej klasy, kilka podręczników, pudełko ołówków i flamastrów, notatki do lekcji i wydruki z zadaniami egzaminacyjnymi.

W czasie długiej przerwy Fila kupiła Sebastianowi ki z tuńczykiem i ogórkiem oraz kartonik soku pomarańczowego. Sebastian ugryzł kanapkę, przeżuł starannie kęs i połknął. Następnie zerknął na napis na opakowaniu.

— Co to takiego: tuńczyk? — spytał.

— Taka duża m o r s k a ryba — wyjaśniła Fila.

— A ogórek?

— Warzywo — odparł Tim po chwili namysłu —

m ó w ciszej. Jeśli ktoś się dowie, że nie słyszałeś o ogórku, weźmie cię za dziwoląga.

— Smakuje? — spytała Fila.

Sebastian pomyślał chwilę i zaczął:

— Smak tej przekąski znajduję jako lekko pikantny...

— Pychota — przerwał mu Tim.

Sebastian uśmiechnął się i powiedział:

— Pełen odlot.

W tym m o m e n c i e Yoland pojawił się w stołówce ze sprawdzianami ósmej klasy, które Sebastian widział w jego przegródce. Gwar nieco przycichł, by po chwili rozbrzmiewać z jeszcze większą mocą. Yoland wybrał stół w kącie

przynióst bladozieloną tymi

mieszczenia,

sobie kawę, usiadł i zaczął sprzedawać klasówki.

- Ma dyżur — powiedziała Fila.

— To świetnie! — ucieszył się Tim. — Nie wyjdzie stąd przez kolejne czterdzieści m i n u t .

Wysoki, chudy Yoland o pociągłej twarzy poruszał się z iście owadzią precyzją, przypominając Fili wielką modliszkę, którą widziała w programie przyrodniczym. Jego ręce były zakończone niezwykle długimi, kościspalcami ze schludnymi, przyciętymi paznokciami. Wyglądały tak nienagannie, jak wypolerowane przez manikiurzystkę. Siwiejące włosy były gęste po bokach głowy, nos i podbródek szpiczaste, rozbiegane oczka wечно wypatrujące, czy nie dzieje się coś wartego uwagi. Nosił

doskonale skrojony garnitur w prążki, czym się wyróżniał, ponieważ większość nauczycieli chodziła w ciuchach na luzie, miał też krawat z herbem kolegium. Jego nogi były długie i patykowate, a za przylegające do głowy uszy zacze-sywał gładko włosy. Nauczyciel miał wygląd pedanta, typowego naukowca, którego frapują skomplikowane szczegóły.

Kiedy przechadzał się po sali, kroczył wyprostowany, jakby połknął kij, nie pochylał się, nogi szły pierwsze, a za nimi podążał tułów. Głowę odwracał zawsze szybkim ruchem, niczym zaniepokojona jaszczurka.

Za każdym razem, gdy podczas obchodu zbliżał się do ich stolika, wisiołek na szyi Fili drżał.

Kiedy skończyli drugie śniadanie, Sebastian zaproponował, by wyszli na boisko. Oddalili się od szkolnego budynku na ile tylko się dało. Kilkusetletni kasztanowiec stał na skraju boiska, trawa pod nim usiana była kasztanami.

— Skoro Yoland potrzebuje asystenta, planuje coś poważnego — dedukował Tim.



Chciałem,

Scr
jak
WF-ie,
Scrottona
obejrzeniu
Sebastian — jestem
Wod...
chrząkając.
— Jak

byśmy tu przyszli i porozmawiali o tonie — oznajmił Sebastian. Rozejrzał się wokoło, by u wnić się, że nic nie doleci do niepowołanych uszu.

Tim przypomniał sobie, jak kolega z klasy porównał Scrottona do Tarzana, a także to, radził sobie na

zerknął jeszcze w górę na gałęzie kasztanowca.

nie było nigdzie widać.

— Po

pokazu zwinności Scrottona w sali gimnastycznej — zaczął

pewny, że potwierdzają się przypuszczenia mego ojca, Scrotton to wodwo.

co? — zdumiał się Tim.

— W o d w o — powtórzył Sebastian. — To od dawna nie używane angielskie słowo, które bardzo t r u d n o wyjaśnić.

To jest — lub raczej było — stworzenie, które żyło w kniei.

— Małpolud z lasu! — zażartował Tim zarzucając rękę nad głowę, chwytając się za brodę i

— Żart Tima m o ż e być bliższy prawdy, niż się wydaje

— powiedział Sebastian. — W o d w o nie jest w pełni człowiekiem ani zwierzęciem. Posiada przebiegłość i instynkt dzikiego zwierzęcia, aczkolwiek — ciągnął Sebastian,

— w przypadku Scrottona, który wiele przebywa wśród ludzi, nabrał ludzkich cech i rozwinął swą inteligencję.

Ponadto, jako asystent, posiadał szeroką wiedzę o alchemii i magii. Ten wodwo, jest — w przeciwieństwie do innych

— niezwykle niebezpieczną istotą.

W tym m o m e n c i e dostrzegli Scrottona po drugiej stronie boiska. Chwycił za gardło drobnego, chudziutkiego chłopca i dźgał go w ramię.

widzicie — zauważył Sebastian — czasami ludzka strona jego natury słabnie, a bestia bierze w nim górę.

Rozdział szósty Norą księgą drogą

i

Nazajutrz po południu Fila, Tim i Sebastian obserwowali z okna biblioteki Scrottona, który wyszedł

przez bramę poza teren szkoły, niosąc swą sfatygowaną torbę. Gdy tylko znikł im z pola widzenia, podążyli za nim w bezpiecznej odległości.

Szybkim krokiem opuścił teren zabudowany i ruszył prowadzącą do Brampton. W miejscu, gdzie droga i rzeka biegły obok stromego pagórka porośniętego drzewami, Scrotton raptem skręcił w ledwie widoczną ścieżkę, prawdopodobnie wydeptaną przez sarny i lisy. Nie zwolnił

kroku, nawet gdy zbocze zrobiło się strome. Fila, Tim i Sebastian ukryli torby w gąszczu jeżyn i przemykali się za nim dalej wśród drzew, starając się nie stąpać na leżące na ziemi gałązki. Najwyraźniej Scrotton nie zdawał sobie sprawy z ich obecności, wspinał się dalej pod górę, nie zbaczając ze ścieżki. Wiewiórki, zakopujące tu i ówdzie orzechy, nie zwracały na niego najmniejszej uwagi. Bażanty, dziobiące wśród opadłych liści, na m o m e n t uniosły głowy i wróciły do żerowania.

— Zwróćcie uwagę — powiedział po cichu Sebastian

— zwierzęta się go nie lękają, gdyż przynależy do ich świata.

Trzysta m e t r ó w od podnóża wzgórza rósł rozłożysty dąb. Tim oszacował, że ma co najmniej tysiąc lat. Scrotton

Timowi Fj glądało przykuc nicz nikn w

wyść. Fila.

zszedł ze ścieżki i skierował się prosto ku drzewu, szuraj przy tym nogami, by nie zostawić śladów.

Nieopodal leżał okazały pień powalonego buku. Sebastian szybko schował się za nim i dał znak i by zrobili to samo. Pod dębem znajdowało się coś, co na borsuczą norę. Ziemia między korzeniami bświeżo poruszona. Obserwowali, jak Scrotton i wrzuca do dziury swoją torbę.

Następnie zwinnie wąż wślizguje się do środka. Widzieli, jak jego buty w mrok ujamy.

— A cóż to takiego? — szepnęła Fila.

— Nie mam pojęcia — odparł po cichu Tim. — Al najwyraźniej zszedł pod ziemię.

— To jego kryjówka — rzekł cicho Sebastian.

— Czemu nie mieszka tym starym domu? — spytał Tim.

— W domach czuje się nieswojo — wyjaśnił Sebastian.

— A tu jest bezpieczny.

— Co robimy? — spytała Fila.

— Musimy uzbroić się w cierpliwość — odparł Sebastian. — Niebawem opuści kryjówkę. Za godzinę, dwie za padnie noc, a on wyruszy na żer.

Nie minęło dziesięć minut, gdy Scrotton znów się pojawił. Najpierw wystawił na zewnątrz głowę i rozejrzał się niczym płochliwe zwierzę, które ocenia, czy może bezpiecznie. W końcu wy dostał się z nory. Nie miał już na sobie szkolnego mundurka, tylko ubłocone džinsy i brudną brązową bluzę sportową. Odwrócił się i ruszył w górę wzgórza, przeszedł przez grzbiet na drugą stronę i znikł

w gęstym lesie.

— Teraz nadarza się sposobność — uznał Sebastian.

— Stań na straży,

Daj nam znać, jeśli wróci. Tylko po cichu. Nie spłosz go. Chodź ze mną, Tim.

Timowi

łczek

łednak

łężne

łrzeplatającymi

łstała

Przy wejściu Sebastian dał

coś, co wyglądało,

kulka granatowej gumy do żucia wielkości wiśni.

Ssij to przez cały czas, gdy będziemy w środku. — Po-zrobił mu się wypukły, gdy drugą kulkę włożył sobie do ust. — A teraz chodźmy do kryjówki wodwo.

Już dwa metry od wejścia było ciemno jak w grobie, przez otwór sączyło się tylko nikle popołudniowe słońce.

Tim zamrugał, by wzrok przywykł do ciemności. Nic to nie pomogło. Gdy tylko włożył kulkę gumy do ust, zobaczył wszystko, jak przez wojskowy noktowizor. Mrok nory m o m e n t a l n i e rozjaśniło blade światło.

— Ekstra! — zawołał. — Co to za чудо?

— Wyciąg z marchewki — odparł Sebastian — i kilka innych ingrediencji, których i tak nie znasz.

Tunel miał około m e t r a wysokości i tyle samo szerokości, po około czterech metrach skręcał pod kątem prostym.

Ściany były z ziemi, gdzieniegdzie podtrzymywały je pokorzenie dębu, wytarte w miejscach, gdzie Scrotton ocierał się o nie, przechodząc. Za zakrętem korytarz ciągnął się jeszcze przez co najmniej osiem m e t r ó w . Ziemia pod stopami była gładka i twarda jak skała, natomiast na suficie podtrzymywała ją gęsta sieć drobnych korzeni, niektóre z nich zwisały niczym wąsy.

Na końcu tunelu znajdowała się większa komora, sufit był tu wzmocniony się ze sobą patykami,

a w ścianach wykuto półki, na których Scrotton trzymał

podręczniki. W jedną wnękę wcisnął swój szkolny m u n durek. Na końcu znajdowała się duża sterta wyschniętych liści i paproci służąca za legowisko. Obok powyginana aluminiowa miseczka z obrzydliwą wodą.

— On naprawdę żyje jak zwierzę — zauważył Tim. — Od jak dawna może tu mieszkać?

odparł

nie

polują

rolnictwa?

nie

znaleźć

szkieletów...

wy..

— Kilka wieków —

Sebastian.

— Kilka wieków! — zdumiał się Tim. — I nikt go odkrył?

— Niby czemu? Wszyscy sądzą, że to borsucza nora. i

— A co z myśliwymi? Ludźmi z psami? Przecież na borsuki. A przedstawiciele ministerstwa Traktują borsuki gazem przekonani, że zwierzęta zarażają bydło gruźlicą.

— Oczywiście — przyznał Sebastian — ale Scrotton jest borsukiem. Zgładził każdego psa, który wdarł się do jego nory, a czasem i człowieka, który był razem z nim.

W lesie m o ż n a pewnie

wiele

Tim uczył skurcz w brzuchu. Do tej pory uważał

prawę za fajną przygodę, ale teraz powiało grozą. Zaniepokoił się o Filę stojącą na czatach.

— Długo to potrwa? — spytał nerwowo Sebastiana.

— Nie więcej niż parę m i n u t — powiedział Sebastian i zaczął grzebać w łożu z liści i paproci.

Natrafił na drewnianą szkatułkę wzmocnioną zmatowiałymi mosiężnymi wspornikami i zamkiem zabezpieczonym starą, ale dobrze naoliwioną kłódką.

— Dobra! Zmykamy stąd! — ponaglał go Tim. — Możemy to otworzyć w d o m u .

— Wykluczone — oznajmił Sebastian, kładąc szkatułkę na ziemi. — Jeśli ją zabierzemy, Scrotton dowie się, że znalazła się w naszym posiadaniu. Przedmiot wezwie go do siebie. J e s t e m bardziej niż pewien, że teraz mówi m u , iż ktoś dobiera się do szkatułki pod jego nieobecność.

— No to co robimy? — spytał spanikowany Tim.

— Otwieramy — odparł Sebastian. — Najszybciej, jak się da.

powiedział

ładając

Roz-
tylko

astian.

ke

o

d'Auril-
laca”.

przejęciem:

dotykaj!

rudobrunatną

Przecież nie m a m y klucza —

Tim, roz-

się gorączkowo dookoła.

Sebastian zamknął oczy i chwycił kłódkę oburącz.

głosem metaliczny trzask i zamek puścił.

— Zręczny jesteś! — zawołał Tim.

- To m e c h a n i z m z jedną

dźwignią — odparł Se-

— Nie wymaga szczególnych umiejętności.

Po otwarciu szkatułki, Sebastian wyjął niewielką książoprawną w skórę, na okładce której widniały plamy pleśni, a grzbiet pękał ze starości.

— Co to? — spytał Tim, który m o m e n t a l n i e zapomniał całym strachu.

Sebastian otworzył księgę na chybił trafił, przerzucił kilka stron, nim oświadczył:

— To zbiór zaklęć znany jako „Księga Gerberta

— Czyja?

— Niebawem powiem ci o n i m więcej — odparł Sebastian.

Tim podszedł bliżej, żeby zajrzeć do szkatułki. Sięgając ręką, spytał z

— Co t a m jeszcze jest?

— Niczego nie

— skarcił go Sebastian, odsuwając dłoń Tima. — Scotton nie może się dowiedzieć, że złożyliśmy mu wizytę.

Ostrożnie odłożył książkę na miejsce.

Tim oniemiał, gdy zobaczył, co jeszcze kryje szkatułka: czaszkę jagnięcia, krowie zęby, lisią kite, skórę

węza i jak się domyślił na podstawie koloru — dwa zasuszone wronie skrzydła. Dopiero w momencie gdy Sebastian zaczął

zamykać szkatułę Tim zauważył przedmiot wielkości piąstki dziecka, czarny, cały naszpikowany cienkimi gwoździami.

— A to co?

Timowi

odjęło

Ujrzał

wszy

kimi

liści.

czwóra

ze

kolana,

skapnęła

— To serce — odparł Sebastian.

m o w ę .

w wyobraźni leśniczego 1

jakiegoś człowieka na spacerze ze swymi psami w pogo letnie popołudnie. Zaraz p o t e m przypomniał sobie o F

schowanej za zwalonym pniem, nieświadomej że podkr się do niej Scotton.

— Ludzkie serce? — spytał ze ściśniętym gardłem.

— Nie — odrzekł Sebastian. — To serce psa.

— Czemu jest poprzebijane gwoździami?

— Ma go chronić — wyjaśnił Sebastian — przed zwierzętami tego gatunku.

Zamknął szkatułkę i włożył w stertę Na
kach ruszyli ku wyjściu z nory.

Gdy doszli do zakrętu, Sebastian nakazał Timowi, zaczekał, sam zaś ruszył przodem, by
zawiadomić Fil i sprawdzić, czy Scrotton nie pojawił się w pobliżu.

Tim niechętnie wyraził zgodę. Usiadł na twardej zie: oparł się plecami o ścianę i kurczowo objął
rękoma. Po chwili odniósł dziwne wrażenie, że ktoś go z tyłu obserwuje. Spojrzał w głąb tunelu ku
komorze, ale niczego nie zauważył. Gdy zerknął w drugą stronę, ujrzał kontury Sebastiana na tle
rozświetlonego wejścia do tunelu.

I wtedy coś mokrego m u s n ę ł o mu kark. Sięgnął ręką, myśląc, że to kropla wody
z góry. Natrafił palcami na coś cienkiego, miękkiego i wilgotnego: co znikło pod jego dotykiem.
Obejrzał się, dostrzegł jednak tylko niewielki otwór w ścianie korytarza.

— Droga wolna? — spytał teatralnym szeptem.

Sebastian nakazał mu gestem, by się nie ruszał.

Gdy tylko Tim dał znak, że rozumie, ku jego przerażeniu, coś oślizgłego spadło mu na głowę,
stoczyło się, przez moment owinęło się wokół jego ucha i zaraz spadło na ziemię.



zd

ozdoby

wily

czuwając

znajduje.

wisiała

inne.

W

jrzał

plecaki

d'Aurillac?

W mgnieniu oka sufit tunelu zaroił się od olbrzymich żownic, które wystawały z otworów niczym
koszmarne choinkowe. Lśniące od śluzu, różowe i brązowe się na wszystkie strony w poszukiwaniu
chłopca i wyjego w o ó n w powietrzu, wskazywały ciałami w je-o stronę, jakby sobie przekazywały,
gdzie się iść robaków

nad n i m i dotykała jego głowy. Dwie oderwały się od sufitu i wplątały mu się we włosy.

Chwycił
le i wyrwał, ale na ich miejsce natychmiast pojawiały się Obrzydliwy śluz oblepił mu dłonie.
Łamiąc polecenie Sebastiana, poczołgał się jego stronę.

Ledwie do niego dotarł, zaalarmowała ich Fila. Przebiegli w kucki do zwalonego buku, przeskoczyli pień i przywarli do ziemi. Niecałą m i n u t ę później Scrotton zbiegł ze wzgórza, m o m e n t a m i przemieszczając się na czworakach, niczym szympan. Przystanął przy wejściu do tunelu, rozesię bacznie dookoła i znikł wewnątrz. Odczekali pięć minut, a następnie ostrożnie, ale bardzo szybko dobiegli do ścieżki, zabrali

spod krzaków i pośpiesznie ruszyli do d o m u .

— Powiedz w końcu, kim jest ten

— spytał

Tim, kiedy oboje z Filą usiedli wieczorem na taboretach w podziemnej komnacie Sebastiana.

Sebastian przeciągnął się, skrzyżował ręce na piersi i opierając się na stole zaczął opowieść.

— Gerbert d'Aurillac przyszedł na świat w górach Owernii we Francji w dziesiątym wieku.

Tajemnicą pozostaje dokładna data jego narodzin, pierwotne nazwisko, a także jego przeszłość, uważa się jednak, że pochodził z niskiego stanu.

chem
Aurillac,
wzi
quadrivium,
przed-
geometrię.

Ri-
poll,
Kordoby,

Skoro
zie-
mie
chrze-

czaro-
dziejska

księ-

Ger-

W połowie owego wieku został benedyktyńskim m w klasztorze Świętego Geralta w stąd

ło się jego imię. Jakies dziesięć lat później opat wysłał

do Hiszpanii, by studiował

czyli cztery

mioty: arytmetykę, muzykę, astronomię oraz Po naukach w bibliotekach katedry Vic oraz klasztoru udał się do

stolicy południowej Hiszpanii

pozostającej we władaniu muzułmańskich Arabów. Byli I niezwykle światli w matematyce, astronomii i astrologii, posiadali bibliotekę złożoną z tysięcy ksiąg.

— Czegoś tu nie r o z u m i e m — wtrąciła Fila. —

był chrześcijańskim mnichem, czemu zapuścił się na m u z u ł m a n ó w ?

— W owych czasach — wytłumaczył Sebastian —

ścijanie i m u z u ł m a n i e nie byli jeszcze wrogami, poróżniły ich dopiero wyprawy krzyżowe.

— No i co z tą jego księgą? — niecierpliwił się Tim.

— W Kordobie — ciągnął Sebastian — Gerbert uczył się u słynnego muzułmańskiego czarownika, którego moc opierała się na zaklęciach, zapisanych w dzie trzymanej pod kluczem w żelaznym kufrze. Kiedy bert dowiedział się o tym, uwiódł córkę magika i obiecał, |

że zabierze ją daleko i poślubi, wystarczy iż ona pomoże j mu zdobyć księgę. Białogłowa odurzyła swego ojca jakąś miksturą, zabrała mu klucz, otworzyła kufer i wręczyła księgę zaklęc Gerbertowi.

— A p o t e m żyli długo i szczęśliwie? — podsunęła Fila.

— Bynajmniej — ciągnął Sebastian. — Gerbert uciekł, porzucając dziewczę. Kiedy jej ojciec odzyskał przytom- i ność, wściekł się i zorganizował pościg, Gebertowi udało się jednak zbiec.

— Co za palant — zauważył Tim.



Sebastian.

mawiał,

ma ją

rum

O

— Obawiam się, że to jeszcze nie wszystko — dodał

— Mówią, że Gebert modlił się do szatana, by ocalił go przed czarownikiem, że zaprzedał duszę diabłu, ta co szatan przyrzekł mu jeszcze większą moc, niż dawała księga zaklęć. Do końca życia Gebert posiadał ponoć ludzką głowę, podarunek szatana, z którym wielokrotnie rozpoznając wiele nowych tajemnic zła, którymi uzupełniał księgę.

— I Scrotton ma tę księgę — p o d s u m o w a ł Tim.

— W Roku Pańskim 983 — ciągnął Sebastian — papież Otto II mianował Geberta opatem słynnego klasztoru, zaś w 999 został on obwołany papieżem Sylwestrem II.

— Ale jazda! — entuzjasmował się Tim. — Papież, który zaprzedał się szatanowi i posiadał osobistą księgę diabelskich zaklęć!

— Co gorsza — wyszeptała Fila — skoro Scrotton, to i Yoland jest jej właścicielem.

Sebastian nie odzywał się przez kilka m i n u t . W końcu wstał i powiedział:

— Teraz już jestem pewien, że Yolandowi wcale nie zależy na stworzeniu h o m u n k u l u s a ani udoskonaleniu au-potabile. Do tego zbędna jest owa księga.

—

co mu więc chodzi? — spytał Tim.

— Tego jeszcze nie w i e m — wyznał Sebastian — ale możecie być pewni, że jego zamiary są gorsze i ambitniejsze niż zakusy Malodora.

Pierwsze usprawiedliwienie świetnie wyszło Timowi.

Wzorując się na piśmie swojej m a m y napisał: *Proszę usprawiedliwić dzisiejszą nieobecność Sebastiana w szkole. Syn cierpi*

— Jeśli
Timem
pamiętaj.
telefon.
był

na silną niestrawność. Z poważaniem, Anna Gillette. Pote po kilkukrotnym przećwiczeniu podpisu, pomylił s i podpisał imieniem Annette, musiał więc zacząć od p czątku. Gdy w końcu zwolnienie było gotowe, złożył j i wsunął do koperty, na wierzchu której napisał: W.P.

Yoland.

Yoland będzie pytał, powiem mu, że twoja mama poprosiła mnie o przekazanie usprawiedliwienia.

— Jesteś pewien, że to wystarczy? — spytał Sebastian, gdy czekali z na Filę, która kończyła zakładać m u n durek szkolny.

— Spoko — odparł Tim. — Nikt tego nie sprawdzi.

Przynajmniej, jeśli nie powtarza się takiego n u m e r u za często. Wtedy mogą zadzwonić do rodziców. Ale jeden raz? Nie ma o czym mówić! A teraz — ciągnął —

Tata wyjechał w interesach, a mama, po podwiezieniu nas do szkoły, idzie do fryzjera. Jeśli

telefon w d o m u zadzwoni trzy razy, p o t e m zamilknie i zadzwoni jeszcze raz, to znaczy, że Scrotton jest w szkole.

— Jeżeli jednak zadzwoni dwa razy i p o t e m znów dwa, jest nieobecny — dokończył Sebastian.

— Dobra! — rzekł Tim, sprawdzając, czy bateria w jego komórce jest naładowana.

Pół godziny później Fila i Tim przekroczyli szkolną bramę dziesięć kroków za Scrottonem, który był jak zwykle niechlujny i niósł swoją sfatygowaną torbę sportową zarzuconą na ramię. Tim przystanął przy stojaku na rowery i wykonał umówiony

Gdy znalazł się w klasie,

położył usprawiedliwienie na dzienniku na stole laboratoryjnym.

W Rawne Barton Sebastian przemienił się we wronę i pofrunął w stronę lasu. W dziesięć m i n u t przy dębie.

pojedyncze jednak

Przysiadł na grubym konarze i zakrakał trzykrotnie. Nie można było wykluczyć, że Scrotton pozostawił wartownika, zwłaszcza gdy zorientował się, że ktoś ostatnio złożył

wizytę w jego kryjówce. Sebastian nie dostrzegł jednak żadnego p o w o d u do niepokoju, sfrunął więc na ziemię i ruszył zawiadackim w r o n i m krokiem. Na m o m e n t zainteresowała się n i m wiewiórka, słysząc jednak od czasu do czasu jej kwilenie oraz turkotanie i widząc, jak zbiera gałązki, suche liście i kawałki kory, Sebastian uznał, że gryzoń buduje gniazdko w pobliskim jesionie i chce je ochronić przed inną wiewiórką, która zakopywała orzechy.

Zadowolony, że Scrotton nie zostawił żadnej straży, schował się za dębem, gdzie na powrót przybrał ludzką postać i podszedł do wejścia do nory. Włożył do ust kawałek niebieskiej gumy i wszedł do środka. By uniknąć spotkania z dżdżownicami, przeczołgał się szybko na łokciach do komory Scrottona, gdzie z posłania ze starych roślin wygrzebał szkatułkę i otworzył kłódkę. Bardzo ostrożnie wyjął księgę zaklęć i zaczął ją czytać, szybko przebiegał wzrokiem archaiczny tekst. Co jakiś czas unosił

wzrok i rozglądał się, by upewnić się, że nadal jest sam.

Zaklęcia spisane głównie po łacinie i w średniowiecznym francuskim obejmowały szeroki wachlarz zagadnień od zwykłych klątw, rzucanych na osoby, po złożone

rytuały, które miały rzekomo moc zgładzenia całego narodu lub obalenia królestwa. Sebastian znalazł jedno zaklęcie, które szczególnie go zainteresowało. Składał się na nie skomplikowany czteroetapowy proces, nie to zwróciło jego uwagę. Strona była założona suchym liściem dębu.

Sebastian nauczył się zaklęcia na pamięć, następnie wło

żył księgę do szkatułki, zamknął ją, schował na miejsce i zaczął przeszukiwać norę centymetr po centymetrze.

Fi ryce. niespokojny!

miejsca, maniery?! nauczyciela, — Jesteś duplem.

Tymczasem w gimnazjum Bourne End Tim i

— a także Scotton — mieli podwójną lekcję geografii o Przez pierwsze 45 minut oglądali film wideo. W polowie Fila trąciła Tima. Scotton był wyraźnie Wiercił się na miejscu, nieustannie przekładał książki i długopis, stukał stopami w szczebel krzesła.

On wie, napisała Fila do Tima w swoim zeszycie.

Tim kiwnął głową.

W końcu odezwał się dzwonek na przerwę. Na ten sygnał Scotton poderwał się z jakby siedział na roz

żarzonych węglach i ruszył pędem w stronę drzwi.

— Cóż to za

— zawołała za nim nauczycielka geografii. — Dzwonek jest dla
a nie...

Scotton był już za drzwiami i biegł korytarzem.

— Pędzi do lasu! — szepnęła Tim. — Musimy go powstrzymać. Weź moje książki.

Tim ruszył za Scottonem, gdy ten jednak skręcił do swojej szafki, Tim skierował się przez szkolne boisko ku głównemu wyjściu. Wiedział, że podczas zajęć lekcyjnych tylko wtedy można opuścić teren szkoły: wszystkie pozostałe wejścia są zamknięte.

Po minucie Scotton pojawił się na boisku niosąc torbę.

Tim pobiegł w jego kierunku, wpadł na niego z impetem i przewrócił go. Scotton padł jak długi na beton.

— Nie lubię cię — powiedział głośno, gdy Scotton się pozbierał.

obrzydliwy, śmierdzisz jak kupa gnoju, dokuczasz słabszym od siebie i — dodał na koniec, na wypadek, gdyby poprzednie obelgi okazały się za słabe, by go rozzłościć — jesteś zarozumiałym, obrzydliwym kur-Scotton rzucił torbę na ziemię i skoczył, zaciskając pięści. Wymierzył Timowi cios w głowę. Timowi udało się

zapłótł
mknęła
— Jesteś
jednak

bić unik, ale i tak oberwał porządnie w ramię. Scotton rócił się i znów na niego natarł, wskoczył Timowi na zbiet z zjadłością lamparta atakującego antylopę. Tim poczuł na karku gorący, cuchnący

oddech Scottona, który swe przykrótkie nóżki wokół jego talii, zaś rękoma objął jego klatkę piersiową. Przez m o m e n t Timowi przemyśl, że gdyby Scotton nie miał butów, to pewnie zaplótłby palce stóp, jak małpa, by wzmocnić uchwyt.

— Wydaje ci się, że jesteś taki mądrała? — wybełkotał

Scotton Timowi do ucha, pryskając przy tym śliną na jego policzek i ucho. — Jesteś ciemna masa! Nic nie wiesz!

- Scotton splunął i ciepła, lepka ślina spłynęła Timowi po karku za kołnierz. ignorantem!

— A ty idiotą — odciął się Tim i sięgając rękoma za siebie, złapał napastnika za kołnierz i napierając do przodu starał się go przerzucić nad głową, jak to widział na pokazach zapaśniczych w telewizji. Scotton zaparł się jednak mocno nogami i nic nie wyszło z m a n e w r u Tima, który znalazł się na przegranej pozycji. Jego jedyną szansą było przygwożdżenie Scottona. Gdy próbował się obalić, Scotton przechylił się w drugą stronę, by nie stracić równowagi.

T ł u m przepychających się chłopców i dziewcząt zdążył

zebrać się wokół walczących. Większość kibicowała Timowi. Niektórzy wykrzykiwali obelgi pod adresem Scottona z t ł u m u , gdzie byli bezpiecznie anonimowi. Nadeszła Fila i próbowała dostać się do Tima,

zbita masa uczniów

była nie do przebycia.

W pewnej chwili Tim poczuł ostre zęby Scottona na swojej szyi. Jeszcze chwila, a napastnik przegryzie mu aortę szyjną i Tim wykrwawi się na śmierć, n i m przyjedzie karetka.

zawołał — Takiego

— Dosyc tego! —

ktoś. — Macie przestać w t chwili!

Scotton nie puszczał Tima, ale przestał macać zęb tętnicę.

Wyrósł przed nimi nauczyciel, który dyżurował na boi ku, w dłoni trzymał filiżankę z kawą.

Większość najwyraź

niej wylał, pędząc co tchu w stronę zbiegowiska.

— Przestańcie! W tej chwili! Rozdzielcie się! — Trąci nogą torbę Scottona. — Czyje to?

— Moje — odparł Scotton.

— Moje, proszę pana! — warknął nauczyciel. — Weź ją i chodźcie obaj ze mną.

Niebawem Tim i Scotton stali przed biurkiem dyrektora. Nauczyciel dyżurny opowiedział o zajściu. Doktor Singall odchylił się na fotelu i przyjrzał obu chłopcom.

zachowania nie tolerujemy w gimnazjum Bourne End — zaczął groźnie. — Nie życzę sobie bójk. Scottonie, do końca dnia będziesz siedział na krześle przed tym gabinetem pod m o i m czujnym okiem, a nauczyciele zadadzą ci pracę. W czasie przerwy śniadaniowej będziesz towarzyszył p a n u Taylorowi podczas dyżuru. W ten sposób, z dala od siebie, trochę ochłoniecie.

— Spojrzał na Tima. — Ty, Ledger, wracaj do klasy, a jutro rano przyniesiesz mi wypracowanie na 300 słów o tym, dlaczego nie toleruję tu bójk.

Rozległ się dzwonek na lekcję.

— I zapamiętajcie sobie — oświadczył na koniec doktor Singall — jeśli się to powtórzy, wezwę

waszych rodziców.

A teraz odmaszerować.

— No i co? — Fila spytała Tima, gdy spotkali się na korytarzu przed kolejną lekcją.

— Scrotton jest załatwiony — odparł. — Uwiązany jak pies na łańcuchu do nauczyciela lub krzesła przed gabinetem dyra.

vro

Timie,
biłeś
umysły

— A co z tobą?

M a m tylko naskrobać wypracowanie. Najwyraźniej nie przepada za C h ł o p c e m z Lasu.

Wieczorem, kiedy rodzeństwo odrobiło pracę domową, lim napisał karne wypracowanie, Fila zastukała w panel.

Potem wszyscy troje zeszli do komnaty Sebastiana.

Kiedy Tim opowiedział, co się wydarzyło w szkole, Sebastian uśmiechnął się i powiedział:

— Zachowałeś się szlachetnie,

narażając się na

poważne niebezpieczeństwo. Lepiej nie zadzierać ze Scrottonem, bo na p e w n o zatopiłby zębiska w twojej szyi, gdyby mu nie przeszkadzono.

— Jeśliby mu się udało — powiedział Tim — wykrwawiłbym się na śmierć.

— Zaiste — przytaknął Sebastian. — Tak oto zaskarsobie mą dozgonną wdzięczność. Gdyby przyłapał

mnie w lesie, pewnie potraktowałby m n i e tak, jak chciał

ciebie.

— Ale na p e w n o by nie... — zaczęła Fila.

— Ależ tak — przerwał jej Sebastian. — Nie zapominajcie o tym, że jest w o d w o i ludzka moralność jest mu obca.

On nie rozróżnia dobra od zła. Tak jak każde zwierzę, walczy o przetrwanie.

— A jak udał ci się rekonesans w norze Scrottona? —

spytał Tim.

Sebastian rozłożył arkusz grubego papieru.

— O t o zaklęcie, na którym, jak m n i e m a m , skupił swe wysiłki Yoland — oświadczył. — Nauczyłem się go na pamięć z książki i przetłumaczyłem na współczesny angielski. Zwie się: *Jak zniewalać wielu*.

— To znaczy — powiedział Tim — że za pomocą tego zaklęcia Yoland m o ż e kontrolować umysły innych?

ch
Zaklęc

wy Timie, znalaz łem narys jakkol



— W rzeczy samej — potwierdził Sebastian. — W obecnej mojej — mieć moc zagładania do duszy innych, posiadał jednak w tej umiejętności pełnej kontroli.

mu to umożliwi.

Sebastian złożył kartkę i dla bezpieczeństwa schował w jednym z foliałów ojca.

— Skąd wiesz, że to właściwe zaklęcie? — spytała Fil

— Primo — odparł Sebastian — Scrotton zaznaczył stronę. Secundo, jest to czterostopniowe zaklęcie, gające czterech kluczy. Jeden z nich znalazłeś,

w

derze. Tertio, gdy dokładnie przeszukałem norę, trzy pozostałe ukryte w ziemi na suficie.

Sebastian wyjął z kieszeni kolejne kartki papieru i rozłożył je na stole. Na każdej z nich

znajdował się wany przez niego symbol ezoteryczny.

— Takie znaki są wyryte na kluczach — zaczął.

Pierwszym symbolem był: ©

— Ten — wyjaśnił Sebastian, — odnosi się do boskości i mocy. U chrześcijan przekształcił się w aureolę.

wiek nie chodzi tu tylko o boskość Naszego Pana, ale także o władcę mocy ciemności.

Na drugiej kartce widniało: 0

— Jako pierwsi — rzekł Sebastian — użyli go starożytni Grecy, przedstawiał świat. Do dziś wykorzystują go astrologowie, jako symbol świata, w którym żyjemy.

Ostatni to:

— A ten — zawiesił głos dla większego efektu — to symbol istoty ludzkiej duszy.

— Z czego zrobiono klucze? — zainteresował się Tim.

— Pierwszy ze złota, drugi ze srebra, a ostatni z platyny.

— A klucz pieca znaleziony przez Tima, składał się ze wszystkich trzech metali — zauważyła Fila. — Ten pewnie był najważniejszy?

otrzymamy...?

- Piec, moc, świat i dusza — wyliczył na głos Tim.

Wymieszaj je wszystkie w kotle, dodając oko nietoperza **raz** palec ropuchy i co

— Nawet bez twoich wymyślnych ingrediencji — odparł

bastian — wybujałą i przerażającą ambicję.

Rozdział
siódmy
Dom
jak
każdy
inny
bynajmniej!
samo
193.

Dom Yolanda — odezwał się Tim, gdy usiedli przy stole w jadalni — nie będzie taki łatwy do spenetrowania. — Ugryzł jabłko. — Nory Scottona strzegły tylko dżdżownice. — Wzdrygnął się na wspomnienie. — Nie było tam pozamykanych drzwi ani okien. Choć, gdy jesteśmy w szkole, Yoland też w niej jest i nie może się niepostrzeżenie wymknąć, nie ma m o ż e m y to wykorzystać. Nie będziemy ryzykować kolejnego lipnego usprawiedliwienia, nie m o ż e m y sobie pozwolić na najmniejszy błąd. Scotton na p e w n o doniósł

swemu panu, że ktoś przeszukał jego norę, Yoland skojarzy, że akurat tego dnia Sebastiana nie było, doda dwa do dwóch i wyjdzie mu

— D w a plus dwa to cztery — poprawił Sebastian zdumiony arytmetyką Tima.

— A jeśli nawet dostaniemy się do środka — wtrąciła Fila — skąd m a m y wiedzieć, że Yoland nie ma systemu ostrzegawczego, tak jak Scotton.

— Z a p e w n e m a — przytaknął Sebastian, co bynajmniej nie uspokoiło Fili.

Godzinę później, podczas zajęć w bibliotece, rozwiązanie samo wpadło im w ręce.

tóry
ogłosiła:
rania

nieć
teren
16.00.

o
szkoły.
fuknęła
17.15,
pójść

W połowie lekcji pojawił się uczeń z dziewiątej klasy, podał bibliotekarce karteczkę. Rzuciła na nią okiem

- Komunikat dyrektora. Z powodu nadzwyczajnego ze-rady pedagogicznej, zajęcia kończą się dzisiaj dzień i n u t wcześniej. Uczniowie są obowiązani opuścić szkoły najpóźniej do godziny

Szkolny a u t o b u s
przyjedzie wcześniej. Jedyne zawodnicy, biorący udział
w treningu piłkarskim, mogą zostać w szkole i poczekać na sali gimnastycznej. Trening powinien się rozpocząć godzinie 17.15.

— Wiecie, co to znaczy? — szepnęła Fila z za książki o historii mody. — Póki trwa narada, Yoland nie opuści A więc m a m y czas do piątej piętnaście.

— Skąd wiesz? — zdziwił się Tim.

— Rusz głową, durniu! —

Fila. — Trening nie
rozpocznie się przed
a więc do końca zebrania.

Zaraz po lekcji Tim zadzwonił z komórki do m a m y i spytał, czy mogą z Filą i Sebastianem po szkole do kina.

Mama się zgodziła i powiedziała, że odbierze ich o ósmej spod Burger Kinga. Podwiezie też Sebastiana.

— Super! — ucieszył się Tim i rozłączył się.

Na ścianie przy sekretariacie wisiał plan miasta i okolicy. Za pomocą kolorów oznaczono na nim ulice oraz rejony, skąd pochodzili uczniowie. Tim szybko znalazł ulicę Keatsa, na przedmieściach, po drugiej stronie miasteczka, tuż za granicą rejonu, który obejmowała szkoła.

— Powinniśmy się rozdzielić — uznał Tim. — Nasza trójka mogłaby niepotrzebnie przyciągnąć uwagę.

— Poza tym — dodała Fila — jeśli Yoland spotka nas w drodze powrotnej, jednej osobie będzie się łatwiej wytłumaczyć niż wszystkim.

Yola
skie

Umawia lipy. budy 60., podjazdów.

Każde z nich prześledziło i zapamiętało inną trasę.

Gdy po ostatniej lekcji rozległ się dzwonek, Sebas nie spieszył się z wyjściem. Chciał się upewnić, że idzie do auli, gdzie miało się odbyć zebranie nauczyci Fila sprawdziła, że Scrotton zmierza do swej nory, zaś T

ruszył z t ł u m e m innych uczniów wracających do dom przez miasto. Im dalej byli od szkoły, tym bardziej s rozprasza

Przecznice przed ulicą Keatsa Tim wstąpił do na rogu, kupił sobie czekoladę, stanął przed wejście i zaczął niespiesznie jeść, póki pozostali do niego dołączyli.

Fila spojrzęła na zegarek.

— Czwarta dwadzieścia — powiedziała. —

się na czterdzieści m i n u t .

Ruszyli ulicę Keatsa. Była to zaciszna podmiejska uli ka wzdłuż której rosły złotokapy i Większość

ków pochodziła z lat 30. i 40. XX wieku, były też piętrow bliźniaki ze ścianami pokrytymi tynkiem kamyczkowym, jaki był w modzie w latach

i kilka d o m k ó w parterowych z tych samych lat. Ogródki były wypielegnowane, starannie utrzymane kwietniki, przystrzyżone żywopłoty, skoszone trawniki i świeżo pomalowane furtki. Przy większości d o m ó w znajdowały się garaże, ulokowane na końcu krótkich betonowych

Pod n u m e r e m czterdziestym siódmym mieścił się niczym nie wyróżniający się parterowy d o m . Miał dach kryty ciemnym łupkiem i pomalowane na biało ściany. Drzwi frontowe i okna były wyraźnie nowe, z podwójnymi szybami.

Rozejrzeli się dookoła, czy nikt ich nie obserwuje i pojedynczo wśliznęli się przez furtkę do ogrodu. Torby uło-

ostrokrzewem
lrową
okalała.
ka-
vi
zki
lm.
ligustru,

który
nie.
ścianie
ni
a.

I pod
i ruszyli na obchód d o m u wąską alejką, która go
Przy każdym kroku
chrzęściły pod stopami.

Sprytny system wczesnego ostrzegania — zauważył
Wokół ogrodu rósł wysoki żywopłot z przez
na p e w n o nie mogli ich widzieć sąsiedzi.

Zasłony we wszystkich oknach, prócz jednego, były od-Zobaczyli więc, że w salonie znajduje się
kanapa, niski stolik ze szklanym blatem, fotel i telewizor. Przy stał regał z fachową literaturą. W
jadalni dostrzegli nowoczesny stół z czterema krzesłami, natomiast w sypialni sypiało się podwójne
łóże, komoda, szafa i dwa krzes-Kuchnia była ascetyczna — kuchenka gazowa, lodówka i pralka z a
m o n t o w a n a pod blatem kuchennym. Przy ścianie stolik, a przy nim dwa krzesła.

— Wiecie co — zauważyła Fila — to mieszkanie nie wygląda mi na... sama nie wiem,
zamieszkałe. Nie ma tu jakichkolwiek obrazków czy ozdób.

— Widać, że nie jest p e d a n t e m — powiedział Sebastian jakby na wytłumaczenie.

— Mniejsza ze schludnością Yolanda — rzekł Tim.

— Jak się dostaniemy do środka? — Wskazał na klamki okienne. — Nawet one są zamykane na
klucz. — Spojrzał

na Sebastiana. — A może zrobisz swoje kłódkowe czary mary?

— Obawiam się, że nic z tego — odparł Sebastian. — By sztuka się udała, m u s z ę chwycić
zamek w dłoń.

— No to jesteśmy ugotowani — stropiła się Fila. — Nie wejdziemy do środka bez wyważenia
okna czy drzwi.

N i m skończyła mówić, Tim wyruszył na kolejny obchód d o m u . W miejscu, gdzie do budynku
przylegał stary garaż,

budle.
Przyło
poz
uśmi
chem.

wcinałeś
wyjścia
któ
dziura,
ot-
do

rósł wysoki i gęsty krzak

Stożkowate gló

kwiatowe właśnie wydawały nasiona. Rozchylił gał

by spojrzeć, co kryje się za nimi. Ujrzał niewie okienko w drewnianej ramie, parapet zbutwiał, farba s łuszczyla, zaś szyba była m o c n o zabrudzona.

twarz do szyby, by zajrzeć do garażu i wrócił do stałych.

— Znalazłem wejście! — obwieścił z szerokim

— Do garażu prowadzi okienko, a dalej są drzwi d o m u .

— Trochę ciasne — zauważyła Fila, widząc okno. — I co tę czekoladę?

Tim sprawdził okno. Klamka była zamknięta.

— I znów wracamy do p u n k u

— westchnęła Fil

— Patrz i ucz się — rzekł z wyższością Tim.

Krawędź szyby przy klamce była pęknięta, a kit, ją trzymał, wysechł i wypadał kawałkami.

— Nikt nie zauważył dodatkowego pęknięcia — uznał

Tim i wziął szpiczasty kamień spod budle, przymrużył

oczy i delikatnie stukał w miejscu, gdzie pęknięcie stykało się z ramą. Po niecałej minucie w szybie zrobiła się na tyle duża, by przełożył przez nią palec wskazujący i worzył klamkę.

— Bingo! — szepnął. — Podsadźcie mnie. Wejdem środka i otworzę w a m drzwi od ogrodu.

Fila zagryzła wargi, gdy brat przecisnął się przez okno i znikł jej z oczu.

Garaż był pusty poza wielkim kartonowym pudłem, w którym znajdowało się nowe okno, najwidoczniej mające zastąpić zbutwiałe okienko, przez które przeszedł Tim, jakimiś ogrodowymi narzędziami oraz starym stołem. Tim zamknął za sobą okienko, by zatrzeć wszelkie ślady, ze-



zył

nowaną

na podłogę, starając się nie nadebrać na linię na-ledwie widoczną kredą: wołał nie zostawić tu cisków swoich stóp. Drzwi do d o m u były zamknięte na lek, na szczęście m e c h a n i z m był zepsuty i wystarczyło e mocniej szarpnąć, by się otworzyły.

Serce waliło mu jak m ł o t e m , gdy Tim wszedł do d o m u Yolanda i zamknął za sobą drzwi garażowe.

Pospiesznie przemierzył krótki kuchenny korytarzyk i otworzył drzwi do ogrodu, by wpuścić Filę i Sebastiana.

— Teraz twoja kolej, Sebastianie — oznajmił. — Pokaż, na co cię stać. Od czego zaczynamy?

— Wedle mojej opinii — odparł Sebastian — wskazane by było rozpocząć od izby, w której zasłonięte kotary nie pozwalają światłu słonecznemu wnikać do środka.

— A mówiąc po ludzku? — spytał sarkastycznie Tim.

Otworzyli drzwi do pomieszczenia, które wyglądało na drugą sypialnię i weszli do środka. Nikłe światło dzienne sączyło się przez zasłonięte kotary. Pokój był umeblowany, jak gabinet. Przy ścianie stała niewielka szara, metalowa szafka na d o k u m e n t y z dwiema szufladami, do jednego z jej boków przymocowano tablicę korkową. Przyczepiono na niej papiery związane ze szkołą, starannie ułożone w plik. T i m ostrożnie pociągnął jedną z szuflad. Na szczęście nie była zamknięta.

— Co jest w środku? — spytał Sebastian.

Tim szybko przejrzał teczki. Znalazł w nich stare arkusze egzaminacyjne, wskazówki dla nauczycieli, jak przeprowadzać doświadczenia chemiczne, programy rad pedagogicznych, wieści ze związku zawodowego nauczycieli,

drew
czternasto-
laserowa
przeszukanie
łóżkiem

— Jeśli

akta dawnych uczniów, wytyczne ministerstwa edu oraz okólniki miejscowych władz szkolnych.

— Nic specjalnego — odpowiedział w końcu. — I szkolne śmieci.

Naprzeciw szafki na d o k u m e n t y stało s t a r o m o d n e n i a n e biurko, a na n i m nowiutki k o m p u t e r z calowym m o n i t o r e m TFT, kompaktowa drukarka i skaner. Przed biurkiem pysniło się nowiusieńkie krzesło!

biurowe.

— Carramba! — zawołał Tim z podziwem. — Niezła zabaweczka! Wy pomyszkujcie po domu, a ja zajmę si tym sprzęciorem.

Niewiele czasu zajęło Sebastianowi i Fili reszty d o m u . Sypialnia była wręcz ascetyczna, pod 1 nie walały się żadne walizki, do których m o ż n a by zajrzeć, 1

w szafie znaleźli zaledwie kilka ubrań. Szuflady były n a w p o ł p u s t e . W kuchni znajdowało się niewiele jedzenia. |

W drzwiach lodówki stał tylko litr mleka, pięć jajek i pół kostki masła. Jedyne bochenek chleba w pojemniku na pieczywo obficie porośla pleśń.

— Podejrzewam, że jada głównie na mieście — zauważyła Fila.

— Nie odczuwa specjalnej potrzeby, aby jeść — odezwał się Sebastian. — Podobnie jak ja.

— To znaczy, że nie musisz jeść?

— Spożywam jadło przyrządzone przez twą matkę i nic I p o n a d t o . To mi w zupełności wystarcza.

— Zwierzęta zapadające w sen zimowy gromadzą w organizmie duże ilości tłuszczu — powiedziała Fila. — Pewnie z tobą jest podobnie.

— Otóż nie — odparł Sebastian.

pamiętasz aqua

soporiferum przyrządzone przez mego ojca, nie tylko

wprowadza

wszelkie

zmniejszone

mik-
stura

znaleźliśmy

poprawił

astromel

mię w stan hibernacji, ale także spowalnia funkcje organizmu. W związku z czym ma m zapotrzebowanie na pokarm.

— A więc, cokolwiek zażywa Yoland, też nie musi jeść?

— Poniekąd. Jego eliksir nie jest tak skuteczny, jak przyrządzona przez mojego ojca, w związku z tym w jego kuchni produkty spożywcze, to znaczy się Sebastian — jedzenie.

Fila uśmiechnęła się.

— Tak lepiej. Wystarczy, jak powiesz żarełko.

Poszli dalej. Salon był tak samo oszczędnie urządzone, jak kuchnia, podobnie zresztą jadalnia. Nawet w łazience znajdowały się jedynie podstawowe środki do higieny ciała

— gąbka, kostka mydła ze smoły węglowej, butelka szamponu z odżywką w jednym, szczoteczka do zębów, tubka pasty, maszynka do golenia i opakowanie pianki.

Kiedy wrócili do gabinetu, zastali Tima odchylonego na krzesło przed biurkiem.

— K o m p u t e r chroni hasło — oznajmił p o n u r o . — Próbowałem je złamać, ale...

Uniósł do góry ręce na znak swej bezradności.

Sebastian spojrzął Timowi przez ramię. Cursor migał, a na ekranie wyświetlony był komunikat, że system czeka na hasło administratora.

— Spróbuj
— posunął Sebastian.
— A co to znaczy? — spytała Fila, gdy T i m wklepał
wyraz i nacisnął enter.

— To stare francuskie słowo, często wykorzystywane w zaklęciach przez Gerberta d'Aurillaca
— wyjaśnił Sebastian. — Niewykluczone, że Yoland czując się bezpiecznie w XXI wieku,
wykorzystał słowo, którego nikt dziś nie używa.

hasło
spróbuj
ablanathanalba.
— Język
możesz
przeliteruję
niezwykle
Sebastian
che-
zauważył.

Na ekranie wyskoczył komunikat: Błędne Sprawdz nazwę użytkownika i hasło.

— P u d ł o ! — obwieścił Tim.
— W takim razie — powiedział Sebastian —
— Abła... co? — zdumiał się Tim.

sobie
połamać.

— Zaraz ci
— rzekł Sebastian. — To sta
żytne słowo pochodzące z czasów Pana Naszego, często używane w czasach mego ojca.
— A co znaczy? — zainteresowała się Fila.
— Lepiej, byście nie wiedzieli — powiedział
i podał je po literce Timowi.

Tim wklepał hasło do komputera. Gdy nacisnął enter natychmiast pojawił się pulpit Microsoft
Windows.

— Sezamie, otwórz się! — mruknął pod nosem zadc wolony. — Ile mam y czasu,
siostrzyczko?
— Dwadzieścia minut — odparła Fila.

Tim skoncentrował się na katalogach Yolanda. Przeglądał je najszybciej jak potrafił. Było ich ze sto, a każdy krył

do dwudziestu podkatalogów. Część z nich była poświęcona sprawom szkolnym, ale większość zawierała zawile dane naukowe, głównie z dziedziny fizyki jądrowej i mii. Były nie tylko po angielsku, ale także w innych językach europejskich, a także po chińsku i po japońsku.

— Nie ma mowy, żebym to wszystko skopiował w dwadzieścia m i n u t —

— A nawet, gdyby się udało

i tak bym nic z tego nie zrozumiał.

— A Internet? — podsunęła Fila. — Zajrzyj do jego katalogu Ulubione.

— Świetna myśl, siostrzyczko! — podchwycił Tim.

— Dziewczyna ery komputera.

Timie

alę

Tim

wało

— Wybacz,

siostruniu — przeprosił

ją. — Włącz

tutaj!

hold

Czasem zachowujesz się jak pajac,

— odcięła

poirytowana Fila.

kliknął na przeglądarkę Yolanda. Na liście znajdosię ponad dwieście stron internetowych. drukarkę.

— Myślisz, że sobie poradzę? — parsknęła Fila, wcis-ając guzik zasilania.

Urządzenie ani drgnęło. Fila przyklęła. Drukarka nie była włączona do gniazdka. Wgramoliła się pod biurko i włożyła wtyczkę do kontaktu. Drukarka zawarczała. Tim kliknął myszką i urządzenie połknęło pierwszą kartkę.

— Spójrz

— zawołała Fila z głową wciąż pod biurkiem. — Tu jest nie tylko kontakt.

Sebastian i Tim zajrzeli pod biurko. Obok gniazdka znajdowała się wysłużona, podrapana, brązowa dyplomatka ze skóry z zaśniedziałymi klamerkami z mosiądzu. Obok niej mieścił się w ścianie niewielki sejf z zamkiem szyfrowym.

— Do jego otwarcia nie wystarczy już jedno magiczne słowo — zmartwiła się Fila.

— Przydałby się dynamit — zauważył Tim.

— Dynamit? — spytał Sebastian.

— Środek wybuchowy, proch.

— Acha! — zawołał Sebastian. — Słyszałem. Roger Bacon, mnich i alchemik żyjący przed czasami mego ojca dowiedział się o podobnej rzeczy z Orientu. Za rządów Królowej Dziewicy, istniały fabryczki produkujące go, a wiedzy jak to robić, dostarczył niemiecki mnich, Bert-Schwarz.

— Daruj sobie wykład — ucięła cierpko Fila. — Co robimy?

Tim wsunął się pod biurko i przygnębiony, zaczął kręcić tarczą zamka szyfrowego. Mechanizm pstrykał jak szalony

wtedy

więcej.

Tak...

1409...1408...1407...

jak...?

Więc...

Quod

udowodnienia”,

zegar, gdy zapadki wewnątrz to unosiły się, to opa W końcu przyszedł mu do głowy pewien pomysł.

— Kiedy poznałeś Yolanda — powiedział — był od ci bie jakieś trzydzieści lat starszy. Zgadza się? Miałeś z dziesięć lat? No nie?

— Mniej

— Urodziłeś się w 1430 roku. Tak więc w 1440 Yoland miał koło trzydziestki. A więc urodził się w okolicach roku 1410.

—

— A jaki ma to związek z ceną jajek? — spytała Fila. j Tim nic nie odpowiedział, tylko zaczął obracać tarczą zamka raz w jedną, raz w drugą stronę.

— 1410...

— mówił na głos. Przy

1406 zatrzymał się, spojrzał na Sebastiana i oznajmił:

— Kiedy go poznałeś, Yoland miał trzydzieści cztery lata.

Sebastian i Fila schylili się. Sejf był otwarty.

— Ale

— zaczęła Fila.

— Bułka z m a s ł e m . Yoland, jak każdy naukowiec, to człowiek niezwykle skrupulatny.

Mieliśmy zakodować nasze szafki w szkole n u m e r e m , który jest dla nas ważnym rokiem. Sam powiedział, że może to być rok urodzenia.

A co może być od tego ważniejsze?

—

erat d e m o n s t r a n d u m — powiedział Sebastian.

— A w tłumaczeniu — dodał, spoglądając Timowi prosto w oczy: — „Co było do co świadczy o tym, że rozwiązanie okazało się niezwykle proste.

Tim mrugnął i zaczął wyjmować z sejfu niewielkie kasetki wielkości książek. Fila układała je na biurku, a Sebastian otwierał.

W pierwszym znalazł złotą biżuterię i pięć złotych suwerek. Żadna z tych rzeczy nie była jednak cała. Biżu-

to
srebrna
kamieni
na
więcej.
królew-

ria została pocięta obcęgami, a ze złotych m o n e t odcięli kilka fragmentów. W drugim pudełku znajdowała się biżuteria, podobnie zniszczona, zaś w trzecim I olbrzymia platynowa brosza z brylantami. W większość szlachetnych wydłubano, zaś cenny metal pocięto kawałki podobnej wielkości.

— Spójrz na to — powiedziała Fila, tocząc kamienie palcem po pudełku. — Nie są cudowne?

— Najlepsi przyjaciele dziewcząt — powiedział Tim i schylił się po ostatnie pudełko pozostałe w sejfie.

Choć było tej samej wielkości, co inne, ważyło znacznie więcej. Tim musiał wyczołgać się tyłem spod biurka i podał znalezisko Sebastianowi, który położył je obok pozostałych pudełek i podniósł wieczko. W środku leżało kilkanaście magicznych kluczy, każdy z nich owinięty w kawałek papierowej chusteczki.

— Zrobił je z biżuterii i m o n e t — zauważył Tim.

— W istocie tak było — przyznał mu rację Sebastian, licząc klucze — i zamierza wytworzyć ich jeszcze Tu

jest tylko trzynaście. Ponieważ do każdego zaklęcia potrzebne są cztery, m u s i je robić w wielokrotnościach czterech.

— Więc m u s i zrobić w sumie szesnaście — powiedziała Fila.

— Lub dwadzieścia... — dodał Sebastian.

— ...albo dwadzieścia cztery czy dwadzieścia osiem — ciągnął Tim.

Prócz czarodziejskich kluczy pudełko zawierało kilkadziesiąt starych złotych monet, każda w plastikowym woreczku.

— A to co? — zawołał Tim, wysuwając jedną z nich z torebki na dłoń.

Nie miała bowiem jaskrawego blasku jak nowe złoto, za to posiadała intensywny połysk. Po jednej stronie

tar
wi

powrot J prz zaniepokojon niej. rę ci dło złota...

ska postać stała na statku z mieczem w jednej a w drugiej dłoni, na rewersie zaś wybito krzyż, cztery rony i cztery koronowane lwy.

— To złote noble — wyjaśnił Sebastian. — Już o nich w s p o m i n a ł e m . Waluta z czasów mego ojca. Te chodzą z okresu rządów króla Henryka VI.

— Ile są warte? — spytał Tim, który chciał z umieścić m o n e t ę w woreczku i włożyć ją do pudełka.

nak nie udawało mu się. Wyglądało na to, że m o n e t a warła do skóry.

— Nie mogę się jej pozbyć — stwierdził

— Ciągnie ją do ciebie — rzekł Sebastian — a ciebie Taki był zamiar Yolanda: każdy kto będzie miał w *ku* te monety, będzie nimi urzeczony. Czyste złoto zauroczyło, skradło ci serce, niczym kochanka. Pozwól, cię od niego uwolnię.

Sebastian wyszeptał kilka słów, oderwał m o n e t ę od ni Tima, umieścił ją w plastikowej torebce, a następnie w pudełku.

— Dlaczego tobie się to udało — spytała Fila — skoro Tim nie mógł sobie poradzić?

— Nie m a m zamiłowania do złota — odparł Sebastian

— i powiadomiłem o tym m o n e t ę . Czar, jak sami widzieliście, m o m e n t a l n i e przestał działać.

Ja też nie m a m zamiłowania do

— powiedział

Tim.

— Tak ci się wydaje — przerwał Sebastian — ale czyż nie spytałeś m n i e o wartość monet?

— A czemu miałem nie spytać? — przyznał Tim, uśmiechając się zawstydzony. — Byłem ciekaw, co mógłbym za to kupić.

Schylił stałymi — Już

się, by schować p u d e ł k o w sejfie wraz z pozo-trzema, uważając, by ułożyć je w

odpowiedniej kolejności. Gdy jego głowa znalazła się na poziomie blatu biurka, spojrzął w dolny prawy róg monitora.

A niech mnie! — prawie zawył.

sześć po piątej!

Zamknął sejf i przekręcił zamek szyfrowy. W tym momencie skończyło się drukowanie.

Wyciągnął wtyczkę drukarki z kontaktu, po czym wyłączył komputer, a twardego dysku przestał turkotać i zatrzymał się. Tim wyjął z drukarki zadrukowane kartki, zgiął je na pół i schował za koszulę.

— Gotowi? — spytał.

— Kółka krzesła — zauważyła Fila.

Tim spojrzął w dół. Kółka, na których jeździło krzesło, wyżłobiły — pod ciężarem Yolanda — dziury w dywanie.

Tim dopasował jedno do drugich.

— Gotowe! — powiedział, upewniając się, czy klawiatura znajduje się w takim samym położeniu, jak na początku ich wizyty. — Zmykamy!

Zwrócili się w stronę drzwi. Fila zaparło dech. Cała pod

łoga ruszała się od wielkich karaluchów ponad pięciocentymetrowej długości, ich zakręcone czułki wysuwały się i drżały, starając się wyczuć w powietrzu wibracje. Grzbiety im lśniły, jakby były zrobione z polerowanego mahoni.

Choć była ich taka masa, nie wydawały żadnego dźwięku.

Z gardła Fila wydobył się pisk. Na ten dźwięk czułki przestały się poruszać, owady obróciły się w stronę źródła dźwięku i zadygotały.

Liczba karaluchów rosła w oczach. Po chwili stały już piętrowo i balansowały jedno na drugim. Wyglądały jak groteskowe miniaturowe wojsko. Dźwięk, jaki wydawały, przypominał cichy szelest, gdy starały się nie spaść jeden z drugiego.

— Jeśli

oknem,

zorien-

drzwiami,

które

— I co teraz? — szepnęła wylękniona Fila, drżały ręce, twarz zbladła.

— Idź powoli w stronę okna — polecił jej Tim.

— Nie! — zakazał Sebastian.

wyjdziemy

nie uda się nam go z zewnątrz zamknąć i Yolanda się tuje, że ktoś tu był. Musimy opuścić jego dom. Zastępy karaluchów ruszyły przed siebie, owady, początkowo były na wierzchu, spadały i nikiły wśród tych na dole. Wyglądało to tak, jakby ohydna, brązowa, żyjąca fala toczyła się po podłodze połykając wszystko, co napotka na drodze.

Tim wzdrygnął się.

Na ten ruch wszystkie karaluchy zwróciły swe groteskowe głowy w jego kierunku.

— Nie m o ż e m y nic zrobić — powiedział z rezygnacją!

Tim, cofnął się o dwa kroki i ruszył z rozbiegu ku owadom.

Jak jeden mąż karaluchy wzbiły się w powietrze, całą chmarą obleciały go, uderzały w niego, smagały mu twarz.

Najmniejsze starały się wedrzeć do uszu i nosa. W pokoju słysząc było obląkańczy furkot ich skrzydeł. Tim rozganiał je na koszuli oraz marynarce i odgarniał z policzków.

Chwytał je garściami i gniótł. Czuł, jak miazga z ich kleistych wnętrzości cieknie mu po skórze.

Fila pisnęła, ale podążyła za nim. Karaluchy oblepiały jej twarz, lądowały we włosach, zbiegały w dół i szukały drogi, by dostać się pod ubranie. Miały odnóża z ostrymi wypustkami. Czuła, jak drapią i łaskoczą ją w plecy, klatkę piersiową i gramolą się w dół ku brzuchowi. Zacisnęła m o c n o usta i odganiała je rękoma, by przedrzeć się przez ohydną chmarę.

Korytarz wypełnił się syczącą chmurą karaluchów. Tim przybliżał się do niewyraźnego zarysu drzwi frontowych

karaluszej Rozczapierzył na karaluchy pikuś!

I kwadracika szyby, przez który przezierało światło dzienne, które w mgle miało kolor sepii.

Sebastian szedł za Filą, młóćąc rękoma w powietrzu.

dłonie niczym wiosła i zbijał nimi karaluchy ziemię.

W końcu dotarli do drzwi frontowych. Tim namacał

klamkę i zaczął się z nią mocować. W końcu mu się udało przyciągnąć drzwi do środka.

Karaluchy, które znalazły się za drzwiami niczym w pułapce, uderzały w szybkę i lądowały na ścianie, a następnie uciekały pod lustro wiszące nad stojakiem na parasole.

Tim wyskoczył do ogrodu i zataczając się, ruszył do furtki. Tuż za n i m podążali Sebastian i Fila. Ubrania wszystkich były u m a z a n e wnętrzościami rozgniecionych owadów. Fila miała we włosach resztki brązowych skrzydeł

i lśniących tułowi. Pozostałe przy życiu spadały

na ziemię i śpieszyły z p o w r o t e m do d o m u .

— Ktoś m u s i zamknąć frontowe drzwi — powiedziała Fila, oglądając się przez ramię.

— Zajmę się tym — zaoferował się Tim.

Wrócił ostrożnie krótką ścieżką i z wahaniem sięgnął

klamki. W n ę t r z e d o m u wyglądało tak, jakby nic się nie stało. W zasięgu wzroku nie było choćby jednego rozkwaszonego karalucha, chociaż obok drzwi do kuchni jeden owad przeciskał się przez szczelinę w ścianie, niosąc szczątki poległego pobratymcy.

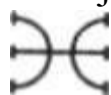
Tim zamknął drzwi, podszedł do ostrokrzewu, wziął swą torbę, uśmiechnął się i powiedział:

— Mały

— M a m a nie będzie zachwycona — stropiła się Fila.

— Jak się jej wytłumaczymy?

— Zajęcia z gotowania. Z u p a wykpiła — podrzucił Tim.



okłamywać

zaatakować

jest

— Przecież zajęcia z gotowania zaczynają się dopiero feriach.

— Skąd ma to wiedzieć?

— Nie lubię

m a m y — stwierdziła Fila.

— W takim razie — rzekł Tim — powiedz jej, że wła maliśmy się do d o m u naszego nauczyciela, gdzie wały nas jego ulubieńcy: karaluchy. Czasem lepsze niewinne kłamstewko niż gorzka do przełknięcia prawda.

Rozdział
ósmym

Linie
mocy

pstrykawkę...?

— Jakies

pstrykawce

Wcałej pracowni chemicznej porozstawiane były szklane zlewki i probówki z różnymi cieczami. O b o k leżały bloczki z papierkami lakmusowymi i butelki z wkraplaczami zawierające wskaźniki kwasowo

ści. Uczniowie w okularach ochronnych sprawdzali każdą próbkę pod względem alkaliczności lub kwasowości. Zapisywali wyniki w zeszytach i dawali do sprawdzenia Yolandowi.

Fila obserwowała, jak koledzy kolejno podchodzą do stołu laboratoryjnego, by wręczyć wychowawcy zeszyt. Yoland szybko poprawiał błędy czerwonym długopisem, wpisywał ocenę do swego n o t e s u i oddawał uczniowi zeszyt.

Fila zauważyła, że każdy wracający na miejsce przez kilka pierwszych kroków miał m ę t n y wzrok.

— Zgląda wszystkim w głąb duszy — szepnęła do Tima.

Brat kiwnął głową, wziął zeszyt, by dać zadanie do sprawdzenia.

— Uważaj! — szepnęła za bratem Fila, kiedy wstawał

z miejsca. — Masz przy sobie

Tim pomacał się po kieszeni i kiwnął głową.

— Co jest, Ledger? — spytał Yoland.

problemy?

Nie, wszystko w porządku, proszę pana — odparł

Tim, starając się nie spoglądać nauczycielowi w oczy. Rękę trzymał na

w kieszeni.

kt
oznacza...

p
powied

Yolandowi

pros

Mi
wnikn

gr
p
sowym?

— Jak rozumiesz pojęcie pH?

— To skala od zera do czternastu, na podstawie mierzymy kwasowość roztworu — odparł Tim.

— A jeśli ciecz ma pH siedem, to co to znaczy? — ciął; Yoland. — Czy ma odczyn kwasowy, czy

może inny?

— Siedem

— zaczął Tim, ale Yoland mu

rwał.

— Uprzejmość wymaga, młody człowieku —

ostro — by patrzeć na swego rozmówcę.

— Tak jest — odparł Tim, spojrział

w oczy i dokończył: — Siedem to pH obojętne.

— A trzynaście?

Tim czuł, jak wychowawca świdruje go wzrokiem.

wrażenie, że mężczyzna chce zyskać na czasie, by w głąb jego umysłu. Timowi p r z e m k n ę ł o

przez myśl, tak właśnie m o ż e się czuć królik hipnotyzowany przez nastają albo wąż m a m i o n y

przez mangustę. Musiał się rzadnie skupić, by dać odpowiedź.

— Mocno zasadowy, proszę pana.

— Jak barwi się papierek lakmusowy w roztworze kw; Tim starał się za wszelką cenę niweczyć

wysiłki Yolanda.

Czuł, że nie potrafi odwrócić wzroku od nauczyciela. Usi

łował pomyśleć o czymś, co oderwie jego myśli od tej potyczki na spojrzenia i nie pozwoli Yolandowi zagłębić się w jego myśli.

Z podstawówki pamiętał, że najlepszym sposobem na zagłuszenie myśli jest wyobrażanie sobie wymiotów. Nie jakąś drobną rzygowinkę na podłodze, ale talerz pełen materii, na wpół strawionej fasoli, przeszytych karbowanych frytek, pogryzionych pieczarek, żółtka jajka i skórek pomidora. A na brzegu talerza egzotyczny sos i musztarda. Przy

takim

wydawało

nie

podzie.

kreda

łowali

żyłach

rum,

pstrykawkę

palcem

pstrykawki

momentalnie

obrazie, jak

się Timowi, żadna inna myśl

ma szans. Nie raz upiekła mu się bura dzięki tej me

Przy takich myślach jego twarz robiła się biała jak i zdenerwowany nauczyciel zaczynał go żałować.

Mimo to Yoland nie przestawał i krok za krokiem zakradał się do jego wnętrza. Tim to czuł. Miał takie odczucia, jak wtedy, gdy myszkowali w barku taty i koszrównych trunków. W

płynął rozgrzewający

trochę kręciło mu się w głowie.

— Czerwony — odparł z t r u d e m .

Musiał wyzwolić się z mocy Yolanda. Im dłużej to trwa

ło, tym silniejszy był wpływ nauczyciela. Ale T i m nic na to nie mógł poradzić. Chwycił

w kieszeni między

wskazującym a kciukiem. Nacisnął.

Cisza.

Chusteczka zaczęła się o blaszkę.

— Dobrze — pochwalił go Yoland. — A pH trzy?

Grzebał w kieszeni, żeby uwolnić pstrykawkę.

— Silnie kwasowe, proszę pana — odpowiedział, odzyskując nad sobą nieco kontroli. Miał nadzieję, że próba dobiega końca.

Pomylił się. Yoland nadal przygważdżał go wzrokiem.

— Dobrze się czujesz, chłopcze? — spytał nauczyciel, wciąż wpatrując się w Tima. — Czego szukasz w kieszeni?

— Chustki, proszę pana — odparł Tim. — Zemdlilo mnie. Ale już mi lepiej.

Nadal nie udawało mu się oddzielić od chustki. Był zrozpaczony. Yoland spoglądał na niego coraz przenikliwiej.

Gdzieś w pracowni rozległo się donośne pstryknięcie.

Yoland

oderwał wzrok od Tima. Hipnotyczny uchwyt natychmiast zelżał.



pokaz

miejsce

następny

Ale...?

Pstrykawką

— Jasne!

gust

lecił:

— Kto to zrobił? — spytał Yoland.

Twarz Fila pojawiła się nad blatem stołu.

— Spadł mi ołówek, proszę pana — odparła, Yolandowi zgubę.

Wychowawca nic nie powiedział, zerknął tylko na czenie Tima, pchnął zeszyt w jego stronę po biurku i

— Wracaj na

i zacznij czytać rozdział o właściwościach kwasów. — Rozejrzył się po klasie. — Kto

— Dzięki, siostruniu — powiedział cicho Tim, gdy wrcił do ławki. — Mało brakowało.

—

— spytała szeptem Fila.

— Nie idź teraz do niego. Udawaj, że jeszcze nie skończyłaś. Próbował na mnie swoich sztuczek

— wyznał Ti

— To czemu nie pstrykałeś? — spytała Fila.

— Nie m o g ł e m — wyszeptał Tim. —

za
plątała się w chustkę.

— Nie pozwoliłeś mu... — zaczął Sebastian.

— odpowiedział Tim. — Skoncentrowałem się na czymś innym.

— Tym co zwykle? — spytała Fila.

Tim uśmiechnął się i kiwając głową, powiedział:

— Rzygowiny. M a m nadzieję, że przypadł mu do mój paw.

— Rzygowiny? — zastanawiał się na głos Sebastian.

— Paw?

— Taki żargon — szepnęła Fila.

— P o t e m ci wyjaśnię — obiecał Tim. — Podczas drugiego śniadania.

knął

■

stęchlizną.

ermarketu...

nniczo.

o

Malodora

i

traktów

- Czym oddychasz? — spytał Tim, gdy Sebastian za-drzwi do swej k o m n a t y w podziemiach.

— Spójrz świece. Ani drgną, więc nie ma tu przeciągu, a m i m o powietrze nie cuchnie

Mało tego, świece

żywiają m n ó s t w o tlenu — dodał. — A jak się wypalają, i) d bierzesz nowe? T r u d n o jest

cokolwiek buchnąć z su-Sebastian nic nie odpowiedział, ale uśmiechnął się taje

— Sebastianie — rzekła niepewnie Fila. — Chcę cię coś spytać. Co takiego jest w Rawne

Barton, w tej okolicy, co przyciąga... — Nie wiedziała, jak to ująć. — No, wiesz,

i Yolanda...

Na te słowa Sebastian podszedł do półki i wziął skórzaną teczkę, którą położył na stole, a następnie wyjął z niej mapę narysowaną na pergaminie, który aż trzeszczał podczas rozwijania.

— Ta m a p a przedstawia okolicę w promieniu około pięciu mil od d o m u — wyjaśnił. —

Zobaczcie, pewne budynki charakterystyczne punkty są naniesione, ale próżno tu szukać jakichkolwiek nazw.

— Więc na niewiele się przyda — uznał Tim.

— Wręcz przeciwnie — obruszył się Sebastian. — To niezwykła mapa.

Z szuflady pod blatem stołu wyjął szklaną linijkę. Mia

ła co najmniej m e t r długości i dziwną podziałkę opisaną arabskimi i greckimi cyframi. Położył ją na mapie.

— Zwróćcie uwagę — ciągnął Sebastian — jak wiele p u n k t ó w na mapie lokuje się wzdłuż tej linii — trzy kościoły, starożytna osada na szczycie wzgórza sprzed czasów Naszego Pana,

skrzyżowania trzech dawnych szpiczaste wzgórze i wielki d o m .

Sebastian, — To prehistoryczne, właś, — Jedne

— Wszystko w jednej linii — p o d s u m o w a ł Tim.

— Nie w jednej linii, a na linii — poprawił go linia łącząca miejsca obdarzone

ciwościami magicznymi, tędy płyną siły natury. — Zwrócił się do Tima. — Dysponujesz współczesną mapą tej okolicy?

Kilka m i n u t później przykucnęli w sypialni Fila nad rozłożoną mapą Brytyjskiego Urzędu Kartograficznego. Szklana linijka leżała obok.

— Spójrzcie — wskazał Sebastian — do dziś widoczna jest ta linia. Kościoły to dawne budowle, powstały, jak wiele wiejskich świątyń, w miejscach pogańskiego kultu, osada na wzgórzu jest tu określona jak fort z epoki żelaza, jedna z dróg nazwana została Rzymskim Traktem, zaś] dom..

— To Rawne Barton! — zawołała Fila.

— Zgadza się — potwierdził Sebastian.

— To dlatego — uzupełnił Tim — Rzymianie wykopali tu święte źródło...

— ...a twój ojciec — podchwyciła Fila — zbudował dom..

— Właśnie tak — powiedział Sebastian. — Ale to nie wszystko.

Położył szklaną linijkę na współczesnej mapie, wziął ołówek z biurka Fila i zaczął kreślić jeszcze inne linie. Kiedy skończył, jedenaście linii schodziło się i kończyło na Rawne Barton, wiele innych przecinało d o m .

— Jesteśmy w samym środku tarczy! — zawołał Tim.

— Jak daleko one biegną? — spytała Fila.

mają po kilka kilometrów — wyjaśnił Sebastian

— inne mogą mieć ponad sto.

— Siły natury biegną tymi liniami, tak jak prąd przewodami elektrycznymi? — spytał Tim.

F
pana

Poniekąd — odparł Sebastian.

Jak się domyślam, siły są największe, t a m gdzie linie przecinają — zgadywała Fila.

- Tak — odparł Sebastian.

— Jeszcze nie w łóżkach? — rozległ się zza drzwi głos Ledgera. — Już po jedenastej.

Niebawem godzina duchów.

— Co on o tym m o ż e wiedzieć — szepnęła Fila.

— Tylko skończymy pracę domową z geografii, tato! —

yknął Tim.

— Daję w a m pięć m i n u t — odparł tata. — A p o t e m marsz do łóżka. Jutro trzeba wstać do szkoły.

Rozdział dziewiąty Klub Atomu

jak

ta

lisie

potrawy

jak:

of pyke,

mołoun.

bulionie

whyte

wortys.

Fila i Tim musieli wyjechać na weekend do cioteczne babki Joanny, która —

uważał Tim — z pewnością nie była kandydatką do brytyjskiego tronu, za mogła być oskarżona o czary. Miała kota perskiego o przebiegłym spojrzeniu żółtych oczu, zaś jej przepis na irlandzką potrawkę — Tim nie miał co do tego wątpliwości

— zawierał paluszki skowronków, uszy ślimaków i nosy.

Na potwierdzenie podejrzeń brata Fila znalazła wśród książek kucharskich ciotecznej babki foliał zatytułowany:

Dworskie posiłki na uroczyste dni, w którym znajdowały się przepisy na takie *jellie*

conyngus w graueye

z siruppe oj honeye, sparwes w aspic oraz trype de

By

zabić czas podczas wizyty, Tim nie bez trudu przetłumaczył potrawy na: szczupaka w galarecie, królika w sosie lub miodowym syropie, wróble w

wołowym oraz owcze flaczki. Za nic jednak nie potrafił zgadnąć, czym może być

— Założę się, że Sebastianowi ta potrawa przypadłaby do gustu — uznał.

Dopiero w niedzielę wieczorem wrócili do Rawne Barton. Pan Ledger po wejściu do kuchni od razu podszedł

do panelu, by wyłączyć system alarmowy. Zauważył, że miga jedna z kontroltek.

uruchomiło
oznajmił.

tablicy

— To

lował

przyczajony...

szerzej.

— Coś

alarm podczas naszej nieobecności

— Pewnie mysz lub pająk. Zadzwońię do firmy ochroniarskiej, choć gdyby to było coś poważnego, zapewne zadzwoniliby do mnie na komórkę. — Przyjrzał się elektronicznej i zawyrokował:

było w salonie.

— Sprawdź — zaoferował się Tim i natychmiast počasłych słów. Rodzice zawsze zamykali drzwi do wszystkich pomieszczeń na czas nieobecności. Intruz, czy cokolwiek to było, wciąż może tam tkwić skulony w kącie, niewidoczny dla czujników, nieruchomy, Ze strachem nacisnął klamkę do salonu i ostrożnie uchylił drzwi. Nie zauważył przez szparę nic niepokojącego.

Otworzył więc drzwi

Nie zauważył żadnych śladów. Nawet magazyn samochodowy, który przed wyjazdem rzucił na podłogę obok fotela był otwarty na stronie, którą czytał. Obejrzał dokładnie okna. Żadne z nich nie było uszkodzone ani otwarte, na parapecie jednego z nich dostrzegł niewielką plamę zaschniętego błota, w której tkwił bukowy liść.

— Mysz albo pająk — potwierdził, gdy wrócił do kuchni, gdzie jego mama zabrała się do przygotowywania kolacji.

— Macie jeszcze coś zadane? — spytała pani Ledger.

— Odrobiliśmy w piątek — odparło chórem rodzeństwo.

— W takim razie — powiedziała, gdy pan Ledger oddalił

się do salonu, gdzie włączył telewizor — kolacja za kwadrans.

Fila i Tim poszli na górę. Sebastian siedział na łóżku Fili. Wyglądał na wycieńczonego. Był przygarbiony i pobladły.

— Nic ci nie jest? — zaniepokoiła się Fila.

Sebastian nie odpowiedział. W drzwiach pojawił się Tim.

zaczął,
spy
kilka
w
Dł
mniemam
wyróż
męż

— Sios... —

ale gdy zobaczył Sebastiana,

— Co się stało?

— Przez prawie całą waszą nieobecność broniłem dor

— odparł Sebastian słabym głosem.

— Przed czym? — dopytywała Fila.

— Przed w o d w o — odparł Sebastian.

— W o d w o ! — zawołał Tim. — To znaczy, że ScrottC
tu był?

— Tak. Zeszłej nocy przez
godzin usiłował

drzeć się do d o m u . Nie udało mu się, ale kiedy próbowa otworzyć okno, uruchomił alarm.

— Myślisz, że Yoland go przysłał? — spytała Fila.

— To prawdopodobne — potwierdził Sebastian. —

Yolanda nie jest to normalny d o m . Jakkolwiek ze Scrotton miał sprawdzić, czy nie dzieje się tu
coś nie zwykłego. Jego oczom ukazał się jednak niczym nie niający się d o m mieszkalny.

— Gdyby dostał się do środka — przeraził się Tir

— znalazłby wydruk ulubionych stron swego pana.

— Jak udało ci się go powstrzymać? — spytała Fila.

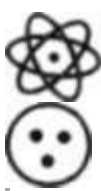
Sebastian uśmiechnął się znacząco i rzekł:

— Księga braciszka d'Aurillaca zawiera więcej, niż pc trafi dostrzec Scrotton. Kiedy w końcu
pojawił się czyżni w m u n d u r a c h z mocnymi latarkami i d w o m a wielkimi psami, Scrotton
czmychnął.

Na korytarzu rozległy się kroki, które zbliżały się do drzwi pokoju Fili.

— M a m a idzie — ostrzegł Tim. — Lepiej się schowaj, żeby uniknąć śledztwa, jak się tu
znalazłeś tuż po naszym powrocie.

Ledwie wypowiedział te słowa, pani Ledger zapukała i spytała:



Filu?
zamierzała
poniedziałku
spotykał
laboratorium

— Mogę wejść,

Fila już

ją jakoś powstrzymać, ale Sebastian rozplątał się jak kamfora.

Gdy m a m a pojawiła się w drzwiach, Tim przecisnął się obok niej i wrócił do swego pokoju, gdzie siadł do komputera. Gdy czekał na uruchomienie systemu, spojrział

przez o k n o i zimny dreszcz przebiegł mu po plecach. Po zewnętrznej stronie szyba była pomazana smugami zaschniętego błota. Nie było wątpliwości, że zostawiły je dłonie należące do kogoś, k t o chciał się dostać do środka.

Sebastian pierwszy zauważył ogłoszenie. Napisane nienagannym p i s m e m Yolanda, wisiało na tablicy ogłoszeniowej w skrzydle chemicznym. Jego treść brzmiała: Klub A t o m u

Od najbliższego

Klub Atomu będzie się

co tydzień w czasie przerwy śniadaniowej w

chemicznym numer 1.

Członkami mogą zostać uczniowie klas pierwszych i drugich.

Interesujesz się chemią?

Przyłącz się!

Tego nie zobaczysz na zwykłej lekcji.

spytał
od
po
częste-

zmniejszy-
238

— I co wy na to? —

Tim.

Sebastian uważnie przyjrzał się ogłoszeniu, nim wiedział:

— T r u d n o powiedzieć, ale źle mi to pachnie.

— Tak czy siak — uznała Fila — m u s i m y się zapisać.

Tak więc w poniedziałek dwanaścioro członków Klubu Atomu, w tym Fila, Tim i Sebastian — a także Scotton

— usiedli półkołem przy stole laboratoryjnym. Po drugie) stronie stał Yoland przy skomplikowanym modelu czki złożonym z dużych kolorowych koralików i prętów.

— Młodzi chemicy — zaczął — zapewne wiecie, że pierwiastki radioaktywne mają okres połowicznego rozkładu.

To czas potrzebny na to, by promieniotwórczość ła się o połowę. Powiedzmy, że m a m y kilogram cukru, ale co godzinę ubywa pięćdziesiąt procent. Po godzinie mamy 500 gramów, po kolejnej 250, następnie 125 i tak dalej.

— A co się dzieje, kiedy nie zostaje już nic? — spytała Fila.

— Dobre pytanie — odparł Yoland. — Podczas rozpadu pierwiastek się zmienia, czasem w inny pierwiastek. Na przykład podczas rozpadu uran

przekształca się w tor

234. Z czasem jednak nie pozostaje nic.

— A ile to trwa? — spytał inny uczeń.

— To zależy — odrzekł Yoland. — Okres połowicznego rozpadu izotopu węgla wynosi 5730 lat, zaś półokres

uranu 238 to cztery i pół miliarda lat.

— Co to takiego ten izotop? — spytał ktoś.

— Izotop to inna postać pierwiastka — wyjaśnił Yoland.

— Czy istnieją izotopy, które mają krótki półokres? —

spytał Tim.

Jak najbardziej — odparł Yoland. — Pewne pierwiastki mają bardzo krótki półokres. Rubid 94 ma niecałe trzy

sekundy.

spoglądając

okna

la-

laboratoryjnym

promienio-

Mogę

cię
pro
sić
chwili
u
radioaktywnym;
wyniosko
postawił
tytu
od
radioak
ty
służy
środek
promienio
jest

Jako że niebawem koniec przerwy — powiedział

na zegar — przed k o ń c e m dzisiejszego spo-chciałbym w a m pokazać coś jeszcze.

Po tych słowach Yoland sięgnął po stojący na stole aparat, który przypominał Timowi ładowarkę do a k u m u l a t o r a samochodowego. Z przodu urządzenia znajdowało się kilka przełączników, tarcza i przewód, prowadzący do czujnika, który wyglądem przypominał aluminiowy pojemnik na cygaro.

— O t o — wyjaśnił Yoland — licznik Geigera. Służy do mierzenia promieniowania radioaktywnego. — Włączył

przrząd. Zapaliła się m a ł a czerwona lampka. — Jak widzicie — powiedział, machając czujnikiem w powietrzu

— w tej klasie nie ma w zasadzie żadnego promieniowania radioaktywnego. Istnieje co prawda tak zwane wanie naturalne e m i t o w a n e przez ziemię i substancje w niej zawarte. Na przykład granit wyraźnie promieniuje, jednak poza tym jesteśmy wolni od promieniowania. Nie mniej jednak...

— Spojrzał na Scottona. —

o pomoc, Scottonie?

Scotton bez słowa znikł na zapleczu, by po **po**

jawić się z dużym pojemnikiem z lśniącej stali. Na **hol** widniał znak ostrzegający o materiale czarne śmigło. Z ruchów ucznia m o ż n a było wać, że kanister jest ciężki, on jednak bez trudu go na stole.

— Ten pojemnik — wyjaśnił Yoland — jest pok wewnątrz ołowiem. Ponieważ promieniowanie w n e zwykle nie m o ż e się przedrzeć przez ten metal, on za ekran ochronny. — Przesunął pojemnik na stołu. — W e w n ą t r z znajduje się pierwiastek twórczy — ciągnął. — Promieniowanie radioaktywne

zł
Promi
gdyby...

groźne, więc m u s i m y być niezwykle ostrożni. Podobnie ogień, pierwiastki radioaktywne są dobrym sługą, ale p a n e m .

— Tak jak Scotton — powiedział pod n o s e m Tim.

— Wewnątrz znajduje się polon 212. Powszechnie u w a się go w szpitalach do leczenia nowotworów.

niowanie radioaktywne niszczy żywe komórki.

— Możemy go zobaczyć? — spytał chłopiec, siedzą przy skraju stołu.

— Wykluczone! — odparł szorstko Yoland. — Byłob to wielce niebezpieczne.

— Dużo go t a m jest? — spytała dziewczynka siedząca obok.

— Kawałek pierwiastka ma mniej więcej wielkość sześciu ziaren soli — odpowiedział Yoland, — i jest zatopiony w bloku przezroczystego plastiku.

— A po co? — spytał ktoś.

— Dzięki t e m u — wyjaśnił Yoland — nie m o ż n a go zgubić. Pomyślcie sobie, jak łatwo zgubić ziarnko soli.

— A co by było,

— ciągnął chłopiec, ale Yoland
m u przerwał.

— Szkoła, a przynajmniej to skrzydło, musiałyby być zamknięte i trzeba by wezwać N U O R ,
Narodowy Urząd Ochrony Radiologicznej, by przeczesał cały budynek. Tak więc — powiedział,
uśmiechając się dobrotliwie — niech w a m przypadkowo nie przyjdzie nic do głowy. Jest schowany
w sejfie w pracowni chemicznej. I t a m pozostanie.

A ja z n a m szyfr, pomyślał Tim, unikając wzroku Yolanda.

— A teraz — powiedział Yoland — odsuńcie się wszyscy od stołu. Otwórz pojemnik,
Scrottonie.

Scrotton chwycił pojemnik i powoli odkręcił zakrętkę.

Yoland przysunął czujnik w pobliże otworu. Scrotton szyb-

kim
to
pojem-

nika,
nuklearnej.

wyglądały
wal-

ruchem uniósł zakrętkę. Licznik Geigera zaczął trzesz-czyć jak szalony, wskazówka na tarczy
skakała to w jedną, w drugą stronę. Yoland przysunął czujnik bliżej sygnał dźwiękowy o wysokim
tonie stał się niemal nieprzerwany.

— Zakręć pojemnik, Scrottonie.

Scrotton wykonał polecenie. Licznik Geigera m o m e n t a l nie zamilkł.

— Tak więc — powiedział Yoland — zapoznałem was z cudami energii

Gdyż promieniowanie radioaktywne to energia. To ona zasila słońce, porusza wszech
światem, jest samym sercem stworzenia.

Dzwonek obwieścił koniec przerwy śniadaniowej, a tym samym koniec pierwszego spotkania
Klubu A t o m u .

Sebastian milczał, gdy szli na kolejną lekcję.

— Coś cię gryzie? — spytał Tim, gdy ustawiali się przed klasą.

Sebastian nie odezwał się.

Słabe jesienne słońce odpływało wieczorem znad pól Rawne Barton. Zachód słońca był wspaniałym widowiskiem, podczas którego na tle pomarańczy i purpury widać było sylwetki drzew nad rzeką, jakby namalowanych tuszem. Z m r o k zapadał prędko, cienie stawały się coraz bardziej rozmyte.

Tim siedział przed k o m p u t e r e m . Pilotował przez galaktykę pojazd kosmiczny w kształcie litery Y, starając się omijać pojazdy nieprzyjaciela, asteroidy i miny podłożone w przestrzeni galaktycznej, które jak powiększone ziarnka pyłku. Jego pojazd już ucierpiał nieco w

**niewielk
Tim:
Wyłącz
sylwetek.,
zro-
wrona...
lewej.**

kach i musiał się dostać do statku macierzystego przy S
cji 4, by uzupełnić paliwo. W misji wcale nie pomagał f; że dżojstikowi brakowało jednej z
przysawek, który zwykle był przytwierdzony do blatu.

Statek macierzysty właśnie pojawił się, jako kropeczka w cyberprzestrzeni, kiedy drzwi do
pokoju gwałtownie otworzyły się i Fila wpadła do środka.

— Czy ty się kiedyś nauczyłaś pukać, siostrzyczko?

— rzucił Tim zgryźliwie, spoglądając przez ramię.

— Mniejsza z tym! — Fila podeszła do okna. —

monitor. Natychmiast!

— Czemu?

— Żeby nie było widać w oknie naszych

— zirytowała się i powtórzyła: — Wyłącz go!

Tim nacisnął wyłącznik. Monitor zgasł, a w pokoju biło się ciemno.

— A teraz spójrz!

Tim podszedł do siostry stojącej przy oknie.

— Na co? — powiedział. Jego wzrok nie przestawił się jeszcze z intergalaktycznej nocy na
ziemskie światło.

— Tam, na brzegu rzeki. Widzisz?

Tim zmrużył oczy. W rzece odbijała się resztką zach dzącego słońca.

— Drzewa, trawa, lecąca

— Coś poruszyło si

na brzegu rzeki. — Owca.

— To nie owca — zaprzeczyła Fila. — Owce chodzą.

— No cóż, tej się znudziło chodzenie.

Ledwie wypowiedział te słowa, kształt schował się za dąb.

— Co to do diabła było? — zawołał Tim.

— To już piąty. Dwa schowały się za t a m t y m dębę i jeszcze dwa za kasztanowcem po

niej.

gó-

tacie...?

melo-

— Wołajmy Sebastiana! — polecił siostrze Tim.

Wpadli do pokoju Fili. Tim wyglądał przez okno, a dziewczynka zastukała w panel.

Bezskutecznie. Zapukała moc

Nadal nie było słyhać, by Sebastian wspinał się w rękę. Zastukała jeszcze natarczywiej. Nic.

— Nie ma go t a m — wyjąknęła przerażona.

— Doskonałą porę wybrał sobie na przechadzkę! — obruszył się Tim. — Co robimy?

Wyjrzał za okno. Sześć ciemnych, bezkształtnych postaci ruszyło w mroku ławą w kierunku d o m u . Kuliły się, niemal czołgały wśród traw.

- Powiemy

— zaczęła Fila.

- Niby co? Tato, grupa upiórów chce zaatakować nasz dom. Nawet n a m nie da dokończyć. A echo jego śmiechu będzie grzmiało jeszcze przez wiele tygodni.

— Możemy nie przeżyć, by opowiedzieć komukolwiek tę historię — rzekła Fila.

— Zresztą — dodał Tim, nie zwracając uwagi na dramatyczny ton siostry — co takiego zrobi, czego my nie możemy? Zaprosi ich na filiżankę kawy czy kufel piwa?

Szpaler postaci na zewnątrz dzieliło od rowu już tylko pięćdziesiąt metrów. Tim zmrużył oczy i skupił się na osobie, która była najwyraźniej przywódcą, znajdowała się bowiem nieco z przodu.

— To Scrotton! — zawołał, a po chwili dodał — Nie, to sześciu Scrottonów! On się skopiował!

Fila poczuła, że uginają się pod nią nogi, spocily jej się dłonie i ścierpła skóra.

— Skoro nie ma tu Sebastiana... — zaczęła, ale brat jej przerwał.

— Spójrz!

Poruszyła

Seb...

re-

za-

element

Po jego słowach pojedyncza postać wynurzyła się z rowu i zaczęła się przemieszczać w stronę szpaleru.

się powoli, każdy ruch był przemyślany.

— To przecież

— wyszeptał Tim.

Na ten widok, wśród Scrottonów zapanowało poruszenie. Zaczęli przeskakiwać z nogi na nogę, wymachując k o m a jak szaleni w górę i w dół. Dopiero teraz Tim uważał, że każdy z nich trzyma gruby kij.

— Nie ma żadnych szans — wyszeptała Fila. — Sześciu na jednego, a do tego oni są uzbrojeni.

— Nie m a m y wyjścia — postanowił Tim. — Wkładaj buty.

— Idziemy się przejść — rzucił, gdy mijali kuchnię.

— Wracajcie niebawem — powiedziała mama, unosząc głowę znad prasowania — i bądźcie ostrożni. Robi się ciemno. Nie idźcie nad rzekę. Moglibyście wpaść do wo-dy.

Zatrzymali się na chwilę w garażu, żeby oczy przywykły do mroku. Tim uzbroił się w sierp do przycinania żywopłotu. Wygięte ostrze lśniło, bo tata niedawno je ostrzył.

Fila znalazła zardzewiałe widły.

Pospieżyli na palcach do furki prowadzącej na pole, przykucnęli, otworzyli bramkę i znaleźli się na polu. Po lewej stronie Scrottony zatrzymały się półkolem wokół Sebastiana. Każdy wymachiwał kijem, wydając dzikie odgłosy niczym żaby w stawie podczas godów.

— I co teraz? — myślał na głos Tim. — Atakujemy?

W tym m o m e n c i e Sebastian zaczął stopniowo posuwać się do przodu. Scrottony warczały pod n o s e m i irytowały się coraz bardziej.

— Do dzieła — szepnął Tim. — Wykorzystamy zaskoczenia.

Scrottonów.

z
stoczyć
machnął
trysnęła

były

Otworzył

dźwięk

Wstał, ułożył sierp w dłoni i ruszył p ę d e m w agresorów Fila biegła kilka kroków za nim.

Szereg Scrottonów obrócił się z wojskową precyzją w ich **Ktrone**, zamarł na chwilę, jakby zbierając siły, a następnie ruszył na nich. Przez m o m e n t Tim wahał się, ale oboje Filą dobrze wiedzieli, że nie było już odwrotu. Musieli walkę.

W mgnieniu oka dopadł ich pierwszy Scrotton. Tim zaśię, ale chybił. Napastnik zaatakował Filę. O n a wbiła przed sobą rękojeść wideł w ziemię i skierowała narzędzie w stronę przeciwnika. Scrotton wbiegł z rozpędu na widły, zęby zatopiły mu się głęboko w piersi. Krew na ubranie Fili. Dziewczynka krzyknęła. W o d w o syknął jak rozjuszona jaszczurka, wijąc się na widłach, wyszarpnął je z ziemi i starał się je wyrwać z piersi.

Tymczasem drugi Scrotton rzucił się na Tima. Chłopiec zamachnął się sierpem i poczuł, jak

ostrze zatapia się w ramieniu aż po samą kość. Scrotton jęknął i wyrwał Timowi z rąk narzędzie. Wymachiwał nim w powietrzu z taką łatwością, jak dyrygent batutą, wreszcie uniósł je nad głowę. Tim obserwował niczym w filmie w zwolnionym tempie, jak sierp idzie w górę, a ostre niczym brzytwa ostrze zwraca się w jego stronę. Chciał zrobić unik, ale jego nogi niczym zatopione w cemencie. Uniósł ręce, by się bronić lub odeprzeć cios, przypominając sobie tatę odgarniającego jednym r u c h e m ł o d e drzewka na swej drodze.

usta do krzyku, ale nie wydobył się z nich żaden Scrotton, stojący przed Filą, w końcu wyrwał sobie z piersi widły. Chwycił je niczym oszczep i zamachnął się na Filę.

Sierp spadł na trawę obok Tima. Scrotton stał nie dalej niż metr od chłopca. Charczał niezrozumiale i opadł na

**Pr
Spoglą
przypominającymi
rzyły
Timem
na
Timie,
wściel
prze
lu
cał
Filu,
palcami
ci
obślizgłe,**

kolana. Stopniowo jakby uchodziło z niego powietrze Scrotton obok Fili również zachowywał się jak przeb balon. Trzy pozostałe Scrottony też się kurczyły.

jednego. T a m t e n stał hardo przed Sebastianem.

na niego oczami

węgielki, które raz

się jasno, to znów gasły.

Fila z

chwycili broń i podbiegli do Sebastiana

— Uważajcie — powiedział Sebastian, stojąc w rozkrok podparłszy się pod boki — w o d w o

to wcielone zło.

Przed nimi stał Scrotton umazany błotem, jego twar
perlił się pot, we włosach sterczały gałązki i suche liści
— Pożałujecie, żeście ze mną zadarli — groził im, utkw wszy oczy w
warga wyginała mu się jak u
łego psa.

Sebastian nie odezwał się. Uniósł tylko lewą rękę, a po nią pojawił się stożek tak ciemny, jak
najczarniejsza noc Na ten widok Scrotton wydał z siebie odrażający, nikliwy pisk, niczym nietoperz,
który zaplątał się nogą o g o n e m w pułapkę. Sebastian podszedł do niego, Scrotton skrył się w
owym stożku. Miotał się, by się wy rwać, ale nie było już dla niego ucieczki.

—

weź m n i e za prawą dłoń i nie puszczając m n i e dotknij głowy Scrottona — polecił Sebastian.
— Ale sam nie wchodź w całości w ciemność.

Fila wykonała polecenie, ale kiedy dotknęła włosów Scrottona, ogarnęło ją obrzydzenie i cofnęła
rękę.

— Nie bój się — uspokoił ją Sebastian. — Nie zrobi nic złego.

Fila zebrała się w sobie, zamknęła oczy i wepchnęła dłoń w brudne włosy Scrottona. Między
palcami poczuła tłuszcz i pot,
jak podgrzana oliwa z oliwek.

— Nie ruszaj się — polecił jej towarzysz.

mię-

nie

Nie

zważałeś

Raptem jakaś siła popłynęła od Sebastiana przez rękę Fili. Miała wrażenie, jakby prąd
elektryczny napiął jej i ścięgnął. Pod jej dotknięciem Scrottonem zaczęły wstrząsać konwulsje.

— Pospołu nasze moce powinny dać mu radę — szepnął
Sebastian.

Po kilku sekundach puścił dłoń Fili. Od razu moc przestała płynąć i Scrotton opadł niczym ciało,
z którego usunięto szkielet.

— Co z n i m zrobimy? — spytał Tim. —

m o ż e m y

go tu zostawić.

— Jak każde stworzenie — odparł Sebastian, gdy Fila ocierała dłoń o mokrą od rosy trawę —
odnajdzie drogę do nory.

Cała trójka wróciła do domu, Tim niósł kosę i widły.

Pani Ledger akurat siedziała z m ę ż e m w salonie.

Przemknęli przez drzwi niezauważeni i weszli na górę.

Fila przebrała się, gdy tylko znalazła się w swoim pokoju i namoczyła w zimnej wodzie ubranie
pobrudzone krwią.

Plamy, jak zauważyła, były bardzo słabe, jakby krew była rozrzedzona. Kiedy skończyła, ukryła
miskę pod łóżkiem.

Pojawili się Sebastian i Tim.

— Spapraliśmy to! — poskarżył się Tim Sebastianowi.

— Teraz Yoland będzie wiedział, że się z nami,
po tym jak daliśmy wciroy jego asystentowi.

— Wręcz przeciwnie — odezwał się Sebastian. — Scrotton niczego nie będzie pamiętał z
dzisiejszego wieczora.

— Akurat! — obruszył się Tim. — Właśnie stoczyliśmy walkę z ciemnymi mocami!

— Właśnie że tak — odpowiedział z u s m i e c h e m Sebastian. — Wyczyściłem jego pamięć
krótkotrwałą. Jego mózg to m a ł o skomplikowany organ. To nie było trudne.



Scrottonów...
homunkulusy...?

zrzedł.

tyl-

bojaźliwie

— A pięciu pozostałych

— zaczęła ni

wnie Fila. — Czy to były

Na te słowa uśmiech Sebastiana

— Tylko w pewnym sensie. Tak naprawdę to automaty, repliki nie posiadające własnej
świadomości. Powstały ko na tę potyczkę.

— Kto je stworzył? — spytała

Fila.

— Jest mi znana tylko jedna osoba, która posiada te umiejętność... — odpowiedział Sebastian.

— Malodor — wtrącił Tim.

Rozdział
dziesiąty

Chmury

się

zbierają

siedział

szlaf-

śladu

Yolandzie

1450–1661,

1665

Od godziny Tim w swym pokoju przy biurku i surfował po Internecie. Zaglądał do genealogicznych baz danych i spisów ludności, przeszukiwał rejestry parafialne, katedralne i uniwersyteckie, zaglądał też na strony bibliotek i muzeów. W końcu o dziesiątej opuścił pokój, niosąc przejrzyście zadrukowaną kartkę formatu A4, zapukał do drzwi Fili, odczekał chwilę i wszedł do środka. Dziewczynka siedziała przed toaletką w roku, wypróbując różne fryzury za pomocą miękkich lokówek.

— Co za postęp — pochwaliła brata. — Zapukałeś.

Tim pokazał jej kartkę.

— Zawołaj go! — polecił.

Gdy Sebastian wyłonił się zza panelu, Tim obwieścił:

— Poszperałem trochę w przeszłości Yolanda. — Usiadł

na krześle, z którego Fila właśnie zgarnęła ciuchy. — Wygląda na to — zaczął, spoglądając na kartkę — że Yoland, lub ktoś o tym samym nazwisku, żyje w tej okolicy od wielu pokoleń. Jednak — ciągnął — zauważyłem coś dziwnego. Bywają długie okresy, gdy zapiski o n i m milczą, a pot e m znów objawia się nie wiadomo skąd. Na przykład, nie ma żadnego

po

w latach

po

czym znów się pojawia jako pracownik aptekarza w roku. Następnie znika aż do lat 1682-1700.

kompute

Googli

cyberfalach.

1703

zegarmistrzostwem

1899

1939

gd

1949

jal

14.

imi

kości...?

— Zdobyłeś tę całą wiedzę za pomocą

— spytał Sebastian.

— Użyłem

— wyjaśnił Tim.

— Googli? — powtórzył Sebastian.

— To wyszukiwarka internetowa. Za jej pomocą zn duje się informacje w sieci. Musiałem trochę posurfow

— Posurfować? — zdziwił się Sebastian.

— Posurfować po necie, po

Kiedyś to zr

zumiesz.

— Zdumiewające! — bąknął oniemiały Sebastian.

Tim wrócił do wydruku.

— W

wymieniono w d o k u m e n t a c h niejakiego Y

landa, który przez sześć lat parał się Potem słuch o nim zaginął aż do

roku, gdy pojawił si

1914, podczas któr zginął w okopach. Między

a 1942 figuruje w doku

mentach jako kierownik apteki w Brampton. Zginął, niemiecki bombowiec rozbił się o ten

budynek. Jego obec ny życiorys łatwo prześledzić. Nasz gagatek urodził się 3

kwietnia

roku w Brampton. Łatwo się domyślić, adres wpisano mu do metryki: Peelings Lane Jego

1914, podczas któr zginął w okopach. Między a 1942 figuruje w doku mentach jako kierownik apteki w Brampton. Zginął, niemiecki bombowiec rozbił się o ten budynek. Jego obec ny życiorys łatwo prześledzić. Nasz gagatek urodził się 3 kwietnia roku w Brampton. Łatwo się domyślić, adres wpisano mu do metryki: Peelings Lane Jego i nazwisko to: Brian Alan Yoland. Jako matka wpisana jes Margaret Yoland, zaś rubryka „ojciec” jest pusta.

— Może jego m a m a nie była zamężna — podsunęła Fila.

— Miała męża — zakomunikował Sebastian i dodał —

w pewnym sensie.

— Co to znaczy? — spytała Fila.

— Jej mąż nie był człowiekiem z krwi i kości — odparł

Sebastian.

— Nie był z krwi i

— zdumiała się Fila, ale
uświadomiła sobie, że wcale nie chce znać odpowiedzi.

Karloff.
Yolandów,

?
Timie?

które
za
chodzil
studiował

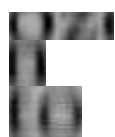
he
napisał
to
prawę
alchemii

Pa
dwóci

h
le
budy,

1982
pracowni
chemii

ii
oln
nie



— Narzeczona Frankensteina — powiedział Tim grubym głosem — w roli głównej Boris Tim chwycił palcami dolne powieki i pociągnął je w dół obnażając białka oczu.

— Zamknij się, Tim! — zareagowała ostro Fila. — Co masz na myśli?

— Wszyscy Yolandowie na przestrzeni wieków rodzili się z łona kobiet — wyjaśnił Sebastian — zaś z ich ojcami było wręcz przeciwnie.

— To znaczy? — dociekała Fila.

— Matka Yolanda, a właściwie wszystkie matki nie wiedziały, kim byli ojcowie ich dzieci — odparł Sebastian.

— Po prostu pewnego dnia odkrywały, że są w ciąży.

— No, to jak u licha

No, wiesz — powiedział Tim,

zażenowany kierunkiem, jaki obrała ich rozmowa.

— Powiedzmy, że za sprawą czarów — odparł wymijająco Sebastian. — Czarna magia. Czego jeszcze dowiedzia

łeś się,

Tim opanował emocje i czytał dalej:

— Po podstawówce poszedł do gimnazjum, mknęto, gdy utworzono Bourne End. Następnie do Kolegium Metron w Oksfordzie, gdzie mię. A teraz będzie najlepsze! Jako student na temat: Chemia piętnastowiecznej ukończeniu studiów znów znikł, by pojawić się po i pół roku w 1974 jako nauczyciel w swej dawnej Kiedy ją zamknęto, przeniósł się do naszej W

roku awansowano go na kierownika gdy jego poprzednik zginął pod lawiną pod< wycieczki narciarskiej do Austrii. Nigdy się i I wszystko.

Fila wzięła od Tima wydruk i zauważyła:

był

jubi

lerem

metalami

Yolandowie.

od

jed

człowieka.

Yolan

któ-

rych
1665
1703
1914
Yoland

— Od początku do dziś każdy kolejny Yoland lub chemikiem.

— A więc zawsze był związany z chemią lub z szlachetnymi — dodał Tim. — Czyli z alchemią.

— To nie są kolejni

To ten sam Yoland

zarania. Każdy kolejny niemowlak przejmował duszę nego i tego samego

— Chcesz przez to powiedzieć — p o d s u n ę ł a Fila — że to dusza z odzysku, że nie ma kolejnych pokoleń dów, tylko jeden?

— Dokładnie tak — potwierdził Sebastian — a lata, w się pojawiają, nie są przypadkowe. W roku wielka

epidemia dżumy nawiedziła kraj. Koniec XVII wieku przyniósł wojnę ze Szkocją i wrzenie społeczne w Anglii. W

wydarzył się największy sztorm w dziejach, podczas którego zatonała połowa statków handlowych naszego kraju, wiele osób utonęło lub zostało zamordowanych przez rozbójników.

— Rozbójników? — zdziwił się Tim.

— Tych którzy przeczesywali plaże w poszukiwaniu szczątków statków — wyjaśnił Sebastian — najpierw ratowali rozbitków, a p o t e m ich mordowali, by przejąć ładunek. To były ciężkie czasy. W

— ciągnął — rozpoczęła się pierwsza wojna światowa. Zaś w 1939 druga.

— Nie chcesz chyba powiedzieć, że maczał palce

w tych wszystkich okropieństwach? — spytała z niedowierzaniem Fila.

— Nie — odparł Sebastian. — Musiałbym się budzić wówczas za każdym razem, a tak przecież nie było. Jakkolwiek to niezwykle zbieg okoliczności, że akurat wtedy się zjawiał.

— Czy nie budzisz się tylko wówczas, gdy pojawia się de Loudac? — spytał Tim. — Mówiłeś...



zło
przyczyną...
nie...?

— To w zasadzie prawda. Jednak każde wielkie może innie wybudzić.

— Więc Yoland wcale nie musi być

— zaczęła Fila.

— ...że obudziłeś się tym razem. — skończył Tim.

— Tak — odparł z zadumą Sebastian. — A

— Co robił Yoland za każdym razem, kiedy pojawia się na świecie? — zainteresował się Tim.

— Jak m n i e m a m — odparł Sebastian — prowadził badania, obserwował najgorsze ludzkie cechy i zachowania.

— I myślisz, że przybył teraz, by zrobić użytek z tej wiedzy?

Sebastian spojrział na Filę, Tima i znów na Filę.

— Moim zdaniem — powiedział powoli — Yoland od dawna przygotowywał się do tego, co zamierza teraz uczynić.

— ...to znaczy? — spytał Tim.

Sebastian nie odpowiedział.

Nazajutrz, kiedy opuszczali laboratorium chemiczne po porannym sprawdzeniu listy, Fila poczuła na karku dotyk czyjejs dłoni. Tępe, grube paznokcie przesunęły się po jej skórze. W u ł a m k u sekundy łańcuszek, na którym umocowany był wisiołek, zacisnął się na jej gardle i wbił w ciało.

— Zabieram tę błyskotkę — szepnął ktoś za jej plecami.

Mocnym szarpnięciem Scrotton zerwał łańcuszek. Fila poczuła, jak wisiołek odbija się od obojczyka. Nie zwalniając kroku, Scrotton szedł do drzwi na korytarz. Zwinął łańcuszek w dłoń i wsadził do kieszeni.

Tim i Sebastian szli przed nią w gromadzie uczniów zmierzających do wyjścia, nie mogli więc nic zrobić. Fila,

Fili

— **Bardzo**

od-

ką która podążała tuż za Scrottonem, rzuciła się na niego. Uderzyła go otwartą dłonią w ucho. Zachwiała się. Pr zamachu zarzuciło ją, zahaczyła torbą o stojak z probó kami przygotowanymi na kolejne zajęcia i zrzuciła go ziemię. Szkło się potłukło, zaś drewniany stojak rozpa na drobne kawałki.

Tim, Sebastian oraz pozostali uczniowie stanęli jak wryci i odwrócili się w jej stronę. Nikt nie odezwał się ani słowem. Zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

— I co? — powiedział groźnie Yoland, podchodząc do przepraszam, proszę pana — odezwała się nie

śmiało Fila, spuszczać wzrok.

— Widzę, że lekceważysz moją przemowę na początku semestru — zauważył zjadliwie Yoland.

Nachylił się i spojrział Fili prosto w oczy. Poczuła, że chce się dobrać do jej duszy, namacała więc w kieszeni pstrykawkę i nacisnęła blaszkę. Yoland m o m e n t a l n i e odwrócił wzrok, Fila poczuła, że jego wpływ słabnie.

— Ależ słuchałam pana uważnie. To był wypadek.

Fila wiedziała, że nie ma sensu mówić, jak było naprawdę. I tak uwierzyłby w wersję Scrottona, poza tym może Scrotton wykonywał tylko jego polecenie, kradnąc wisiołek. Całe zajście mogło być ukartowane.

— Wypadki nie zdarzają się ot, tak — cedził dalej Yoland. — Musi im w tym p o m ó c czyjaś bezmyślność. — Wyprostował się. — Za karę trafisz do kozy i napiszesz wypracowanie na 300 słów o znaczeniu bezpieczeństwa w laboratorium. Wedle regulaminu szkolnego możesz być karę po zajęciach lub podczas godzinnej przerwy na drugie śniadanie. Wybór należy do ciebie.

Zza drzwi Tim i Sebastian pokazali Fili, żeby wybrała drugi wariant.

uśmiechem

— Wolę przerwę, proszę pana — powiedziała Fila.

— Doskonale. Masz się tu stawić dokładnie o 12.30

nakazał jej Yoland. — Zjedz wcześniej.

— Scrotton ukradł mi wisiołek — poskarżyła się Fila, gdy tylko opuścili laboratorium. —

Chciałam go odzyskać, ale...

— Nie m a r t w się — powiedział Sebastian z bladym

— nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Nie uszło mojej uwagi, że Yoland często spędza

przerwę śniadaniową na zapleczu laboratorium chemicznego.

Odbywając karę, sprawdzisz, co on t a m robi.

— Ale klejnot należał do królowej Joanny — przypomniała sobie Fila.

— Głowa do góry — uspokoił ją Sebastian. — Wisiołek umie o sobie zadbać.

Przez całą przerwę przed p o ł u d n i e m Scrottona nie było nigdzie widać. Pojawił się dopiero

tuż przed lekcją matematyki. Zajął miejsce w ostatniej chwili przed przybyciem nauczycielki —

szorstkiej osoby noszącej tweedowe spódnice i ciężkie buciory.

Kiedy rozdawała uczniom zestawy zadań, Scrotton uśmiechnął się znacząco do Fili, która w zamian przesłała mu gniewne spojrzenie.

— Nie zwracaj na niego uwagi — poradził jej Sebastian po cichu. — Skup się na zadaniach.

Fila doszła do czwartego zadania, kiedy zaleciało jej spaleniżną. Rozejrzała się dookoła. Tim był zajęty pracą. Sebastian zauważył jej spojrzenie i skinął w stronę Scrottona zgarbionego nad ławką. Z tego, jak marszczy brwi i wystawia język, m o ż n a się było domyślić, że kiepsko mu idzie.

Fila zauważyła jakiś ruch w okolicy jego stóp. Przyjrzała się bacznie. Palił się lewy but Scrottona. Niewielkie pło-

górę

się

Wciąga-

śmiechu.

pali.

on

jej

wiem!

mienie lizwały krawędzie podeszwy i powoli pięły się w ku brzegowi spodni. Uczniowie zaczęli chichotać.

— Co się dzieje? — spytała nauczycielka, odwracając od tablicy, na której pisała odpowiedzi do zadań.

nęła powietrze nosem. — M a m wrażenie, że coś się pali.

— To Scrotton, proszę pani — powiedziała dziewczynka siedząca na końcu klasy, krztusząc się od

— Scrotton się

Płomienie zaczęły trawić mu spodnie, tymczasem rozpaczliwie starał się je zdusić. Przy każdym ruchu kłęby dymu wylatywały mu z rękawów marynarki.

Nie myśląc ani chwili, matematyczka złapała gaśnicę wiszącą nad biurkiem, wyrwała blokadę, skierowała dyszę na Scrottona i powiedziała głośno:

— Zamknij oczy i usta, chłopcze.

Ledwie Scrotton wykonał jej polecenie, zalał go strumień gęstej piany pod ciśnieniem, która spowiła go od stóp do głów.

— I po krzyku! — powiedziała nauczycielka, stojąc przed Scrottonem, gdy dym się rozwiął. — Jestem ciekawa, jak do tego doszło?

— Nie mam pojęcia, proszę pani — odparł opryskliwie Scrotton.

— A ja

— rzekła na to nauczycielka. — Papierosy.

Zapałki. Wiesz, co regulamin szkolny mówi o paleniu.

Scrotton spojrzał żałośnie na swoje stopy i wciąż tłący się but.

— W s t a n ! — nakazała Scrottonowi i zwróciła się do reszty klasy: — Siedźcie tu spokojnie i pracujcie. A tobą zajmie się dyrektor. — Po tych słowach wyprowadziła z klasy Scrottona i zamknęła za sobą drzwi. W klasie rozległy się przyciszone rozmowy.



stało?
szepnęła
znalazł
próbówki

— Jak to się

—

Fila.

— Oka nie wolno kraść jego prawowitemu właścicielowi

— wyjaśnił Sebastian. — A jeśli do tego dojdzie, klejnot mści się na złodzieju.

Nie podnosząc się z miejsca, Sebastian nachylił się i zaczął macać w pianie, która spłynęła ze Scrottona. Gdy wyprostował się, miał w dłoni wisiorek — wciąż przyczepiony do zerwanego łańcuszka.

— O d d a m go na naprawy — powiedziała Fila, gdy Sebastian przekazał jej zgubę.

— Nie ma takiej potrzeby — rzekł Sebastian.

Złapał dwa zerwane końce łańcuszka między palec wskazujący a kciuk. Gdy puścił, łańcuszek znów był cały.

Fila usiadła w ławce, a gdy Yoland zobaczył, że zaczęła pisać karne wypracowanie, udał się na zaplecze i zamknął

za sobą drzwi. Po kilku minutach Fila usłyszała cichy, a jednak wyraźny szum, który przypominał jej bzyczenie dobiegające z gniazda dzikich pszczół, które Tim w dziupli na skraju Rawne Ground. Gdy stanęła na szczeblu stołka, udało jej się zajrzeć na zaplecze przez wyciąg laboratoryjny.

Yoland stał przed skraplaczem, gromadząc parę unoszącą się z lśniącej, niebieskiej cieczy gotującej się w kolbie nad palnikiem bunsenowskim. W kolbie było coś jeszcze prócz płynu. Miała

wrażenie, że w parze latają maleńkie, czarne muszki. W pewnym momencie chemik za pomocą pipety zaczerpnął ze zlewki niewielką ilość przedestylowanej cieczy i wlał ją do z czerwonym proszkiem. Gdy oba składniki zmieszały się, ciecz zaczęła się

wstrząsnął
próbówką
ciem
naczy
k

pienić. Yoland lekko

i rozgrzał ją

palnikiem, by wylać otrzymaną ciecz w kolorze krwi płytkę Petriego.

Gdy Fila przesunęła się nieco w bok, zobaczyła, że stole za nią w srebrnym stojaku z zaciskaczem nad trójn znajduje się wielka retorta. Zobaczyła, że w retor poruszyło się coś czarnego, szamocząc się, jakby w było za ciasno. Od wewnątrz retorta była zamglona, jak zaszła parą. Przypomniały jej się okna klasy podstawów w deszczowe, chłodne dni. Raptem do ścianki retorty przylgnęło ...oko. Idealnie okrągłe, niczym ptasie, białe z czar jak węgiel żrenicą. Ale to jeszcze nic. Oko było obdarzo czymś w rodzaju inteligencji. Czują, że ją zauważyło. Wnętrze retorty ożyło. Do szkła przywarły pióra i sierść, jakby c starało się wydostać ze środka. Przez moment widzi dziób, szpiczaste ucho i jasnożółty szpon, podobny do rzęgo. Szybko usiadła na stołku i wzięła długopis w dłoń. Pośpiesznie napisała karne wypracowanie, wzięła głęboki oddech, by się uspokoić, podeszła do drzwi na zaplecze i nie zwracając uwagi na wywieszkę, zapukała. Weszła do środka, nie czekając na zaproszenie.

— Skończyłam, proszę pana — oznajmiła.

Yoland podskoczył, pośpiesznie umieścił probówkę w stojaku. Jednocześnie starał się zasłonić przed Filą płytkę Petriego. Nie zrobił jednak tego na tyle szybko, by dziewczynka nie zdążyła zauważyć, że na płytce znajduje się złoty magiczny klucz. Nad nim unosiło się kilka much, wielkości plujek, o połyskujących tułowach i przezroczystych skrzydłach. Na widok Fili, znikły w cieczy. Retorty nie było w zasięgu wzroku.

— Połóż pracę na półce — powiedział oschle Yoland

— i wyjdź stąd. Tu nie wolno przebywać uczniom.



mknęła
dopompowali

Fila, zadowolona, że może opuścić zaplecze i uwolnić się od towarzystwa Yolanda — stale miała w pamięci armię jego karaluchów — wyszła pośpiesznie i dokładnie zaza sobą drzwi.

Gdy napotkała Tima i Sebastiana, opowiedziała im o wszystkim, co widziała.

— Wiesz może, co on robił? — spytała Sebastiana.

— Nasycił klucz odpowiednimi właściwościami

— A więc — zauważył T i m — niebawem znacznie przedstawienie.

W głębi garażu stał stary rower górski pana Ledgera.

Ponieważ od dawna już na n i m nie jeździł, T i m spytał, czy mógłby go podarować

Sebastianowi. Tata się zgodził, więc Fila i Tim starli rdzę z obręczy kół, naoliwili łożyska oraz łańcuch,

opony i zawołali Sebastiana.

Jest twój

powiedział z satysfakcją Tim.

Mile zaskoczony Sebastian rzekł:

— Co za wspaniałomyślny gest. Nie wiem, co powiedzieć...

Odgłosy kroków zapowiedziały przybycie państwa Ledgerów.

— Więc okazuje się, że jednak nie masz roweru — zagała pani Ledger.

— Wygląda jak nowy — zauważył pan Ledger. — Spisaliście się na medal, bliźniaki. M a m nadzieję, że będzie ci się dobrze jeździło, Sebastianie.

— Dziękuję z głębi serca, proszę pana — powiedział

Sebastian. — Ma wdzięczność nie zna granic. Jeszcze nigdy nie byłem właścicielem tak wspaniałego środka lokomocji.

powiedział:

tr:

przejechał

Timem.

najmniejszego

Tim skrzywił się.

Pan Ledger uśmiechnął się i

— Nie nazywaj m n i e panem. Przecież nie jestem twoim nauczycielem. M ó w mi Steve.

— A mnie Sandra — dodała pani Ledger.

Tim i Fila spojrzeli po sobie. Sebastian promieniał r dością.

Jestem szczerze wzruszony tym, jak serdecznie tuje m n i e wasza rodzina oraz waszą hojnością wobec me skromnej osoby.

Tim znów się skrzywił i starał się wytłumaczyć, dlaczego Sebastian używa tak kwiecistego języka:

— On dużo czyta.

— Więc warto, byście brali z niego przykład, moi mili!

— powiedział pan Ledger. — Moglibyście czytać powieści zamiast „Rynku K o m p u t e r ó w ” czy „PC Puls”.

Kiedy p a n s t w o Ledger wrócili do d o m u , Tim z Sebastianem wybrali się na przejażdżkę. Początkowo Sebastian miał trochę problemów z utrzymaniem równowagi. Latem się raz r o w e r e m wyścigowym pana Ledgera, kiedy wraz z rodzeństwem udali się do Brampton na poszukiwania de Loudaca, ale było to jego jedyne doświadczenie z jednośladem. T a m t e n rower był leciutki w porównaniu z tym, górskim, teraz musiał korzystać ze wszystkich dwunastu przerzutek, by nadażyć za Kiedy następnego dnia po południu wracali na rowerach ze szkoły, Sebastian był już niezłym

rowerzystą. Nie przerażały go pojazdy nadjeżdżające z przeciwka: nawet ciężarówki ani białe furgonetki, które mijaly go w niewielkiej odległości, nie robiły na n i m wrażenia. Nie tracił równowagi na wybojach, przejeżdżał ostrożnie przez studzienki i kratki kanalizacyjne. Nauczył się także pochy-



jechać
luźno
mijali,
była
uma-
zmiażdżyły
wi
samochodów
uwaznie
rozszarpane
komnat
Sel
środku,
w
ja
pozazna
mi
wielko
ktoś

łać, biorąc zakręty. Udawało mu się nawet, choć niedługo, bez trzymanki.

Około kilometra za miastem natknęli się na Scrottona, zmierzającego do swej nory. Szedł szybko, ręce zwisały mu

wzdłuż tułowia, głowę pochylał do przodu.

Kiedy go

skrzywił się szyderczo do Fila i krzyknął

coś do niej niezrozumiale. Fila pomachała mu przyjaźnie i uśmiechnęła się. To jeszcze bardziej rozwścieczyło Scrottona. Podniósł z ziemi wyschnięty krowi placek i cisnął w jej stronę. Placek

poszybował niczym frisbee, n i m jednak doleciał do celu, Fila

już daleko, uderzył więc

w żywopłot.

Pokonali jeszcze jakieś półtora kilometra i dotarli do miejsca, gdzie od drogi odchodzi ścieżka, prowadząca do nory Scrottona. Nieopodal, na skraju asfaltu, leżały dwa martwe borsuki. Trawa wokół głów zwierząt była mokra od krwi, białe paski na ich pyszczkach także były nią zane, a głowy m o c n o poranione. Tylne łapy przejeżdżające samochody.

— Biedne borsuki — powiedziała, zmartwiona tym dokiem Fila.

— Te zwierzęta nie zginęły pod kołami

— zauważył Sebastian. — Przyjrzyjcie im się Tim obejrzał bliższe zwłoki. Zwierzę miało gardło.

Drzwi prowadzące do podziemnej

\

stały otworem. Dębowy stół, stojący na był książkami. Jedne były otwarte, inne pa kami kolorowego papieru. Miały różną

dorównywały

ilustrowanym

niętym

pomo

kałama

kwazary

rozmiarami

Biblii, inne

ks

zeczkom dla dzieci. Większość była oprawna w skórę.

Sebastian nie odezwał się ani nawet nie spojrzął, g Fila i Tim weszli do środka. Studiował księgę z pęk grzbietem, z okładek sypały się drobinki skóry które zbierały się na wypolerowanym blacie niczym kurz. Co jakiś czas notował coś na pergaminie za cą złotego pióra, które maczał w porcelanowym rzu.

Tim przeszedł obok regału z książkami. Na jednej z pół

ek zauważył trochę współczesnych pozycji. Wziął jedną Okazało się, że nosi tytuł: „Kwarki, i stan świat

ł a ". Autor był profesorem amerykańskiego uniwersytetu.

Na każdej stronie było tyle tekstu co i równań matematycznych.

— Rozumiesz to wszystko? — spytał Tim.

Sebastian uniósł tylko dłoń.

— Daj mi jeszcze chwilę, Tim — powiedział.

Fila przeszła na drugą stronę komnaty. Szkolna marynarka Sebastiana wisząca na haku dziwnie wyglądała tuż obok jego starej, ręcznie tkanej peleryny. Na łóżku leżały w nieładzie baranie skóry, pod którymi spał. Z poduszki sterczały ostre dudki gęsich piór, którymi była wypchana.

— Skończyłem — powiedział w końcu Sebastian.

— Przyłączcie się do mnie.

Fila i Tim usadowili się przy stole.

— Sytuacja wygląda tak — zaczął Sebastian. — Yoland pragnie szerzyć zło za pomocą skradzionych dusz. Chce dopiąć swego, wykorzystując czary z książki Gerberta d'Aurillaca, z pomocą Scrottona, a także jego... jak byście dziś powiedzieli, klonów.

— Po co to robi? — spytała Fila.

Malodora.

potężny...

Yolandem

jego

O

dzy...?

twarze

podsumował

rzekł

Si

bastian.

jeśli

uda?

nieśmiało

la

nim,

spo

rzał

drodzy

drod

barc

złożoni
o
I
okiełznam..

— Przypomnijcie sobie

Chciał stworzyć istotę, która wykona każde jego polecenie. Ostatecznie zbudowałby ich więcej i stał się

— ...gdymy nie zrobili z nim porządku! — wtrącił Tim.

— Z

— ciągnął Sebastian — jest w pewnym sensie podobnie, zamiast jednak tworzyć posłuszne sobie istoty, chce tak przekabacić ludzi, by byli mu bezgranicznie oddani i wykonywali każdy rozkaz.

—

co im chodzi? — zauważyła Fila. — Są żądni władzy

Zupełnie tego nie rozumiem.

— Czyż władza nie jest od zarania dziejów ambicją człowieka? — odparł Sebastian. — Za czasów mojego ojca monarchowie i arystokraci walczyli o władzę. Czyż współcześni prezydenci i politycy różnią się czymś od nich? Chodzi im o d u m ę czy chwałę, czasem bogactwo, jednak za tym wszystkim kryje się żądza władzy. Jednak w przypadku Yolanda to nie wszystko. Nie chodzi mu tylko o władzę, ale przede wszystkim chce szerzyć zło, na tej samej zasadzie, co ksiądz, który pragnie promować dobro.

Złociste światło świec padało z góry na ich

— A ty musisz pokrzyżować mu szyki —

Tim.

— Nie m o ż e m y dopuścić, by dopiął swego A

jednak mu się

spytała

Sebastian zamknął księgę, która leżała przed na Filę oraz Tima.

— Nie w o l n o n a m n a w e t tak myśleć, moi Po

n a d t o obawiam się, że nie zdołam stanąć mu na Zaklęcia, których zamierza użyć, są Izo

nad
zwyczaj skuteczne i niebezpieczne. Może się nie

⊕

dziecie

ra

zem

kusze...?

— Nie możesz się poddawać! Musisz przynajmniej spróbować — wybuchnęła Fila.

— Taki właśnie m a m zamiar — oznajmił stanowczo Sebastian — ale potrzebna mi pomoc. Są na tym świecie tylko dwie osoby, którym bezgranicznie ufam.

— Jasna sprawa — zapewniła Fila.

— Poprzednio też ci pomogliśmy — przypomniał Tim. —

I tym razem możesz na nas liczyć. Prawda, siostruniu?

— Oczywiście — potwierdziła Fila, jednak po plecach przeszedł jej dreszcz. Uświadomiła sobie, że właśnie zo bowiązała się wziąć udział w czymś, o czym bała się nawet pomyśleć.

— N i m m n i e wesprzecie, musicie się odpowiednio przygotować. Tym razem — zapewnił Sebastian — i wy b posiadać moc.

— Moc? — powtórzył jak echo Tim.

— Moc — potwierdził z powagą Sebastian. — Tym będziecie uzbrojonymi punitorami.

— Uzbrojeni? — ucieszył się Tim. — W miecze, tarcz i

— Niezupełnie — odparł Sebastian. — Wyposażyć was w nieco inną broń.

Rozdział jedenasty

Być

punitorem

wyjaśnił

Timem

im jest punitor? — spytała Fila.

— Słowo to pochodzi z łaciny —

Sebastian

— i określa osobę, która każe lub mści się za uczynione zło.

Sebastian zebrał ze stołu wszystkie książki i odłożył je na półki. Następnie postawił przed Filą i po wypolerowanym kielichu ze srebrną pokrywką. Naczynia pokrywały misterne runy. Zdjął pokrywki, które zadzwoniły o krawędzie niczym miniaturowe cymbałki.

— Zapewne znane jest w a m powiedzenie, że „kara powinna być sprawiedliwa” — ciągnął Sebastian. — Musicie o tym pamiętać — dodał. — Punitorzy nie tylko karzą, ale robią to sprawiedliwie. Bronią dobra przed złem.

Po tych słowach Sebastian wstał, podszedł do rzędu pó

łek skrytych w m r o k u i wziął kolbę o smukłej szyjce z korkiem z matowego szkła. Gdy wrócił, rodzeństwo zobaczyło w świetle świec, że naczynie zawiera ciemnoturkusową ciecz.

Sebastian ostrożnie nalał po odrobinie do obu kielichów.

Jak się domyślam — z niepokojem zauważyła Fila —

by zostać punitorami, m u s i m y to wypić?

— Bynajmniej — wyprowadził ją z błędu Sebastian. —

Macie tylko umoczyć wargi. Gdybyście połknęli miksturę...

tym...?
skalary.

Dzie.
— Jesteście

— Więc to trucizna? — zląkł się Tim.

— Niezupełnie — odparł wymijająco Sebastian.

— Co poza

— spytał Tim.

— Musicie mieć czyste serca — wyjawiał Sebastian — al oboje takie właśnie macie.

Timowi zaczęły się przypominać wszystkie występki, ja kie popełnił w życiu, zupełnie jakby leciały na telepromp terze w studiu telewizyjnym. Na przykład, jak wlał gin do akwarium stryjecznej babki Joanny i upił jej Na

przyjęciu z okazji siódmych urodzin rodzeństwa przywiązał warkocze Rebeki do oparcia krzesła. Innym znów razem zadzwonił do p u b u i powiedział, że zaparkowany przed n i m samochód o rejestracji R2D2 błyska światłami i wyje, o czym b a r m a n poinformował wszystkich klientów.

Za pierwsze dwa grzeszki tata pozbawił go kieszonkowego na dwa miesiące, a także zabrał piloty do telewizora i odtwarzacza DVD. Natomiast nikt nie dowiedział się, kto był a u t o r e m telefonicznego żartu.

Sebastian zaśmiał się pod nosem, gdyż domyślił się, co chodzi po głowie Timowi.

— Nie masz się czym martwić — powiedział. —

cięce psoty się nie liczą.

Następnie wziął pałeczkę z brązu i dotknął nią kielichów, które wydały przy tym dźwięk niczym maleńkie dzwoneczki.

gotowi — spytał — by uroczyście i szczerze oddać się walce w imię dobra?

— Tak — potwierdziło rodzeństwo jednym głosem.

Sebastian zaczął m a m r o t a ć coś po łacinie. Fila ani T i m nic z tego nie rozumieli, tylko czasami wyłapywali własne imiona i parę słów, których znaczenia mogli się domyślać: *justitia*, *diabolus*, *maligno*...

tylko
ścia-
wielka.

Po chwili Sebastian zamilkł i przesunął kielichy po blacie w ich stronę.

— Pamiętajcie — ostrzegł ich ponownie — macie umoczyć wargi. Nie oblizujcie ich. — Przy każdym kielichu położył kwadratowy skrawek ciemnozielonego jedwabiu.

— Wytrzyjcie nim usta do sucha.

Ostrożnie ujęli kielichy w dłonie. Gdy mikstura dotknę

ła warg, poczuli, jak pieni się na skórze, niczym oranżada w proszku.

— Przedziwne! — powiedział Tim, gdy otarł usta.

Sebastian wziął kielichy i chlusnął resztką cieczy na nę. Gdy płyn zderzył się z kamieniami, k o m

na tę rozświetliło jasne światło i kaskada pomarańczowych iskier spadła na podłogę.

— Fantastyczne! — zawołał Tim.

— Nie musimy wypowiedzieć słów jakiejś przysięgi?

— spytała Fila.

— To, że nie baliście się dotknąć mikstury, jest jednoznaczne z gwarancją waszej wierności —

wyjaśnił Sebastian.

— Więc już jesteśmy punitorami? — spytał Tim.

Sebastian kiwnął głową, zabrał jedwabne serwetki, umieścił je w glinianym naczyniu i zapalił.

Gwałtownie spłonęły, skrząc się i sycząc.

— Skąd mamy wiedzieć, jaką posiadamy moc? — spytała Fila. — Czy możemy to jakoś

wypróbować?

— Nie jest to konieczne — odparł Sebastian. — Wasza moc będzie objawiać się w zależności

od potrzeby. Gdy zetkniecie się z potężnym złem, wasza moc będzie. Gdy będziecie mieć do czynienia

z niegodziwością mniejszego formatu, odpowiednio słabsza będzie wasza moc, wystarczająca

jednak, by stawić czoła przeciwności. Musicie pamiętać o jednym: będziecie zwalczać zło, ale nie

bę-

☹
dziecie
przygotowa
łem
podał
śred-
Timie.
moc...

przed nim bezpieczni. Dlatego też dla was talizmany, ale one dadzą wam ochronę tylko w pewnym stopniu.

Sebastian

Fili i Timowi po cienkim krążku o nicy około dwóch centymetrów z dokładnie wypolerowanego drewna.

— To kawałki gałęzi jarzębiny — wyjaśnił. — Wycięto je z martwego drzewa, gdyż ścinając

żyjącą jarzębinę, można sprowadzić na siebie zło.

— Co mamy z nimi robić? — spytała Fila.

— Wystarczy obracać krążki w dłoni — wyjaśnił Sebastian. — Podczas tej czynności odpędzicie

wszelkie kręcące się w pobliżu zło. Zawsze miejcie przy sobie te talizmany. Rodzeństwo schowało

drewniane krążki do kieszeni.

Jak mamy się posługiwać naszą mocą? — spytał Tim

— Czy mamy coś zrobić, by ją uruchomić?

— Nie — odparł Sebastian. — Będzie przychodzić jak każda emocja. Przypomnijcie sobie, jak

się czuliście, gdy zobaczyliście dziewczynkę nękaną za infekcję skóry. Byliście zli na jej

prześladownicę, jej zaś współczuliście. Nie musieliście w żaden sposób uruchamiać tych emocji,

jak ująłeś to,

Pojawiły się naturalnie, jesteście bowiem dobrzy, a to, czego byliście świadkami, było złe. Tak samo będzie z mocą. Pojawi się w odpowiednich m o m e n t a c h , jest bowiem od teraz połączona z waszymi uczuciami.

— Moc będzie z n a m i ! — zakrzyknął Tim, wymachując uniesioną pięścią. — Mamy teraz

— Uspokój się, T i m — parsknęła zniecierpliwiona Fila.

— Nie wydurniaj się!

Singalla.

land.

jechali

zakomuniko

mają

spotkanie

Klubu

miało

Nadchodzący tydzień był wolny od zajęć. W piątek przed feriami zebrano wszystkich uczniów, by przed lekcjami wysłuchali doktora

Dyrektor zaczął swą przemowę od pochwalenia uczniów za świetne rozpoczęcie roku szkolnego.

— Można powiedzieć, że sezon piłkarski ruszył z wykopu — stwierdził zadowolony z własnego żartu s ł o w n e g o

— do tej pory nasza drużyna nie przegrała ani jednego meczu. Zespół uczniów z najmłodszych klas wygrał w biegach przełajowych pierwszy etap i zakwalifikował się do zawodów okręgowych. I niech w a m się nie wydaje, że tylko chłopcy celują w sporcie, z przyjemnością donoszę, że drużyna hokejowa dziewcząt z najstarszych klas odniosła zwycięstwo nad przeciwniczkami z żeńskiego gimnazjum Cap-P o t e m mówił o szkolnym przedstawieniu, dorocznym koncercie, remoncie pracowni do gotowania oraz o zbliżającym się wyjeździe uczniów, którzy w ramach wymiany do Niemiec w pierwszym tygodniu po feriach.

— Uczniom wyruszającym do Niemiec —

wał — będą towarzyszyli pan Staples i p a n n a Bates.

Na tę wieść po auli rozszedł się szmer, a paru uczniów nawet zagwizdało. Wrzawę szybko uciszył dyrektor. Tajemnicą poliszynela było to, że oboje nauczyciele się ku sobie.

— Na ich miejsce pojawi się dwoje zastępców — dodał

doktor Singall. — Lekcje niemieckiego pana Staplesa p o prowadzi p a n n a Brandeis, zaś p a n n ę Bates zastąpi pan Loudacre.

Po tych słowach uczniowie rozeszli się do klas.

Choć był piątek, Yoland zorganizował

A t o m u na przerwie śniadaniowej, ponieważ im

tablicy ogólnej atomowej.

przepaść spotkanie w poniedziałek po feriach, jako że w pierwszy dzień szkoły odbywało się szkolenie dla nauczycieli.

Fila, Tim i Sebastian pospiesznie zjedli kanapki i ruszyli do laboratorium chemicznego. Gdy weszli do środka, Scotton właśnie wieszał na wielki, kolorowy schemat. Następnie przystanął przy stole laboratoryjnym i rozejrzał się po sali.

— Arogancki świr — szepnął Tim. — Myśli, że jest człowiekiem.

— Raczej ma ł p o l u d e m — dodała cichutko Fila.

— Nie lekceważcie go — zwrócił im uwagę Sebastian.

— Jest u c h e m swego pana, nawet w tej chwili stara się podsłuchać naszą rozmowę.

— Sądzisz, że nas teraz słyszy? — spytała cicho Fila, jej głos przepadł w wrzawie.

— Całkiem możliwe — odparł Sebastian — na szczęście nie m ó w i m y nic szczególnego, poza tym Scottonowi nie starcza rozumu, by ogarnąć treść naszej rozmowy, co najwyżej może przekazać ją słowo w słowo s w e m u panu.

Otworzyły się drzwi na zaplecze i pojawił się Yoland ze wskaźnikiem laserowym.

— Dziś — zaczął — zajmiemy się energią jądrową.

— Włączył wskaźnik i przeniósł czerwony punkcik na schemat.

To rysunek elektrowni

Wygląda na

dość skomplikowany, jednak zasada działania jest bardzo prosta. Kontrolowana reakcja jądrowa powoduje powstanie ogromnego ciepła, które podnosi temperaturę wody w układzie zamkniętym. Zmienia się ona w parę wodną, która napędza olbrzymie turbiny zasilające wielkie generatory elektryczne. Istnieją różne rodzaje elektrowni atomowych, jednak wszystkie działają na tej samej zasadzie.

Paliwo wykorzystywane w reaktorze... — kolejny raz przemieścił p u n k t wskaźnika — ...to najczęściej uran 235.

kontrolo

paliwo

ga-

śro-

ciepło,

które

— Skoro układ jest zamknięty — spytał Sebastian — to w jaki sposób reakcja może być kontrolowana?

— Świetne pytanie, Gillette — zauważył Yoland. — By to zrozumieć, musisz wiedzieć, co się składa na ową reakcję.

Yoland oparł się łokciami o stół laboratoryjny.

— Podejdźcie tu do mnie. Scrottonie — polecił odwracając się w bok — proszę o drugi schemat.

Scrotton posłusznie powiesił kolejną tablicę, przykrywając pierwszą. Przedstawiała a t o m uranu.

Członkowie klubu podeszli bliżej. Fila i Tim namacali w kieszeniach pstrykawki.

— A t o m u r a n u — zaczął wyjaśniać Yoland — jest niestabilny. W określonych warunkach następuje jego rozkład. Nazywamy to rozszczepieniem. Gdy się dzieli, emituje cząstki. Zazwyczaj, gdy rozpada się atom uranu, jego jądro — a więc sam środek — tworzy jądro baru, jądro kryptonu i trzy wolne cząstki zwane n e u t r o n a m i . — Świat

łó lasera podzieliło na schemacie a t o m na dwie części i zakreśliło z jednej strony trzy drobne cząstki.

— Te n e u t r o n y — ciągnął Yoland, przenosząc wiązkę lasera, zderzają się z innymi a t o m a m i uranu i wprowadzają je w drgania. Wydziela się ciepło. Do kontrolowania tego procesu służą w reaktorze pręty sterownicze. Często zrobione są z grafitu, który pochłania część neutronów.

więc wkładając lub wyjmując owe pręty m o ż n a wać ilość wydzielającego się ciepła. Ponadto — uran — może być zanurzone w dwutlenku węgla — cie cięższym od powietrza — wodzie lub ciężkiej wodzie, by jeszcze bardziej spowolnić rozpad atomów. Takie dowisko — gaz lub ciecz — również przenosi powoduje powstanie pary.



d

pstrykawki

Yoland,

pierv

— Ciężka woda? — spytał jeden z członków klubu.

— Jest to woda — wyjaśnił Yoland — w której atomy wodoru zastąpiono d w o m a a t o m a m i deuteru. De ter to izotop wodoru.

Fila przyglądała się nauczycielowi. Spoglądał kolejno uczniów, przesywał ich wzrokiem, jakby się na czy koncentrował, na jego ustach igrał nikły uśmiezek. Fi i T i m trzymali

w dłoniach, gotowi bronić s

w każdej chwili.

— Jeszcze jedno — powiedział

n i m rozległ s

dzwonek na koniec przerwy — za dwa tygodnie, w szy piątek po feriach, zabieram wszystkich członków klub na wycieczkę. Zarezerwowałem już szkolny mikrobus i zwolniłem was z popołudniowych lekcji. — Wręczył

wszystkim uczniom po kopercie. — Poproście rodziców o podpisanie zgody na wycieczkę.

— A odkąd jedziemy? — spytał jeden z chłopców.

— Zorganizowałem w a m — powiedział Yoland z namaszczeniem, jak konferansjer w cyrku — wycieczkę z przewodnikiem po elektrowni jądrowej Jasper Point.

Wszyscy członkowie klubu, prócz trzech, bardzo się ucieszyli...

Kiedy rodzeństwo zeszło w poniedziałek na śniadanie, zobaczyli przed wozownią dużą biało-niebieską furgonetkę ekipy remontowej. Kliki mężczyzn wyjmowało z niej betoniarkę. Inni nosili worki cementu, narzędzia, cegły i rury.

— N o w a kanalizacja — wyjaśniła pani Ledger — a to znaczy, że oboje jedziecie ze mną do Exington.

plątać

spokój.

kupują-

stamtąd

spędziła

wyjechali

przedmieście

h

spytała

kategoryc

ze

il

ła

Fila i Tim spojrzeli na siebie z niepokojem. Nie tak wyobrażali sobie ferie.

— Będziemy grzeczni, m a m o — nalegała Fila. — Nie będziemy się robotnikom pod nogami ani im przeszkadzać.

M a m a była nieugięta.

— Tata m u s i przygotować scenariusz do zdjęć w przyszłym tygodniu i nie życzy sobie, by ktokolwiek zakłócał

mu

Wystarczy, że ma na głowie ekipę remontową

— dodała mama, gdy tymczasem jeden z robotników uruchomił przed d o m e m betoniarkę.

Silnik ruszył z łoskotem.

— Obiecujemy — błagała Fila.

— Za dwadzieścia m i n u t przy samochodzie — poleciła niewzruszona pani Ledger.

Kiedy dotarli do miasteczka, na High Street handel odbywał się już pełną parą, na chodnikach roilo się od cych. Pani Ledger nie mogła znaleźć miejsca do zaparkowania, była więc z m u s z o n a wjechać na ostatni poziom parkingu wielokondygnacyjnego, którego nie cierpiała za to

— o czym nie omieszkła powiedzieć siedem razy, gdy pięli się w górę — że od jeżdżenia po spirali kręci jej się w głowie.

Przez kolejną godzinę rodzeństwo chodziło za mamą krok w krok, od apteki do papierniczego, do księgarni i wreszcie do sklepu z tkaninami, gdzie pani Ledger co najmniej dwadzieścia minut, grzebiąc w stosach próbek zasłon. Ranek dobiegał końca, gdy z miasteczka, by udać się do supermarketu na ia<

— Możemy poczekać w samochodzie? —

Fila.

— Jestem zmęczona.

— Wykluczone! — odparła pani Ledger z nością doskonale znaną rodzeństwu. — Idziecie po zakupy. Tim, przywieź duży wózek.

skierowała działu

W pierwszej kolejności pani Ledger się

z owocami i warzywami, na końcu którego znaj dowало się stoisko z kwiatami. Stojąca przy nim staruszka przyglądała się bukietom lilii tygrysich i gałązkom liliowych orchidei o woskowatych płatkach.

Zaaferowana kwieciem nie zauważyła młodzieńca w pogniecionej, pochlapanej błotem skórzanej kurtce, który kręcił się w pobliżu. Miał dwadzieścia kilka lat, nosił znoszone dzinsy, b r u d n e tenisówki i bluzę sportową. Luźna kurtka zapięta na zamek była o kilka n u m e r ó w za duża, ale ściągacz ściśle przywierał do talii.

— Alarm! Kieszonkowiec! — szepnął do siostry Tim.

Kiedy staruszka wyciągnęła rękę po bukiet kwiatów, młodzieniec błyskawicznie sięgnął do jej torby stojącej na sklepowym wózku. W mgnieniu oka jej p o r t m o n e t k a znalazła się w jego rękę. Już miał ją włożyć do kieszeni, gdy zorientował się, że Fila i T i m wszystko widzieli. Upuścił więc p o r t m o n e t k ę na ziemię i kopnął pod wózek staruszki.

Następnie chwycił kobietę za łokieć, by zwrócić na siebie uwagę, schylił się i podniósł p o r t m o n e t k ę ze słowami:

— Wybacz pani, czy to nie pani zguba?

Gdy staruszka podziękowała mu wylewnie, młodzieniec oddalił się jak niepyszny.

— Co za gnida! — wycedziła Fila. — Gdybyśmy go nie zauważyli...

Kilka m i n u t zajęło im znalezienie mamy. Filę i Tima okropnie denerwowało to, że nie poruszała się po supermarkecie między kolejnymi rzędami półek, a wedle tego, co miała napisane na liście zakupów, którą dzieliła na kategorie. Mięso i ryby spisywała razem, bo należały do produktów głównych, choć lada z rybami znajdowała się na jednym końcu sklepu, zaś dział mięsny na drugim. Znaleźli ją przy pieczywie.

— Jeśli
drogeryjnym

podłódze

koloń-

Lim

sygnał

czwartej.

zbesztala

zauw

zyła

bezpieczno

]

glo

Prz

al

to

tu,

dod

a

owo

omfort

lu

ni

zapiął

art

ii

iron

simy

Tim

obuzeit

al

— Niebawem kończę — powiedziała na pocieszenie, gdy podeszli.

chcecie, m o ż e m y się spotkać przy kasach.

Gdy się od niej oddalili, znów się natknęli na młodzieńca w skórzanej kurtce. Grasował w dziale przed

półką z kosmetykami dla mężczyzn. Na stał koszyk z produktami spożywczymi. Tim obserwował, jak mę

żczyzna zdejmuje z półki buteleczkę drogiej wody skiej, przygląda się etykietce, a następnie chowa ją za pazuchę, przekonany, że nikt go nie widzi.

Fila ruszyła przed siebie, a za nią podążył

Zaczekaj

T i m dał siostrze dyskretny

g ł o w ą .

— Złodziejaszek znów w akcji n a godzinie

— Za dużo grasz w gry wojenne —

go I da,

spojrzała jednak w kierunku mężczyzny coś chowa pod kurtkę.

Rodzeństwo ruszyło za nim w

odl<

u

gdy poszedł dalej z koszykiem w ręku.

\

to tam, wkładał różne rzeczy do koszyka, ale zwinął pół litra whisky i litr likieru Southern Włożył je pod kurtkę i przesunął na bok, by pojawiło się wybrzuszenie. W końcu I

pud

szycę i poszedł do kasy.

— Myślisz, że mają tu sklepowego detektywi albo kogoś takiego? — spytała Fila. — Mu ku| wiadomić.

— Ani mi się waż! — ostudził jej zapal zadanie dla punitorów.

Fila popatrzyła na brata. Dostrzegła w jego oczach.

— Pierwsza próba MP — dodał Tim.

— MP?

— Mocy punitorów! — odparł Tim.

niej.

kurtka...!

— Sebastian mówił, że moc się pojawi, gdy będzie potrzebna — zauważyła Fila. — Nic nie poczułam, kiedy ten facio chwycił p o r t m o n e t k ę .

— Może to zdarzyło się za szybko — zauważył Tim.

— Może to musi trwać dłużej, by moc się uaktywniła.

Młodzieniec stanął w kolejce. Kiedy nadeszła jego kolej, postawił koszyk na półce i zaczął wypakowywać jego zawartość na taśmę. Fila i Tim ustawili się w sąsiedniej kolejce i obserwowali go.

— Nie m o ż e m y tak beczynnie stać — powiedziała Fila.

— Widzisz jego kurtkę? — spytał Tim. — Skoncentruj się na

— M a m się skoncentrować? Jego

— Nie gadaj, tylko działaj, siostrzyczko!

Tim przymknął oczy. Wyglądał, jakby się modlił.

Młodzieniec schylił się, by położyć pusty koszyk na stosie innych pod półką przy kasie. Tim usłyszał, jak w trakcie tej czynności zaczyna odpinać mu się suwak.

— Ale ubaw — szepnął do Fili.

Mężczyzna nie wyprostował się. Tim widział, jak walczy z suwakiem, usiłując go zapiąć. Ale nie dawał rady. Przerwał i suwak zjechał jeszcze bardziej na dół. Chwycił go z całej siły, pot zaczął mu się perlić na czole. M i m o to suwak nie dawał się zapiąć, gdy tylko go puścił, ruszył w stronę talii.

— Nic panu nie jest? — spytała kasjerka, a wszyscy klienci zainteresowali się dziwnie zachowującym się mężczyzną.

Młodzieniec wpadł w panikę. Walczył z zamkiem coraz zajadlej, nie potrafił go jednak powstrzymać. W końcu suwak dotarł na dół i kurtka się rozpięła, a na podłogę wypadły skradzione rzeczy. Butelka whisky roztrzaskała się,

stroboskopowe

wyc

Spo

ochroniarzy,

Złapali

zawołał

Tim,

któ

pojaw

ła

ła

korn

iszona

nim

odezwał

pani

di

ołówki

noży

ki

klejącej,

kieszonko

wy

zainteresowała

sie

przyło

ła

klana

Raymond

Lull

oddalonej

Sebasti

aż odskoczyli klienci w pobliżu. Światło nad kasą zaczęło błyskać, a alarm pod sufitem wśród rzędów półek nadbiegło dwóch złodzieja i wyprowadzili go na zaplecze.

Więc tak to jest być punitorem! —
rego rozsadzała d u m a .

©

Pani Ledger zapukała do pokoju Tima i u,
cąż kanapek z peklowaną wołowiną i szklankami oraz butelką lemoniady.

— Obsługa hotelowa — zażartowała.

— Dzięki, m a m o — rzekł Tim, a zaraz za się uprzejmie Sebastian:

— Nad wyraz pani uprzejma, pani Ledger.

— Sandra, pamiętasz? — obruszyła się I

— Lizus

szepnął Tim z uśmiechem.

Na podłodze leżały mapy, wydruki, rolka taśmy
linijki, ekierki,

||| ul I

tor i kompas.

— Co wy kombinujecie? —

ger.

— Planujemy ferie — odparła ogólnikowo P |||

Kiedy m a m a wyszła z pokoju, Fila linijkę Sebastiana na linii: Rawne Barton, fort na kościół
Świętego Benedykta i Blessed Brampton — inny kościół w wiosce o u

metry oraz starożytny most nad rzeką na odcinku kiego traktu. Tim dołożył swoją linijkę, zaś
kolejne. Linia kończyła się na cypelku nieopodal I
rybackiej Cockleton.

⊕

1210

mostw”.

Przez chwilę Tim przyglądał się mapie i powiedział:

— Kiedy ją wydrukowano?

Fila zadarła róg mapy, przestudiowała dolny margine i odparła:

— W 1966.

Tim wskazał na cypelek. Obok niego, na morzu, wi niała wyraźnie nadrukowana nazwa: Jasper Point.

— Myślę — powiedział — że od tamtej pory trochę się t a m zmieniło.

Tim wstał z podłogi i omijając m a p ę podszedł do komputera. Wszedł na stronę przedsiębiorstwa Brytyjskich Sieci Elektroenergetycznych.

— „Elektrownia jądrowa Jasper Point — czytał, a na monitorze pojawiały się kolejne informacje i zdjęcia — to nowoczesny, chłodzony gazem, reaktor uruchomiony w 1976 roku. W Jasper Point są w zasadzie dwa reaktory, a każdy z nich przy pełnej mocy produkuje megaw a t ó w prądu, co wystarcza na potrzeby około miliona do

To bardzo dużo energii — skonkludował Tim.

— To bardzo dużo energii — powtórzyła w zamyśleniu Fila — ale jakie znaczenie ma to dla Yolanda?

Rozdział
dwunasty

Próba

sił

niewiele

zd

pi

l

nie

sie

tam

l

dnal

gar

wi

orku

il
pokarmu

wie

lor

przepadł

gdzie

dy

podzie

podej

and

metodologi

nasuwaj

mi

il

Nie

stworza

ze

ma

ze

w

ględ

wartość

ni

ryczną.

nie

na

fil

li

zujący

z

la

Fila, Tim i Sebastian uznali, że przez pierwsze dni ferii. Fila kilka razy lula na rowerze obok domu Yolanda, nie działa, tylko szklarz kończył mocować w okienko. Tim dwukrotnie zjechał na złamani!

na

rowerze górskim przez las ze wzgórza, gdzie i Scrotton. Napotkał tylko szukające i bażanty. Natomiast Sebastian dzień, by pojawić się dopiero wieczorem.

Sebastian wezwał Filę i Tima do swej Inaty w środę wieczorem.

— Nie mam pewności, jakie działanie

— oznajmił. — Nie jestem obeznany z

||t|

cia magicznych kluczy. Niemniej jednak pewne wnioski. Pierwszy dotyczy złotych nobliów podejrzewam, by wykorzystywał je do cznych kluczy. Dlatego też domyślam się, przeznaczenie. To bardzo cenne monety, kruszec, z którego są zrobione, ale także i In

Żaden inny metal tak wyśmienicie li

do wzbudzania chciwości jak złoto. Podejrzewa nety w magicznych kluczach stanowią element ludzi lub odwracający ich uwagę od I

Yoland.

mocy...

— Jednego

— Też się nad tym wszystkim zastanawiałem — przyznał Tim. — Jednym z celów Yolanda jest szerzenie zła.

Zgadza się?

— W rzeczy samej — potwierdził Sebastian.

— A czym jest zło? — ciągnął Tim.

— Zło to nikczemność — wyjaśnił Sebastian — moc, przeciwstawiająca się dobru.

— No właśnie — podchwycił Tim. — Moc. A czym jest elektryczność, jak nie formą mocy? Tak

więc mówiąc po twojemu, jak to drzewiej bywało, tu leży pies pogrzebany.

Fila zmarszczyła brwi i obruszyła się:

— Ale z ciebie mądraliński... — powiedziała i zamilkła.

— Dotarło, siostruniu? — spytał Tim. — Do czego służy elektrownia jądrowa? Wytwarza energię, rozsyła ją krajową siecią wysokiego napięcia do wszystkich budynków w Wielkiej Brytanii.

— W dawnych czasach — wtrącił Sebastian — podobna siła biegła liniami łączącymi miejsca

— ...ale teraz — ciągnął Tim — biegnie miedzianymi przewodami do wszystkich gniazdek w

kraju. Jeśli Yoland dopnie swego, wszystkie kontakty staną się wrotami zła.

Włączasz do prądu toster i co się dzieje?

— Ustrojstwo emanuje złem — p o d s u m o w a ł a Fila głosem zduszonym ze strachu.

tylko nie rozumiem — powiedział Tim. — Po co szerzyć zło? Co Yoland będzie z tego miał?

— Nie czerpie korzyści z samego zła — wyjaśnił Sebastian — jednak jego działanie prowadzi do anarchii i załamania się prawa. Wystarczy szerzyć zło, a nie tylko rozpowszechni się niegodziwość, ale także nastąpi upadek moralny, a tym samym kres społeczeństwa. Yolandowi uda



władzę

już

wel-

bez

nagłówkami

lewej

ca-

pokrowiec

ma

ki

chropow

ki

kołowrot

oo

kil

ki

przypominającą

Kurtki

du

poddaw

się, wykradając liczne dusze, przejąc nad wieloma tysiącami, a może nawet milionami ludzi.

— Więc Yoland chce zawładnąć światem! — zawołał

Tim. — To zadanie dla Bojownika w Pelerynie!

— Z całym szacunkiem — obruszyła się Fila. — To nie druga część Spidermana. Czas byś się obudził, przetarł

oczy i poczuł aromat kawy.

— Spiderman nie nosi peleryny — poprawił ją Tim.

— Wszystko jedno — odparowała Fila.

— Jestem pewny — zauważył Sebastian — że Tim się przebudził — wciągnął powietrze n o s e m — ale nie czuję a r o m a t u kawy.

Świt w czwartkowy rano wstał chłodny i bezchmurny.

Niebo było błękitne, a słońce ostre, choć nie dające ciepła.

Jeden z pierwszych przymrozków skrzył się szronem na trawie, niczym brokat.

Tim wyszedł z d o m u o ósmej. Miał na sobie ciemnozieloną wywatowaną kurtkę na ryby, kalosze i długie niane skarpety wyściełane gazetami — nauczył się tego od dziadka. Jak dziś słyszał głos dziadka Ledgera: N i e powodu bezdomni śpią pod wczorajszymi z prasy. Warstwy papieru zatrzymują ciepło. W

Tim niósł stary wojskowy, płócienny po przeciwgazowej, zaś w prawej granatową,

||

dkę z włókna szklanego wyposażoną w I

m e t r ó w czarnej żyłki o wytrzymałości dwóch i gumową przynętę traskę.

nasiąkała rybim śluzem i krwią, które nie staraniom mamy, by je usunąć.

rozlewisko półtorakilo-

Gdy Tim dotarł do brzegu, ruszył niespiesznie w górę rzeki, wypatrując w wodzie srebrnych błysków, które zdradzałyby obecność ławic ryb rozpędzanych przez szczupaka, a właśnie tę rybę chciał złowić.

Za starym m o s t e m prąd stworzył głębokie o ciemnej wodzie przy kamiennym pomoście. Jeśli na tym odcinku rzeki jest jakiś szczupak wart złapania, pomyślał

Tim, to na pewno czai się gdzieś tutaj. Położył torbę na brzegu, ustawił się przodem w górę n u r t

u i zarzucił przynętę z prądem, po czym nawijał powoli żyłkę, by ogon gumowego trytona kołysał się z boku na bok, jak u żywego.

Przy czwartym zarzuceniu, dostrzegł około gramowego szczupaka, który odpłynął do przynęty, sprawdził ją, odpłynął i schwytał marudera wlokącego się za ławicą płotek. Potem szybko przeciął rzekę i skrył się wśród korzeni wierzby chylącej się nad wodą na drugim brzegu.

Szczupak na razie zaspokoił głód, więc Tim przyciągnął przynętę i siedząc na brzegu, zdjął ją ze stalowego przy-ponu. Schował do pudełka z przynętami i sprawdził, czym jeszcze dysponuje. Wybrał srebrno-zieloną, cętkowaną błystkę.

Nie było teraz sensu zasadzać się na tego szczupaka.

Tim nie miał ochoty wywabiać go spośród korzeni drzewa, bał się, że żyłka może się przy tym zaplątać. Oparł się więc wygodnie, zatknął wędkę między kamienie p o m o s t u . Choć jego kurtka była porządnie wywatowana, czuł że kamień jest szorstki i zimny.

Po drugiej stronie rzeki, za drzewami na tle porannego nieba wznosiła się surowa i ciemna wklęsła ściana kamieni o ł o m u okolona krzakami. Tim zauważył, że coś się po niej wdrapuje. W pierwszej chwili myślał, że ktoś się wspi-

łowił
oraz
kamień
kolejny

u

miej
szybko

l
ta
uży

za
nieba

u

na po linie. Latem, kiedy
ryby na muchę, kilka razy

widział alpinistów, którzy wchodzili na skały. Ta postać wyglądała jednak inaczej. Alpiści poruszali się płynnie, w ich ruchach widać było ostrożność. Ta postać natomiast ruszała się nerwowo, ręce i nogi wystawiała na boki, kolana i łokcie miała zgięte pod kątem prostym.

Zaciekawiony Tim położył wędkę na trawie, znalazł

bród, przeszedł na drugi brzeg i ruszył wśród kamieni krzaków. Powoli zbliżał się do kamieniołomu.

Przykucnął za głazem i przyjrzał się skale. W pierwszej chwili nie dostrzegł niczego szczególnego prócz sokoła spacerującego z gracją na skraju półki skalnej. Po chwili sokół poderwał się do lotu, wzniósł się w powietrze na prądzie wstępującym i znikł gdzieś za szczytem kamieniołomu.

Nieopodal miejsca, gdzie przed chwilą siedział ptak, pojawiła się postać. Ubrana w ciemnobrązowe ubranie, zdawała się przywierać do ściany każdym centymetrem ciała.

Raptem przesunęła się w bok po urwistej skale. Nerwowe ruchy przypominała Timowi nietoperza.

Dopiero po chwili dotarło do niego, na co patrzy.

To był Scotton.

Po chwili, ku przerażeniu Tima, spośród luźnych ni leżących u podnóża kamieniołomu pojawił się Scotton i zaczął gramolić się w górę, by dołączyć do wszego. Zmaterializował się też trzeci i ruszył po w I u

stawiając stopy i kładąc ręce w tych samych poprzedni dwaj.

Tim, kuląc się, ruszył w stronę rzeki tak

>I

tylko pozwalały mu kalosze. Na nic się to jedli d Zostało m u dwadzieścia m e t r ó w do wody, gdy sobą szelest zarośli. Kiedy obejrzał się trzech Scottonów biegnących wśród I

idu,

drapały

czo

n.

n,

woc

tacz

■

■

nie

prześladowców.

ręce

wys

T

n
nie
nie
wymam-
r
pryskując
l
ownowagi
S
ma
głó
-ogbr
ej
yd
uburt
eidoali
sqrb
włosy
we
się
.nwgri.
nie
B
.mT
sem
Teu
.przeqzie.
na

stona
zwiercają
nie
Tim,
ryby.
stopami,
dzie
ga
staszte
szczęście
był.
niamy
gazetami.
eiekarpety
pokony-
zaczaj
wody
flo
je
się
ochoty
miały
nie
kajwryte,
kamień

zao kręglony
i kłaki,
prześladowców.
za-
pew
fawedo
igu Drugi
jed-
na
Zerknał
zepy.
eżone
ostroznie
wody,
szedł
wy-
sie
zaczai
Tim
e. in mienie.
palców
czuł
nie
e. i r a w i e
- m a m -
zardzierął
a nie

wymam-
jak
żółte
wyszczepione
Bełko-
drugi.
—dowiedział
stę-
ją
rozbrajskując
od-
zaczę-
równowagi
ćwicze
Scroton
trzeci
łakował
zaplątane
rzeki,
dole
ązierpy.

by je odgar-

-

sobie trudu, by je odgar-
włosy i

i

im się we włosy i drapały
agi.

-

na nie uwagi.

/

nosem Tim.

edzie. Ten odbił

pos

fidbo

na **przedzie**. Ten odbił

nie zwracając

-

Bosy Tim, nie zwracając

;ie pod stopami,

boq

gałęzie pod stopami,

pyłu. Szczęście

tumany pyłu. Szczęście

gazetami.

red

skarpety **gazetami.**

i zaczął pokony-

fleg

i

do wody i zaczął pokony-

tuż pod jej po-

S

-oq

boq im

riopdujących się tuż pod jej po-

miały ochoty

nar

wryte, nie miały ochoty

Tin

:raślony kamień

S

zaokrąglony kamień

rioywe w swych prześladowców.

wał w brew i za-

i

w

oberwał w brew i za-

Zerknął na jed-

zęby. Zerknął na jed-

wody, ostrożnie

do

ob

wszedł do wody, ostrożnie zaczął się wy-Tim zaczął się wy-

czuł palców

a je

Prawie nie czuł palców

wia

erał —

—

nie **zadzierał** —

bione żółte jak

na

wyszczerbione żółte jak

z ja

iał drugi

ł

. Bełko

.

-

-

powiedział drugi. Bełko-był

ją sto-

—

wody, **rozpryskując** ją sto-zaczął

ma

stracić **równowagi** zaczął

i Scotton — od-

-bo —

trzeci Scotton — od-

rzeki, zaplątane

wp;

w ;ieś w dole rzeki, **zaplątane wierzby.**

trzeci.

odpływa.

posłużyć

może

pi

zyda

oło-

Odpiął

guzil

leszeni
namac

Gha!

gardła

rota

na

odgłos

chi

no! — zwrócił

się

do

kopi

l

hloptaś

rzeczy!

rz

ucil

w

l

wi

yl

l

wii

na

krawęd

zbliżają

veh
eroi

— Wiele łez, wiele żalu, zgrzytanie zębami jutro wieczorem w Rawne Barton — przewidywał drugi.

— Kopanie dołu i m a m r o t a n e modlitwy — dodał

Tim rozglądał się gorączkowo za czymś, co mogłoby mu posłużyć za broń. Prąd niósł w jego kierunku gruby konar.

— Nic z tego! — zawołał pierwszy Scotton. Sięgnął do wody po okazały kamień, przyłożył go do szyi niby miotacz kulą. — Mówiłem ci, że jestem orłem z WF-u — zarechotał, w jego gardle zarzęziło, jakby zebrała się t a m flegma.

Scotton rzucił z obrotu kamieniem. Trafił w środek konaru, który pękł na dwoje. Plusk wody zmienił jego tor.

Tim obserwował bezsilnie, jak konar Scottony pochyliły się i ruszyły przez wodę gęsiego, ręce zwisały im swobodnie, zanurzone w wodzie dłonie wyszukiwały kamienie.

Tim obejrzał się za siebie i zastanawiał się, czy dotrze do swego sprzętu wędkarskiego, nim Scotton go dopadnie. Gdyby mu się udało, wędka może za broń,

a jeśli mieliby stoczyć walkę wręcz, **s i ę**

wiana pałka do głuszenia ryb.

Nagle coś zaświtało mu w głowie.

I
na piersi koszuli, włożył do środka dłoń **i a l** krążek
z jarzębiny. Wyjął go i zaczął nim obracać.

Gha!

wydobyło się z

był charczący, coś pomiędzy śmiechem a (kaniem.

Patrzcie,

swych

ma jarzębinowy krążek! Wielkie mi Scrotton schylił się, podniósł kamyczek i **mm**

ma. Trafił w dłoń. Palce odruchowo się u

\

wpadł do wody i zaczął kręcić się w I

głównego n u r t u . Tim, nie bacząc na K<

coś?!!

innego...

tonów, rzucił się za zgubą, potykając się o kamienie na dnie. Fale, które wzburzył, zniosły go jeszcze dalej. Scrotton również starał się złapać krążek, ale Tim go ubiegł

i znów szybko obracał palcami talizman.

Scrottony zatrzymały się w pół kroku i spojrzały po sobie z osłupieniem. Właściwy Scrotton stał hardo, z zamkniętymi oczami, Tim domyślał się, że stara się przewalczyć moc krążka.

Tim stopniowo się wycofywał. Scrotton nawet nie próbował go gonić. Na dystans trzymała go moc jarzębinowego krążka. Tim nie spuszczał ze Scrottona oczu.

W o d a zaczęła przyskać, gdy dwa Scrottony gramoliły się na brzeg rzeki, by po chwili zniknąć wśród głązów.

Prawdziwy Scrotton też się odwrócił i poszedł ich śladem.

Od strony kamieniołomu pojawiły się cztery kobiety na koniach. Jedna z nich pomachała do Tima i zawołała: Złowiłeś

Tim odmachnął, schował jarzębinowy krążek do kieszeni, którą zapiał na guziki.

Jeszcze nie! — zawołał.

Amazonki dotarły do gęstej kępy młodej leszczyny i pojechały ścieżką wśród krzewów. Tim widział przez gałęzie ich sylwetki, n i m jednak dotarły na drugą stronę zarośli, ich kontury rozmyły się i znikły. Tętent kopyt umilkł, jak n o ż e m uciał.

— Jeśli nie te amazonki mnie uratowały — powiedział

Tim do siebie na głos — to cóż

Tim postanowił nie szukać swoich kaloszy, wspiał się po brzegu, zebrał sprzęt wędkarski i ruszył do d o m u . Kiedy obejrzał się za siebie, zobaczył Scrottona gramolącego się w górę po skale.

Zostawał za nim mokry ślad.

ścianie

— Tam,

kam

len

wzrokiem

niotom
— odparła

dwó

h

oznajmił

im

rzeką

ostatniej

Sebastian

wiesz...?

w

ni

na

z

pieczę

odparł

wymijają

Seba

nie

l

l

opu

wdrapują

na

ni

po

l

motylu

odezwał

się Seba

łoi

Nie

potrafi

razu

si

Kiedy Tim zjawił się w Rawne Barton, Fila siedziała u siebie w pokoju. Wstąpił na chwilę do gabinetu taty po lornetkę, zajrzał do pokoju Fili i powiedział zdawkowo:

— Chodź na słówko, siostruniu. Szybko! I od dziś m ó w do mnie: Mistrzu.

Tim zaprowadził Filę i Sebastiana na poddasze. Przykucnął przy starym oknie w szczytowej domu, napluł

na szybę, by rozpuścić brud, przetarł ją chustką.

— Spójrzcie! — powiedział, manipulując ostrością w lornetce, którą przekazał Sebastianowi.

w

io

łomie. Co widzisz?

Sebastian nie widział nic, póki Tim mu nie pokazał, jak się nastawia ostrość. Szybko przecesał kamie

i przekazał lornetkę Fili.

— Scrotton! — zawołała.

— Przyjrzyj się, siostrzyczko.

Więcej niż jeden!

Fila. — Wid/ę

Jest ich co najmniej trzech —

I

Mu

siałem im wszystkim stawić czoła nad W chwili uratował mnie jarzębinowy krążek i

— Białogłowy na koniach? — rzucił

— Skąd

— zaczął Tim.

— Kiedy nie ma mnie z wami, to

ale

nie m a m was pod swą

o

tian.

— Co knują te Scrottony? — zastanawiała ciwszy lornetkę.

— Schodzą p o ścianie i

s i ę

dział Tim.

— No, dobra, ale po co?

Pomyślcie o
dopiero co opuścił poczwarkę.
od

skrzydłami,

O
Po-

się do lotu. Musi odczekać chwilę, poruszając by jego naczynia wypełniły się krwią, by ciało
nabrało nowego kształtu. Rozprostowuje nogi, rozkłada czułki, rozwija trąbkę, porusza brzuchem...

— Czy chcesz przez to powiedzieć — rzekła zdumiona Fila — że to świeżo wyklute Scrottony?

— Można to tak ująć — potwierdził Sebastian.

— Skąd one się biorą? — zamyślił się Tim.

— Później, gdy będzie to bezpieczne, pokażę w a m —
obiecał Sebastian.

czwartej po południu, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, wyszli z d o m u , przemierzili
Rawne Ground, przeszli w bród rzekę i skierowali się ku kamieniołomowi.

Tim miał na nogach stare trampki.

Sebastian zatrzymał się przed luźnymi kamieniami, które przez lata odrywały się od ściany
kamieniołomu.

wiedział rodzeństwu, by trzymali się od niego w odległości kilku kroków i rozpoczął wspinaczkę
po wzniesieniu, aż do miejsca, gdzie zaczynała się lita skała. Nagle zaczął

wyciągać kamienie z rumowiska i rzucać je za siebie. Przez kilka m i n u t grzebał nachylony. W
końcu się wyprostował.

— Chodźcie — powiedział do Fili i Tima.

Podeszli. Wśród łupka i kamieni zauważyli coś, co w pierwszej chwili wydawało im się
niewielkim zgniecion y m plastikowym workiem na śmieci.

— Co to? — spytał Tim.

— Pociągnę dalej moje porównanie do przepoczwarczającego się motyla — powiedział
Sebastian. — O t o skorupka poczwarki, z której wyłoniła się kopia Scrottona.

— Wolne żarty! — obruszył się Tim.

Sebastian nic nie powiedział, ale jego spojrzenie było bardzo wymowne.

P

Rozdział
trzynasty

zła

ierwszego

biolo-



powiedział:

najintensywniejsze

otworzył

miejsca.

Lou-

odważniej

Powiew

dnia po feriach Scrotton stał na początku rzędu uczniów czekających przed pracownią giczną.

Choć jego ubranie było jak zwykle pomięte i niechlujne, wyglądało na znacznie czystsze. Nie odzywał

się do nikogo, wzrok wbił w podłogę.

— Czy to ten prawdziwy, poczciwy Scrotton, którego znamy i uwielbiamy? — Tim szepnął do

Fili.

Sebastian, który go usłyszał, pokręcił głową i

— To jedna z kopii. Ubranie jest czyste, bo dopiero co się wykuł.

— Niczym motyl — podchwyciła Fila. — Kolory tych owadów są po opuszczeniu poczwarki.

Drzwi do pracowni

krótkowłose, dwudziestokilkuletni, przystojny mężczyzna w niebieskiej marynarce, spodniach khaki, białej koszuli i krawacie z wyszytym herbem uniwersytetu. Jego zamszowe buty były dokładnie wyczyszczone.

— Wchodźcie — zaprosił ich do klasy — i zajmujcie swoje

Ucniowie weszli gęsiego i rozeszli się do ławek.

— Nazywam się — odezwał się nauczyciel — David dacre, będę przez ten tydzień zastępował p
a n n ę Bates.

— Dziwaczne nazwisko — zauważył jeden z

-

szych chłopców, chcąc wypróbować nowego nauczyciela,

znajdowały

szkielet

zaczęli

który wnioskuje z wieku i wyglądu, był świeżo po studiach.

Pan Loudacre nie odpowiedział na zaczepkę od razu, ale twarz mu stężała i spojrzał złowrogo na beczelnego ucznia oczami zwężonymi do szparek.

— A ty jak masz na nazwisko? — spytał po dłuższej pauzie, w jego głosie pobrzmiwała złość.

— Newbould, proszę pana — wymamrotał pod nosem śmiałek i skulił się na krześle, udając że szuka czegoś w torbie.

— Ustalmy to na samym początku — zaczął pan Loudacre, omiatając klasę wzrokiem. — Nie zyczę tu sobie chamstwa, beczelności ani wyglupów. A teraz — powiedział, biorąc plik kserokopi — p a n n a Bates przygotowała dla was ćwiczenie, które będę nadzorował. Obiektem naszych badań będzie szkielet ptaka. — Odwrócił się i otworzył drzwi szafy.

Wewnątrz

się liczne szkielety zwierząt podtrzymywane na drucianych stelażach. — Ty — wskazał Scrottona. — Czyń honory, chłopcze, wyjmij szkielet kurczaka.

Scrotton bez słowa podszedł do szafy, ostrożnie wyjął i postawił na biurku nauczyciela.

— Dziękuję — powiedział pan Loudacre, odwracając preparat bokiem do klasy. P o t e m znów zwrócił się do Scrottona. — Rozdaj wszystkim te kopie.

Scrotton wziął plik kartek ze szkicami szkieletu kurczaka i zaczął je rozdawać.

— Będę pokazywał poszczególne kości na tym modelu

— wyjaśnił pan Loudacre — a wy zaznaczycie je na swoich schematach.

Wszyscy

szukać ołówków i linijek.

— Zapewne zauważyliście — ciągnął nauczyciel — że ptasie kości są niezwykle cienkie. Chodzi o to, by jak naj-

Willis,
O
muesli
odwijając
odchodzi.

bardziej zmniejszyć wagę i zwiększyć elastyczność, co jest konieczne do lotu. Gdyby ptaki były zbudowane jak Bruce nigdy nie oderwałyby się od ziemi.

Roześmiał się, zadowolony z własnego żartu, wyjął

z kieszeni długopis i zaczął pokazywać kolejne kości, nazwy niektórych z nich zapisywał na tablicy zielonym markerem. Przez trzydzieści minut uczniowie opisywali szkielet. Kiedy skończyli, pan Loudacre zaczął dyktować informacje o funkcjach ważniejszych kości, zwrócił też uwagę na to, że im kość jest większa, tym więcej mięśni jest do niej przyczepionych. Na koniec zebrał opisane przez uczniów schematy, znów wyręczając się Scrottonem, i na tym skończyła się lekcja. Pan Loudacre stanął przy drzwiach, by odprowadzić uczniów wzrokiem.

— Co o tym myślisz? — spytał Tim, gdy znaleźli się na boisku.

— Wyznaczył Scrottona — zauważył Sebastian.

— I kazał mu czynić honory — dodał Tim. — Co w a m to przypomina? Widzieliście, jak

spojrzał na Newboullda?

Gdyby tylko wzrok mógł zabijać... — Przejechał palcem wskazującym po gardle.

— P o n a d t o — ciągnął Sebastian — jest biologiem, jego domeną jest nauka o życiu.

— No i to nazwisko — dorzucił Tim.

—
czym wy mówicie? — spytała Fila, wyjmując z kieszeni batonik z i
go z papierka.

— Nic cię nie zdziwiło, siostruniu? — spytał Tim.

Fila spojrzała zakłopotana.

— Niby co takiego?

— Ten facet, który zastępuje pannę Bates.

— Nie. Co w tym dziwnego? Zastępców jest tyle, co ON
na pikniku. Jeden przychodzi, drugi

O
Boże!
dac.
Co!?
Dlaczego?
Ty...
Swary
myśli

— Rusz głową, siostrzyczko.

Fila wzruszyła ramionami i włożyła batonik między zę-
by.

— Pomyśl, jak się nazywa — naciskał Tim. — Pan Loudacre. Pan David Loudacre, Pan D.

Loudacre.

Fila, jakby zapomniała, że ma w ustach batonik. Zamarła i minęło dobre piętnaście sekund nim
uniosła rękę i wyjęła batonik spomiędzy zębów.

—
mój

— wyszeptała przerażona. — To de Lou-To Malodor!

— Nie powiedział ci tego wisiorek? — zdziwił się Tim.

Fila spojrzała na niego jak niepyszna i powiedziała:

— Nie m a m go na sobie.

—
— oburzył się Tim. —

Po co go dostałaś?

— Bałam się, że Scotton znów go będzie próbował
ukraść. Należał przecież do królowej Joanny — dodała na swą obronę.

— Nic m n i e nie obchodzi, czy był własnością samej Kleopatry czy królowej Saby.

— nic tu nie pomogą — wtrącił Sebastian. — Co się stało, to się nie odstanie.

— Na p e w n o nas poznał — powiedział Tim.

— Pewnie tak — rzekł Sebastian. — Nie ma to jednak znaczenia, gdyż nie podejrzewa, że my rozpoznaliśmy jego, tym samym nie czuje się zagrożony. Jeśli o m n i e chodzi

— Sebastian popatrzył po sobie od stóp do głów i przejechał ręką po włosach, które urosły co najmniej o centymetr od postrzyżyn i m o c n o sterczały — prawie wcale nie przyp o m i n a m swej dawnej fizjonomii.

— Zamknij się! — zawołał Tim.

— Ani mi się

— odparł Sebastian.

zapropoNOWAŁA pójściem Klubu I,

— Czy m o ż e m y wrócić na Ziemię? —

Fila, odzyskując panowanie nad sobą. — Musimy się dowiedzieć, czemu się tu zjawiał i co knuje.

Dotarli do najdalszego zakątka boiska i skierowali się w stronę kasztanowca. Większość liści już opadła, bez trudu więc sprawdzili, że Scrotton nie czai się wśród gałęzi pod postacią choćby wrednego gawrona.

— Wydaje mi się to jasne jak słońce — zaczął Sebastian — że Loudacre, Loudac czy Malodor, jak zwał, tak zwał, pomaga Yolandowi w tworzeniu kopii Scrottona. Czas pokaże, jaką jeszcze rolę odegra w szerzeniu zła.

Tuż przed

do d o m u , członkowie

A t o m u

zebrali się w laboratorium chemicznym nr by wysłuchać,

co ma do powiedzenia Yoland.

— W piątek, zapewne nie m u s z ę w a m o tym przypominać — obwieścił — wybieramy się na wycieczkę do Jasper Point. Mikrobus odjeżdża spod szkoły w południe. Weźcie ze sobą drugie śniadanie, które skonsumujecie w drodze.

Możecie zabrać szkolne torby, ale podczas wycieczki m u s i c i e je zostawić w mikrobusie. Nie zabierajcie ze sobą nic cennego. Aparaty fotograficzne zostawcie w d o m u . Ze względów bezpieczeństwa, fotografowanie jest zabronione na terenie Jasper Point. Nie zapomnijcie o długopisach.

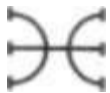
Drzwi do laboratorium się otworzyły.

— Jak pewnie wiecie jeszcze ze szkoły podstawowej, każdej wycieczce szkolnej m u s i i towarzyszyć co najmniej dwóch dorosłych opiekunów...

Członkowie Klubu obejrzeliby się za siebie. Tim, Fila i Sebastian nie musieli, bo doskonale wiedzieli, kto się zjawiał.

Loudacre podszedł do stołu laboratoryjnego i stanął

obok Yolanda.



czwartej.

— W tym tygodniu, gdy odbywa się międzyszkolna wymiana z Niemcami brakuje nam nauczycieli — zakomunikował Yoland — ale pan Loudacre jest tak miły, że zgodził się pojechać z nami.

Yoland uśmiechnął się do Loudacre'a i zwrócił się do uczniów:

— Nie muszę chyba mówić, jak macie się zachowywać.

Nie tylko będziecie reprezentować naszą szkołę, ale także znajdziecie się na niebezpiecznym terenie. Musicie pilnie wykonywać wszystkie polecenia. Nie oddalajcie się od grupy i słuchajcie pracowników Jasper Point, którzy nie tylko będą dbali o wasze bezpieczeństwo, ale także podzielią się z wami fascynującymi informacjami. Do ich zanotowania posłużą specjalne arkusze. Na terenie elektrowni będziemy przebywać około dwóch godzin, więc powinniśmy być z p o w r o t e m około

Powiadomcie o tym rodziców.

Szkolne autobusy nie odjadą, póki nie wrócimy. Jakies pytania? Świetnie, jesteście wolni. Zapewniam, że czeka was dzień pełen wrażeń.

Gdy wychodzili z laboratorium, Tim szepnął pod nosem:

— To tak samo pewne, jak to, że wielkie tygrysy mają wielkie pasy.

Rozdział
czternasty

Jedną
szkolnej
uśmiechał
Malodorem.
tyłu?!

nogą w grobie

Biały mikrobus stał przy bramie, na jego boku widniały nazwa i herb szkoły. Yoland siadł za kierownicą, o jego fotel oparta była dyplomarka, którą Fila widziała poprzednio pod biurkiem w gabinecie.

Loudacre stał przy drzwiach do autobusu i odhaczał na liście wsiadających uczniów. Do wszystkich się miło i zagadywał serdecznie.

Gdy Fila przechodziła obok niego, wyczuła w oń zepsutego soku jabłkowego w kartonie i skwaśniałego mleka.

Zrobiło jej się trochę niedobrze, nie widziała jednak czy od zapachu unoszącego się wokół nauczyciela, czy od własnego strachu. Wcale nie uśmiechała jej się podróż jednym m i k r o b u s e m z

— Masz na sobie wisiołek królowej Joanny? — Tim spytał półgłosem Filę.

— A po co? — odparła. — Wszyscy wiemy, gdzie czai się zło. Wibrowałby jak szalony przez cały dzień niczym pszczoła, która wpadła za kołnierz.

— Vespa latająca wspaniale — dodał Sebastian.

— Co takiego? — zdumiał się Tim. — Skuter jeżdżący do

— Vespa — wyjaśnił markotnie Sebastian, bo nikt nie zrozumiał jego żartu — to po łacinie osa.

O

Fila, Sebastian i Tim usiedli w środku pojazdu. Loudacre zajął miejsce przy drzwiach, zaś Scrotton przy wyjściu awaryjnym z tyłu. Na siedzeniach w przedostatnim rzędzie leżała wielka, granatowa torba z uszami z nazwą firmy

— czołowego producenta sprzętu sportowego.

— Przepraszam pana — Tim spytał Loudacre'a z udawaną naiwnością. — Co jest w tej torbie?

Loudacre spojrział, jakby widział ją pierwszy raz w życiu i odparł:

— Nie m a m pojęcia. Pewnie zostawili ją ci, którzy poprzednio korzystali z mikrobusu. ile mi wiadomo, była to drużyna piłkarzy z jedenastej klasy, wczoraj po południu.

— Akurat! — szepnął Tim do Sebastiana. — Sierżancik z drużyny miałby zapomnieć o sprzęcie? Mało prawdopodobne...

Yoland zapalił silnik i z rury wydechowej uniosły się kłęby dymu.

— Czy wszyscy zapięli pasy? — zawołał Yoland.

Loudacre przeszedł się po mikrobusie niczym stewardesa sprawdzająca pasażerów przed startem i potwierdził, że wszyscy są przypięci. Zazgrzytała skrzynia biegów i pojazd ruszył.

Jechali szybko głównymi drogami w kierunku wybrzeża i wkrótce ujrzeli na horyzoncie pięć sześciennych budynków pomalowanych na szaro, w kierunku których biegły przez krajobraz słupy wysokiego napięcia.

— Wyglądają jakby maszerowały: stalowa armia w natarciu — zauważyła Fila.

Mówiąc, spojrzała na twarz Loudacre'a. Na jego wargach pojawił się nikły uśmiezek.

Yoland zwolnił i skręcił w lewo z głównej drogi. Na rogu stał niewielki drogowskaz do Cockleton i znacznie większy

Energetyk

budy

ni

szą

nam

ni

potężnych

ię
to
prze
ciwnym

pubem

tu

jechał

lat

rybackiego

wybu

ja

d

y

mi

trza

niec

hi

wzrokien

l

ni

be

po

dot

na

na

kierun

warkną

stało

dwa

l

l

al

kamizel

l

uloodporn

z napisem: Krajowe Przedsiębiorstwo I l > I
rownia Jądrowa Jasper Point: 10 kilometrów.

— 10 kilometrów! — zawołała Fila. — Te być olbrzymie. Myślałam, że zostało **do**

h II l

wyżej półtora kilometra.

Niebawem wjechali do wioski Cockleton. Yoland I zjechać na bok, by przepuścić siedem wek
 Eskortowanych przez policję, zmierzających w kierunku.

— Odpady radioaktywne — stwierdził Tim.

Większość domów, niektóre kryte strzechą, stało przodem do drogi. Były aż po okna obryzgane
 błotem. Pożółkłe krzewy w ogrodach pokrywała gruba warstwa pyłu. Szyld nad aż prosił się o
 odmalowanie, a słoma na dachu w miejscu, gdzie zawadzały przejeżdżające ciężarówki była w
 strzępach.

— To musiała być piękna wioska, nim **z b u d o w a l i** elektrownię — zauważył Tim, gdy a u t o
 b u s n a d b r z e

żem, które niegdyś było zapewne malownicze. **O d j e d**

nak niszczało, walał się przy nim kadłub kutra zakopany do połowy w mule, obrośnięty I
 nami.

Gdy wyjechali z wioski, Loudacre wychylił **s i ę I n t e l a** i zaczął rozmawiać ze Scrottonem.
 Sebastian **n i b y** cy trącił T i m a w ramię i wskazał mu tową. T i m spojrzał w tamtą stronę i pod **f o**
 t e l e m stopą kostki Fili. I ona zerknęła w tym samym

Zawartość torby ruszała się.

Scrotton przyłapał spojrzenie Tima i

— Czego się gapisz?

Energicznie kopnął torbę.

Przy bramie n a teren elektrowni i czterech policjantów ubranych w

zakonotował
zakomunikował.

i uzbrojonych — Tim

to z entuzjazmem

— w pistolety maszynowe MP5.

— Najlepsza broń antyterrorystyczna na świecie — zachwycił się Tim, niczym miłośnik

militariów podczas międzynarodowych targów broni.

Strażnicy sprawdzili przepustkę Yolanda, sterowana elektronicznie b r a m a otworzyła się i mikrobus skierował się na parking, gdzie zajął miejsce dla gości. Loudacre otworzył drzwi pojazdu, gdy pojawił się mężczyzna ubrany w biały kombinezon i jaskrawożółty kask.

— Dzień dobry — powitał ich serdecznie. — Witamy w Jasper Point. Podejdźcie, proszę, do mnie. Nauczyciele też.

Wszyscy wyszli z mikrobusu i otoczyli przybysza.

— Nazywam się Clayton, będę waszym przewodnikiem

—

— Nasza wycieczka potrwa około półtorej godziny. N i m wyruszamy w drogę, warto, by każdy z was przypiął sobie taki drobiazg do ubrania. — Wyjął

z kieszeni garść plastikowych plakietek. — To — wyjaśnił

— dozymetry. Pokażą promieniowanie, na jakie byliście wystawieni. Gdy zwiedzanie dobiegnie końca, powinny wykazać, że nie przyjęliście żadnej dawki promieniowania.

Wbrew powszechnej opinii, Jasper Point to niezwykle bezpieczne miejsce. Proszę za mną.

Kiedy ruszyli, przewodnik zauważył, że Yolanda niesie ze sobą aktówkę.

— Wybacz pan — powiedział — obawiam się, że musi pan to zostawić w recepcji.

— M a m tu tylko kserokopie z ćwiczeniami dla uczniów

— wyjaśnił Yolanda. Otworzył aktówkę, by przewodnik mógł do niej zajrzeć.

Clayton zerknął do środka.

re
ep

Zyjemy

wyjął

— M i m o wszystko, m u s i ją pan zostawić w

||

— stwierdził. — Takie obowiązują tu zasady.

w mało pewnych czasach.

— No właśnie! — szepnął pod n o s e m Tim.

Yolanda

plik kartek spiętych spinaczem i zwrócił

się do Scottona:

— Rozdaj je, proszę.

Sebastian zauważył, że gdy przekazywał plik Scottonowi, wyjął z teczki niewielką wyściełaną kopertę i wsunął

ją do kieszeni. P o t e m przekazał teczkę recepcjoniście.

— Wziął klucze — Sebastian poinformował Filę i Tima.

Kiwnęli porozumiewawczo głowami.

Gdy Scotton rozdał kserokopie, wycieczka wkroczyła do pierwszego budynku. Wszyscy kolejno podpisali się na monitorze k o m p u t e r a za pomocą pióra świetlnego, otrzymali identyfikatory dla gości oraz niebieskie kaski.

— Szkoda mi następnego gościa, który dostanie utyt

łany b r u d e m i tłuszczem kask, w i a d o m o p o k i m — rzuci
ła Fila.

Po dopełnieniu formalności ruszyli długim korytarzem, po suficie którego biegły różnokolorowe ruty i kable. Kiedy szli, przewodnik opowiadał im o elektrowni.

— Jasper Point — mówił — to elektrownia jądrowa AGR, czyli z udoskonalonym reaktorem z chłodzeniem gazowym. Właściwie to m a m y tu dwa reaktory, A i B. Ten drugi jest obecnie zamknięty, gdyż odbywa się jego konserwacja, dlatego też odwiedzimy reaktor A. Każdy z reaktorów wytwarza energię, która wystarczyłaby do zapalenia ponad dziesięciu milionów żarówek. —

Otworzył drzwi prowadzące do długiego łącznika. — Chodźcie za mną.

— Jaki gaz jest wykorzystywany w tym reaktorze?

— spytał Tim.

— Jest
obojętny.
jest
pełni
miejsca.

— Dwutlenek węgla — padła odpowiedź.

cięższy

od powietrza i stosunkowo

A więc nie

palny

ani wybuchowy.

— A jaką t e m p e r a t u r ę ma gaz w reaktorze, proszę pana?

— zapytał Sebastian.

— Około 460° Celsjusza — odparł Clayton — czyli ponad cztery i pół raza więcej od temperatury wrzenia wody.

— Jak się domyślam, gaz jest pod wielkim ciśnieniem

— ciągnął Sebastian.

— Faktycznie — potwierdził Clayton. Przeciągnął kartą przez czytnik na ścianie i otworzyła się śluza powietrzna.

— To serce Jasper Point.

Tim i Fila wiedzieli, co Sebastianowi chodzi po głowie.

Rozwój alchemii powstrzymywały trudności z osiągnięciem niezwykle wysokiej temperatury i ciśnienia. A oto w tym samym miejscu znalazło się jedno i drugie — podobnie jak dwaj stojący po stronie zła alchemicy.

Uczniowie przeszli przez śluzę powietrzną, by znaleźć się na balkonie, o szklanej podłodze. W dole trzech mężczyzn siedziało przy szerokim pulpicie sterowniczym pełnym m o n i t o r ó w komputerowych, ekranów telewizji przemysłowej, liczników i przełączników.

— To centralny p u n k t sterowania — wyjaśnił pan Clayton. — Prawie wszystkie czynności są w zautomatyzowane i wykonywane z tego A teraz chodźmy

do samego reaktora.

Pokonali krótkie przejście. Przez okna widać było plątaninę rur i przewodów, biegnących przy ścianie sąsiedniego budynku. Ze spójń niektórych rur unosiły się smugi pary.

Przewodnik poprowadził ich w górę wysokimi metalowymi schodami, które prowadziły do budynku przepastnego niczym hangar.

Wnętrze

pomie

Znajduj

nogi.

wypole

przypominając

vi

h

ol

— Jest

kapsule

czter

|

uczniów

W tej

|

twarza

grupą

|

ich,

al

pl
nie
si
File
przewo

dnia
Świeże

pręty
nia.

— Tu mieści się reaktor A — oznajmił Clayton ukrywaną dumą.

Weszli za nim do środka.

oświetlały halogenowe lampy zwisające pod u l u .

najmniej pięćdziesiąt m e t r ó w nad ziemią.

— Gdzie jest reaktor? — spytał ktoś.

— Dobrze pytanie — podchwycił Clayton. —

się tuż pod waszymi stopami. Stoicie na nim.

Wszyscy spojrzeli ze zdumieniem pod Na podłogę składała się mozaika metalowych, rowanych płyt o średnicy około metra pokrywy studzienek.

— Reaktor ma ponad dziesięć metrów wys< I I wa

ponad 2000 ton — tłumaczył przewodnik.

czony w żelbetonowej

o grubości

rów.

— Działa teraz? — spytał jeden z

— Oczywiście — odparł Clayton. —

właśnie ponad 800 megawatów prądu Yoland i Loudacre trzymali się z tyłu za Scotton stał obok. Tim obserwował

glądało na to, że słuchają przewodnika i on I
gę na Claytona. Kiedy znów spojrzął w Scotton gdzieś znikł.

Szturchnął
i Sebastiana.

— Widzicie gdzie Scottona?

Rozejrzeli się i wzruszyli ramionami.

— To gdzie się podział?

— Paliwo jądrowe — ciągnął
długich prętów lub sztabek.

do reaktora, zaś zużyte usuwane, za

sterowniczego — ciągnął

usuwane...

przywieźli

wyjął

buty...!

zauważył

przypominały

parchate

mówił

Wskazał na wysoką, pomalowaną na żółto wieżę, złożoną z metalowych dźwigarów. Jeden bok składał się z platform rozmieszczonych w równych odstępach, na które prowadziły drabiny. Cała konstrukcja przypominała Timowi nieco trampolinę stojącą przy basenie o wymiarach olimpijskich. Wznosiła się prawie pod sufit.

— Pod każdą płytą pod waszymi stopami znajduje się pręt paliwa jądrowego oraz pręt przewodnik, odwracając się plecami do wieży. — Zużyte są Fila dostrzegła kącikiem oka jakiś ruch za wieżą. Loudacre odłączył się od grupy i ostrożnie otwierał stalowe drzwi ewakuacyjne na końcu hali, oglądając się przy tym przez ramię.

Wskazując w jego kierunku brodą, dziewczynka wyszeptała:

— Zaczyna się.

Gdy drzwi uchyliły się nieco szerzej, do środka wszedł

Scotton, ciągnąc za sobą torbę, którą mikrobusem. Loudacre zamknął drzwi. Scotton
pospiesznie otworzył torbę, z której Loudacre kilka zakorkowanych

probówek. Ich zawartość wrzucił do torby. Boki torby zaczęły gwałtownie drgać i ponad
dwadzieścia maleńkich Scottonów, niewiele większych od niemowląt, wyskoczy

ło z niej niczym wyrzucone przez sprężynę.

— Więc to takie

— zawołał Tim.

— De Loudac nie próżnował —

Sebastian.

Scrottony rosły w oczach. Po kilku sekundach osiągnęły rozmiary oryginału, z tą jednak różnicą, że były zupełnie nagie. Ich kosmate ciała mały cierpiące na świerzb.

W tym momencie Clayton, który coś do Yolanda

i uczniów, zauważył przybyszów.

metalową

— Co tu się, do diabła, dzieje? — zdumiał się i sięgnął

po krótkofalówkę, którą miał przy pasku.

Uczniowie odwrócili się. Po drugiej stronie hali stały Scrottony, a na ich czele ten prawdziwy.

Na chwilę zapadła cisza, nikt się nie odzywał, słysząc było tylko szum maszyn. Potem rozległ się pisk dziewczynki. Pozostałe uczennice też zaczęły wrzeszczeć. Chłopcy stali bezradni. Nie wiedząc, co robić, patrzyli z nadzieją w stronę nauczycieli, na próżno jednak oczekując od nich pomocy.

Ledwie Clayton zdołał wydukać choćby słowo, Yolanda upuścił coś na

podłogę tuż przed nim. Przedmiot zadzwonił i błysnął w silnym świetle halogenów.

Przewodnik, zapominając o krótkofalówce, schylił się, podniósł oburącz przedmiot i uniósł go do oczu, zafrapowany niczym dziecko, które znalazło coś ciekawego.

— To jedna ze starych monet — powiedział Tim.

— Tak jak podejrzewałem — oznajmił Sebastian — służą do odciągania uwagi i pozbawiania woli tych, którzy sprzeciwiają się Yolandowi. Złoto fascynuje człowieka. W pewnym sensie też może wykradać ludziom dusze, sam się o tym przekonałeś, gdy nie mogłeś się uwolnić od monety.

Scrottony, wszystkie tej samej wielkości, identyczne w swej kudłatej nagości, wbiegały w podskokach coraz wyżej, z platformy na platformę wieży służącej do uzupełniania paliwa. Inne wspinały się po rurach na ścianie, a jeszcze inne ganiały się po podłodze na czworakach, bawiąc się w dziwnego berka. Te z wieży przeskakiwały na ściany, wydając z siebie dzikie wrzaski. Na ekranach telewizji przemysłowej w hali można było obserwować ich wybryki.

— Co one robią? — zastanawiała się Fila.

— Odciągają uwagę — wyjaśnił Sebastian.

Filu!

Timem

Najszybciej

jeśli...?

— Jeśli

— Od czego? — spytał Tim.

Wtedy Fila spytała:

— Gdzie jest Loudacre?

Rozejrzeli się dookoła. Nigdzie nie było go widać.

— Idę o zakład, że zmierza do c e n t r u m sterowania

— domyślał się Sebastian. —

Idź za nim. My z

zajmiemy się Scrottonami i Yolandem.

— Trzeba dać im wycisk! — zawołał Tim.

Scrotton wydał charczący skowyt, zupełnie jak pawian.

Kopie Scrottona zeszyły na dół z wieży i ścian. Kilkanaście ustawiło się wianuszkami wokół swego pierwowzoru, kierując twarze na zewnątrz. Obnażyły zębiska i skrzywiły się jak psy chore na wściekliznę. Prawdziwy Scrotton stanął

obok nauczyciela. Jego kopie zaczęły zaganiać w róg członków Klubu Atomu, szturchając ich przy tym i warcząc.

Dziewczynki kurczowo trzymały się jedna drugiej. Kilka płakało, inne przyłączyły się do chłopców, którzy atakowali kopie, zmuszając je do cofania się.

Fila zwróciła się do chłopca o imieniu Den:

— Zabierz stąd wszystkich.

jak możesz. Wyprowadź ich z budynku. Nie zwracaj uwagi na Scrottona.

— Którego? — spytał skonsternowany Den.

— Na wszystkich — odparła Fila. — Zwłaszcza na tego ubranego. I nie słuchaj nauczycieli.

— Ale... — zaczął Den.

— Żadnych ale! — ucięła Fila. — Bez głupich pytań.

Rób, co każę.

Den nadal się wahał, wciąż osłupiały.

— A

— zaczął.

— Daj spokój! — wrzasnął Tim.

— Wyjdźcie tą samą drogą, którą tu weszliśmy — rzekła Fila.

spotkasz kogoś, powiedz mu...

powietr
ze.

Ostonił
twarz
dłońmi

Oberwał

Reszta zdania u t o n ę ł a w ogłuszającym dzwonieniu alarmu. Światła stroboskopowe umieszczone w górze zaczęły błyskać.

— Ale gdzie... — zaczął Den.

Wyprowadź ich! — wydarła się Fila, której skończyła się już cierpliwość.

Pobiegła do drzwi, którymi tu weszli i otworzyła je.

W połowie schodów dostrzegła schodzącego Loudacre'a.

Nie namyślając się wiele, ruszyła za nim. Członkowie Klubu A t o m u poszli jej śladem pod przewodnictwem Dena.

Pośrodku podłogi reaktora stał Yoland ze wzniesionymi rękoma. Scrotton zdjął ze ściany długie narzędzie z wypolerowanej stali. Jeden koniec wyglądał jak klucz francuski.

— Ale przypał! — Tim zawołał do Sebastiana. — To musi być narzędzie do...

Nie musiał kończyć, bo Scrotton przyłożył końcówkę z kluczem francuskim do wypustki w panelu podłogi, obrócił, dźwignął i przeniósł pokrywę na bok. Z wnętrza reaktora zaczął się z rykiem ulatniać gaz. Płyta poleciała przez całą halę i rozbiła się o ścianę. Po drodze trafiła na nagiego Scrottona i rozplatała mu pierś aż po żebra. Ugodzony zawył głosem tak cienkim, że utonął w syku ulatniającego się gazu.

Dzwonił alarm. Wskazówki mierników na ścianie zaczęły

drgać i obracać się. Kolorowe diody na tablicy z wyłącznikami migały jak oszalałe. Cyferki na wyświetlaczach zmieniały się tak szybko, że trudno było odczytać rozmyte, czerwone liczby.

Chmura ulatniającego się gazu wzbiła się w tak że Scrotton musiał się odsunąć.

Tim zauważył, że spalił sobie brew.

ręką jej

wisające strzępki.

wbiegło
nobli.
dalej.

Pięciu inżynierów elektrowni jądrowej do hali

w pomarańczowych kombinezonach. Skierowali się w stronę Yolanda, którego również odrzucił podmuchem gorącego gazu. Rzucił w nich garść Stanęli jak wryci,

ale ponieważ nie mogli podnieść moment grubymi, ochronnymi rękawiczkami, pochyłili się nad złotem i wpatrywali się w nie jak oczarowani. Kilka Scrottonów podniosło mometry i zaprowadziło inżynierów w róg, gdzie był już Clayton. Pilnowali ich, warcząc od czasu do czasu.

Mechaniczny głos powtarzał z głośników: Alarm: promieniowanie radioaktywne — Alarm: promieniowanie radioaktywne. Wszyscy prócz ekipy ratowniczej muszą opuścić halę reaktora.

— Musimy wiać — zawołał Tim do Sebastiana, przekrzykując hałas dzwoniących się gazu.

— Dwutlenek węgla jest cięższy od powietrza. Za kilka minut wypełni pomieszczenie.

Yoland rozerwał kopertę. Momentem i recytując piskliwym głosem, wyjął magiczne klucze i wrzucał je kolejno do reaktora. Siła ulatniającego się gazu uniosła je wysoko, po chwili spadły na ziemię, coś gruchnęło i rozpląnęły się jak kamfora.

Próbował

Jeden z kluczy trafił do reaktora, pozostałe chybiły i wybuchły, uderzając o podłogę lub ścianę.

— Scrotton — zawołał Yoland — każ Loudacre'owi zmniejszyć ciśnienie w reaktorze i wracaj do mnie.

— Jeśli udało mu się obniżyć ciśnienie — powiedział gorączkowo Tim — reaktor przegrzeje się i stopi. Za niecałe trzydzieści minut Jasper Point stanie się drugim Czarnobyłem.

Scrotton puścił się pędem do wyjścia z reaktora i znikł.

SCROTTON

III

kont
rola

złoti
monet

Spojrzał

pot
plyw

pi
zeta

zmi
ch

SUW

ki

ni

skupita.

u

by

ni

Louda

ni

punit

tylko

jesz

e ba

spad

wiec

ni

lekceważeni

ni

uda

Prze

ni

wyj
ęła

przełac

zników

pow

umiejętności

ciągnął

©

Fila dotarła do centrum

I ul

Wewnątrz zastała trzech

podłogą, obracali w dłoniach
przy półkolistym pulpicie sten

łączniki suwakowe.

na I

Poczuła, jak krew odpływa
ugięły, ręce zaczęły drżeć, a
po plecach.

Skoncentrowała wzrok na
przypominając sobie sytuację z I
sklepowego, i m o c n o się

pulpitem powoli malały.
— A zatem — powiedział
bachor alchemika uczynił cię
Fila nie odpowiedziała,
na przełącznikach. Liczby wciąż
\\
Jesteś zwykłą dziewczką,
mną w szranki — rzekł z

I

Odsunął się o krok od pulpitu.

I

suwały się same. Fila starała się potrafiła. Odczyt nadal spadał.
Włożyła dłoń do kieszeni i

Jeśli nie da m rady zatrzymać
 ra, pomyślała, może przynajmniej **to** re'a — De Loudaca, Malodora.
 Moja wola i
 skonalone przez wieki, przeciwko twoim w ile? Tydzień?

ale
 łańda.

Ją
 głośniejszym

Fila, trzymając rękę z boku, nadal obracała w palcach krążek. Nie przestawała, wciąż kręciła nim najszybciej jak potrafiła.

— Odważna próba — pochwalił ją Loudacre —

jest e m odporny na takie dziecinne zabaweczki. Może działają na Yolanda. Ale on mi do pięt nie dorasta. W porównaniu ze mną jest żółtodziobem.

Wskazania wciąż spadały, coraz szybciej i bardziej równomiernie.

Fila obracała krążek. Przecież musi zadziałać.

Nawet z odległości kilku m e t r ó w Fila czuła odór oddechu Loudacre'a. Cuchnął rozkładającym się mięsem, zdechłymi rybami i butwiejącymi roślinami.

— Daremny trud — wycedził Loudacre.

Fila zrezygnowała i włożyła krążek do kieszeni.

— Myślisz, że cię nie znam? — mówił. — Nie zapomniałem...

— Ani ja ciebie — przerwała mu hardo Fila.

Oczy Loudacre'a zwęziły się. Przez szparki powiek widać było ogień, który płonął w jego oczach, podobnie jak u Yo

— Nie wątpię — odparł.

Skierował lewą rękę w stronę Fili. Poczwała, jak jakaś dziwna fala przepływa przez jej ciało, miała wrażenie, że ciało kurczy się wokół jej kości.

— Mogę pozbawić cię życia, nawet cię nie dotykając

— postraszył Loudacre głosem niewiele od

szeptu. — Przemyśl to. Lepiej, byś czuła przede mną respekt. Wielki respekt.

Fila starała się złapać oddech.

— Niebawem, wścibska pokrako, powietrze będzie dla ciebie droższe od złota.

prze

iw

kręci

głow

głow

ianie

w

Tyll

o

elektryczność.

Zapew

posłużyć

Zapewne,

spuści

uderzył

go

ianie

niem

pul

pi

złapać

odde

h

drz

w

mogła

ju

malnie

ruszyła

u

hoda

h

Scrottona

bi

h

h

h

czy

dwa

wylądował

pi

di

środką

Fila

Dostrzegła

Yolanda

h

które

go

ni

h

h

węgla

lari

twarzami

ni

ni

znajde

h

Loudacre odwrócił się plecami do Fila i na kontrolki. Cyfrowy licznik nadal spadał.

Fila rzeziła z braku tlenu, zaczęło się jej w Rozejrzała się dookoła. Musiała coś zrobić. Na ś(siała niewielka, zielona gaśnica, a nad nią tabliczka: do pożarów spowodowanych przez ne jest dość ciężka — pomyślała Fila — by za broń, jeśli tylko m a m dość siły, by ją unieść. doszła do wniosku, spełni zadanie.

Szarpnięciem wyrwała gaśnicę z uchwytu, przygarnęła do piersi jedną ręką, a drugą usunęła blokadę.

— Respekt przed tobą? — wydyszała zuchwale. — Nigdy!

Loudacre odwrócił się do niej. Fila nacisnęła gaś

nicy. Strumień mieszanki argonu i azotu w twarz. Osłonił się d ł o n i . Lodowate gazy pod zdarły mu skórę z dłoni. Zatoczył się na i upadł na ziemię. Jęczał, starając się Gdy gaśnica była pusta, Fila podbiegła do sterowania. Kiedy znalazła się na zewnątrz, oddychać. Ile sił w nogach

po

d

reaktora.

W połowie drogi natknęła się na

w dół. Gdy został mu do niej m e n dał u

przeskoczył nad jej głową,

\
c e n t r u m sterowania i wpadł do dotarła do hali reaktora.

cego przy otworze w podłodze, z

się już s t r u m i e n dwutlenku Dzwoni I

milkiły. Scrottony, ustawione

czały Yolanda. Tim i Sebastian

od nich.

**wróg...?
znaczy...
zaczął**

— Co się stało? — spytała Tima.

— Ciśnienie spadło. Yolanda zaraz dopnie swego. Gdzie jest Loudacre?

— Wypadł z gry — odparła Fila. — Jarzębinowy krążek ani moc punitora nie działają na niego, więc ugasiłam jego płomień konwencjonalnie.

Yolanda uniósł, jakby błagalnie, ręce. Z kieszeni marynarki sterczała koperta z magicznymi kluczami.

— Co jest? — spytała Fila.

W otworze pojawiła się niewyraźna, mglista twarz, jak te — pomyślała Fila — które czasem tworzą się z c h m u r w letnie dni. Ta jednak zdawała się bardziej materialna.

— Wróg — powiedział zwięźle Sebastian.

— Czyj

Popatrzyła jeszcze raz. Twarz była przyjazna, uśmiechnięta, radosna. Ale po chwili zaczęła chytrze łypać okiem, wargi się wykrzywiły, uwydatniły kości policzkowe, a włosy stały się m a t o w

e i długie.

— Wróg każdego — powiedział Tim, biorąc siostrę za rękę.

— Każdego, kto ma czystą duszę i dobre zamiary — uzupełnił Sebastian.

— To

— zaczęła Fila.

— O t o — potwierdził Sebastian — szatański wizerunek Belzebuba, Lucyfera, Mefista,

Ahrimana...

Mechaniczny głos

podawać nowy komunikat:

Awaria reaktora — Awaria reaktora. Zespół od skażeń

— stan najwyższego pogotowia. Zespół od skażeń — stan najwyższego pogotowia.

Eteryczna twarz stała się niebieska niczym iskra elektryczna i otworzyła usta. Wyleciał z nich rój

łustych m u c h

ustawiły

znikły

akwamarynowe,

słońcu.

plujek, które

się w szyku i wleciały w głąb reaktora. Gdy tylko z pola widzenia, twarz się rozwiła.

— Tym właśnie zajmował się Yoland, kiedy odbywałam karę w pracowni chemicznej —

wyjaśniła Fila. — On wywołuje...

— Musimy odebrać Yolandowi magiczne klucze

— oświadczył Sebastian. — Wykorzystajcie swe moce punitorów. Nasza trójka przeciwko j e m

u j e d n e m u .

— Nie ma wyjścia — uznał Tim. — Gotowi?

Fila i Sebastian skinęli głowami.

Cała trójka podbiegła do Yolanda, roztrącając otaczających go Scrottonów. Kilku z nich zaczęło wspinać się po ścianach, wydając odgłosy jak rozzłoszczone małpy. Jeden spadł na ziemię i sflaczał niczym przekłuty balon. Sebastian zbliżał się do Yolanda. Przez chwilę się szamotali, nim Sebastian wyszarpnął kopertę z kieszeni nauczyciela.

Kilka magicznych kluczy spadło z brzękiem na ziemię.

Scrotton podbiegł, by je zebrać. Tim wymierzył mu kopniaka w szczękę. Zęby Scrottona uderzyły o siebie i zaklekotały jak kastaniety. Yoland starał się odzyskać klucze, ale Sebastian wziął kilka i rzucił Timowi.

— Weźcie po garści — krzyknął Sebastian. — Ciśnijcie nimi mocno o ścianę.

Rodzeństwo wykonało polecenie. Gdy klucze uderzyły o ściany hali, rozbłysły tęczą barw niczym fajerwerki.

Szmaragdowe, żółte,

szkarłatne i fioletowe iskry trysnęły z nich, o wiele żywsze niż sztuczne ognie.

Drzwi do hali się otworzyły i do środka wtoczył się Loudacre. Twarz miał okaleczoną gazem z gaśnicy. Skóra z wierzchu dłoni była zdarta do żywego, z jednego oka obficie płynęły łzy. Drugie

było na wpół zamknięte. Wargi miał popękane, a czoło czerwone, jakby spalone na

mo-

Na jego widok Fila czym prędzej wsunęła do kieszeni magiczne klucze, które ścisnęła w dłoni.

Loudacre począł chwiejnym krokiem ku Yolandowi, wymachując rękoma. Przytrzymał się nauczyciela chemii i obaj się zachwiali. Zatoczyli się kilka kroków do tyłu.

Przy dziurze do reaktora Loudacre stracił równowagę.

— Wpadnie do środka! — wymamrotał Tim.

Loudacre staczał się powoli, uczepony paska Yolanda, ciągnąc go za sobą w czeluść. Otworzył usta i zawył. Był

to nieziemski skowyt, na wpół ludzki, na wpół zwierzęcy, pierwotny, przeraźliwy.

Yoland starał się oderwać palce Loudacre'a od swego paska, ale były m o c n o zaciśnięte.

Zaczął rozpinać kłamrę

— za późno. Loudacre chciał się wywindować w górę jednym szarpnięciem i wtedy Yoland

stracił równowagę. Gdy Loudacre znikł z pola widzenia dzieci, Yoland usiłował

znaleźć coś, czego mógłby się chwycić, lecz płyty na pod

łodze były połączone bez najmniejszej wypukłości. Z jego gardła wydobył się krótki krzyk, a po chwili także i Yoland zniknął w przeraźliwej czeluści.

Scrottony, uczepony ścian, zaczęły odpadać. Jeden, zwisający z dźwigarów pod sufitem, puścił się i spadł prosto do reaktora w ślad za Yolandem i Loudacrem.

Tim poczuł, że ktoś chwyta go za ramię.

— Spójrz! — Fila pokazała mu dozymetr przyczepiony do koszuli. Kwadracik folii, przejrzysty, gdy go zakładała, stał się ciemnoszary.

— Uciekajmy! — zawołał Tim.

Sebastian podbiegł do inżynierów i zabrał im złote m o nety. Pięciu mężczyzn natychmiast ocknęło się i pospiesznie zaczęło przykrywać otwór reaktora. Jeden z nich zajął

się podniesieniem ciśnienia chłodziwa. Tim odebrał

recepcji

netę Claytonowi. Przewodnik stał niepewnie na nogach, potrząsając głową, by odzyskać w pełni świadomość.

Fila chwyciła przewodnika za rękę i poprowadziła do wyjścia. Zbiegli po schodach ile sił w nogach. W

pozostali członkowie Klubu A t o m u chowali się za kontuarem.

— Jest z wami Scrotton? — Tim spytał Dena.

— Ten w szkolnym wdzianku — dodała Fila.

— Nie — padła odpowiedź. Den wskazał drzwi prowadzące na parking dla gości. — Tam pobiegnął.

Tim otworzył z rozmachem główne drzwi. Scrotton biegł szybko drogą ku z e w n ę t r z n e m u ogrodzeniu. Lego szkolna marynarka łopotiała w p o d m u c h a c h powietrza.

— Zatrzymajcie go! — T i m krzyknął do oficerów policji.

— Strzelajcie!

— To jeden z uczniów! — usłyszał w odpowiedzi.

— Wcale nie! — krzyknął. Ponieważ nie mógł powiedzieć całej prawdy rzekł: — To terrorysta!

Otworzył

reaktor. Wrzucił do niego bomby. Sam widziałem.

— Przynajmniej do pewnego stopnia, to prawda, pomyślał.

Obaj policjanci unieśli pistolety maszynowe.

— Stój, bo strzelam! — zawołał starszy rangą policjant, sierżant.

Scrotton nie usłuchał.

— Ostatnie ostrzeżenie!

Scrotton biegł dalej zygzakiem.

— Ognia! — wydał rozkaz sierżant.

Rozległa się krótka seria z a u t o m a t u . Trafiony Scrotton zatoczył się. Kule, które chybiły, odbiły się rykoszetem od jezdni.

— Wstrzymać ogień!

O było?!

Terkot broni umilkł gwałtownie. Policjanci ruszyli w stronę uciekiniera z pistoletami w pogotowiu. Tim szedł

kilka kroków za nimi.

Scrotton leżał pośrodku drogi z jedną ręką podwiniętą pod ciało, głową odrzuconą w bok. Oczy miał otwarte i wybałuszone. W miejscach, gdzie trafiły go kule, w szkolnym m u n d u r k u widniały postrzępione dziury.

—

mój Boże! — wymamrotał jeden z policjantów, zabezpieczając broń. — Strzelałem do dziecka.

Gdy policjanci wymieniali uwagi, Scrotton usiadł prosto.

— Nie powinniście ze mną zadzierać — wycharczał głośno.

Po tych słowach jego ciało wybuchło z grzotnięciem nie większym niż odgłos petardy i ulotniło się niczym kamfora. Pozostała tylko smuga dymu, którą szybko rozwiał

delikatny wietrzyk znad morza.

— Co to, u diabła,

— zdumiał się sierżant.

Czterech oficerów przybiegło na miejsce, gdzie przed chwilą leżało ciało Scrottona. Na asfalcie nie było nawet śladu krwi.

Fila i Sebastian dołączyli do Tima, podczas gdy reszta członków Klubu A t o m u zebrała się wokół szkolnego mikrobusu, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

— Straciliśmy szofera — zażartował Tim. — Myślicie, że któreś z nich potrafi prowadzić?

Fila już chciała mu odpowiedzieć, ale usłyszała nikłe syczenie i obejrzała się w lewo.

Za ogrodzeniem, zabezpieczonym dodatkowo d r u t e m kolczastym, stał rząd olbrzymich transformatorów, z których wychodziły grube kable wysokiego napięcia. Biegły one do pierwszego z szeregu potężnych słupów, liczących

rzały Spójrzcie! moliła klucz...?

kieszeni

jed

ni

wskazując

ym

ka

zke

po

la

hybita

co najmniej po pięćdziesiąt metrów. Kolejne kable zmiew dal, ku odległym wzgórzom.

Na odcinku około pięciu metrów jeden z kabli był napę-

czniały, a wybrzuszenie powoli przemieszczało się w kierunku transformatorów. Fila spoglądała

na nie z przerażeniem. Kabel wyglądał jak pyton, który połknął królika.

I wtedy ją olśniło. Kiedy Yoland wpadł do reaktora, miał

jeszcze przy sobie kilka magicznych kluczy.

— Dopiął swego! — zawołała do Sebastiana i Tima.

—

Wskazała na przewód. Wybrzuszenie przemieszczało się coraz szybciej w stronę transformatora.

Wokół niego skwierczały i tańczyły zielone iskry.

Fila puściła się biegiem w stronę ogrodzenia, nie dając się wyprzedzić wybrzuszeniu. Tim i Sebastian dotrzymywali jej kroku.

Ni m dotarła do policyjnego land rovera stojącego tuż przy parkanie, wiedziała już, co musi zrobić, a przynajmniej, jaką próbę musi podjąć. To było jak objawienie.

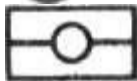
Wdrapała się na maskę wozu policyjnego, skąd wgra-się na dach, łamiąc przy tym jedną z wycieraczek.

— No, nie! — zawołał pod jej adresem sierżant. — Złaź

stamtąd! Co ty wyprawiasz?

Fila, jednak doskonale wiedziała, co robi.

Jeśli do każdego zaklęcia potrzebne są cztery magiczne klucze — zastanawiała się — co się stanie, gdy ta równo waga zostanie zachwiana, gdy dodamy do równania piaty Stojąc na dachu pojazdu, wygrzebała z z kluczy. Trzymając go między palcem a kciukiem, jak kamień którym puszcza się wie, zamachnęła się i cisnęła nim w przewód



.

pomyślała.

których Chromo- siostrzyczko! — Jesz-

Nie ma szansy, pomyślała, trafić w kabel, zwłaszcza że wybrzuszenie nabierało rozpędu. Wyjęła kolejny magiczny klucz. Był to jeden z tych zrobionych z białego złota z symbolem pieca Zaraz, Drżały jej ręce. Zaraz.

Wybrzuszenie, poruszające się coraz szybciej, dotarło do transformatora. Fila wycelowała w nie magicznym kluczem. Spadł na górę obudowy, odbił się i trafił w jeden z wielkich, ceramicznych izolatorów, do przymocowane były przewody.

W tym samym momencie wybrzuszenie dotarło do niego.

Najpierw nic się nie działo, ale po chwili transformator błysnął pomarańczowym ogniem. Oślepiający biały błysk wystrzelił wysoko w górę, wyjąc jak potępieniec.

wo-żółte rozbłyski migotały wokół niego.

Tak szybko jak rozbłysła, pochodnia blasku zgasła.

Transformator nadal płonął, stalowa obudowa topiła się jak wosk i skapywała na trawę, która zaczęła się tlić.

Fila zgramoliła się z dachu land rovera. Tim podszedł i pomógł jej zejść na ziemię.

— Przybij piątkę,

— zawołał z entuzjazmem.

Poskoczyli w górę, klaszcząc prawymi d ł o ń m i .

— Ale o co chodzi? — spytał Sebastian, zachowując kamienny spokój.

Jeszcze się dowiesz, chłopie! — odparł Tim.

cze się dowiesz!

Pani i pan Ledgerowie siedzieli w skupieniu przed telewizorem, gdy wybrzmiał sygnał wiadomości o dziesiątej wieczorem i pojawił się prowadzący.

zaczął go. Filipa — Jesteśmy Singalla

— Wiadomość dnia — zaczął. — Dzięki szybkiemu działaniu gimnazjalistów nie doszło dziś do katastrofy w elektrowni jądrowej Jasper Point. Uczniowie zwiedzali obiekt z wycieczką szkolną. — Na ekranie pojawiło się panoramiczne zdjęcie elektrowni. — Jak donosi rzecznik, pokrywa reaktora A została usunięta i ulatniać się

dwutlenek węgla. Uczniowie nie tylko ewakuowali swoich kolegów i koleżanki, ale także

odegrali ważną rolę w powstrzymaniu wycieku gazu. Dwóch nauczycieli towarzyszących wycieczce poniosło śmierć. Rzecznik elektrowni wyraził z tego powodu głęboki żal. Obaj mężczyźni znajdowali się w pobliżu wycieku gazu. Jeden uczeń zaginął, poszukiwania trwają. Nie ma najmniejszych obaw, by wydarzenie doprowadziło do skażenia radioaktywne

Na ekranie pojawili się Tim, Fila i Sebastian stojący przy szkolnym mikrobusie w towarzystwie policjantów.

— Gimnazjaliści, bliźnięta Timothy i Ledger oraz ich przyjaciel Sebastian Gillette zostali pochwaleni przez służby ratownicze oraz pracowników elektrowni za przyt o m n o ś ć umysłu. Doktor Singall, dyrektor gimnazjum Bourne End w mieście Exington, gdzie uczęszcza dzielna trójka, wyraził im swe uznanie w imieniu całej szkoły.

Pani Ledger objęła Filę i Sebastiana. Tim, który siedział na fotelu, uśmiechnął się szeroko.

z was tacy d u m n i ! — powiedziała łamiącym się głosem. Uśmiechnęła się do Sebastiana i potargała mu włosy. — Z całej waszej trojki — dodała.

— Dziękuję uprzejmie pani Led... Sandro — poprawił się Sebastian.

Puszczono teraz krótką wypowiedź doktora stojącego na krótko przystrzyżonym trawniku przed bramą



— Jak

szkoły. Za jego plecami widniała tablica z nazwą gimnazjum.

— Właśnie takiej postawy oczekujemy od naszych uczniów — powiedział, spoglądając na dziennikarza przy kamerze. — Są chlubą szkoły i kwiatem młodzieży.

Kamera pokazała budynki szkolne.

Tim spojrział na Sebastiana, następnie na Filę i w końcu na telewizor. Wszyscy zauważyli ten sam szczegół.

Doktor Singall trzymał w dłoni złotą monetę, a w oddali w górnych gałęziach kasztanowca rosnącego na dziedzińcu, przycupnęła jakaś czarna postać.

Na pewno nie była to wrona. Miała bowiem szpiczaste uszy i żółte stopy...

Było późne popołudnie. Liście opadały z drzew. Na rzece kilka kaczek krzyżówek nurkowało w trzcinach, wystawiając do góry kupry. Pałki w o d n e wytworzyły już nasiona, ich główki przypominające maczugi rozpadały się i miękki puch ulatywał z wiatrem.

— Myślicie, że dostaniemy medal? — zastanawiał się na głos Tim, siadając obok siostry na ławce w Edenie. Następnie afektowanym głosem dodał: — „Czego dokonałeś, młody człowieku?” Pokonałem zło i ocaliłem elektrownię jądrową, Wasza Wysokość. „Co za pyszny popis! Powstań, sir Timothy.”

— Ach, więc sam tego dokonałeś? — obruszyła się Fila.

— Tylko żartowałem — zapewnił ją Tim. — Jeśli będą medale, to trzy. myślisz, usłyszymy jeszcze o Yolandzie? Albo o de Loudeacu?

trzymał
jakim

Singalla?

Faktycz

ni

ale

nie

odkąd

za-

brakło

To

młody

h

no

sobie,

to

— Po tym, gdy zostali napromieniowani, zmrozeni na kamień i usmażeni? Nie sędzę. To już definitywnie koniec.

Sebastian, który

się na skraju zagajnika, podszedł do nich.

— Panuje tu zaiste zupełnie inny klimat niż w m o i m dzieciństwie — zauważył. — Na skraju łąki kwitną roz-chodnik i boże drzewko. Obie te rośliny powinny obsypywać się kwieciami w lipcu i owocować w sierpniu, a nie rozchyłać pąki teraz, późną jesienią.

— Jak twoje samopoczucie? — spytał Tim.

— Pod

względem?

— Nie kleją ci się oczy? Nie nadszedł czas, by udać się w objęcia Morfeusza i zapaść w stan hibernacji?

Sebastian usiadł obok Fili. Jedna z krzyżówek wzbijała się w powietrze, okrążyła zagajnik i wylądowała na wodzie obok pozostałych kaczek.

— Zastanawiałem się nad tym — przyznał Sebastian.

— Praktycznie rzecz biorąc, powinienem już zapaść w głęboki sen, a nie jestem nawet senny. M a m tu chyba jeszcze coś do załatwienia.

— Chodzi o doktora

Nie sędzę — oświadczył Sebastian. —

znalazł się w posiadaniu złotej monety Yolanda, czuję, by wiązało się z tym jakieś wielkie zło, nauczyciela chemii. — Spojrzał przez łąkę najpiękniejszy znany mi zakątek. Jak za moich lat — Przedziwne, że w urokliwych miejscach się takie zło — zauważyła Fila.

— Zawsze tak było. Przypomnijcie **III**

Światło jest niczym bez mroku, który by motyło lać. Jak bez zła miałoby istnieć dobro?

plakietkę-dozymetr.

Fila wstała. Nerwowa kaczką znów zerwała się do lotu: wyciągnęła szyję, podkuliła nogi i machała wytrwale skrzydłami, by nabrać wysokości.

— Czas na herbatkę i drożdżówki — oznajmiła Fila.

— I tabletki z jodkiem potasowym... — dodał Tim, marszcząc nos. — ...cena, którą m u s i m y płacić za napromieniowanie. — Wziął swoją

— A to jakaś pamiątka, czy co?

— Mógłbym zamiast tego przyrządzić napar z ziół leczniczych — powiedział Sebastian w zamyśleniu — ...koniczyna polna, żywokost lekarski, babka i jeszcze krasnoros-ty...

Wyraz twarzy Fili i Tima wystarczył mu za odpowiedź.

Doszli do furtki przy wozowni.

— Tak więc — powiedziała Fila, naciskając klamkę,

— wygląda na to, że jeszcze trochę z nami zostaniesz.

— W rzeczy samej — odparł Sebastian. — Na dobre i na złe.